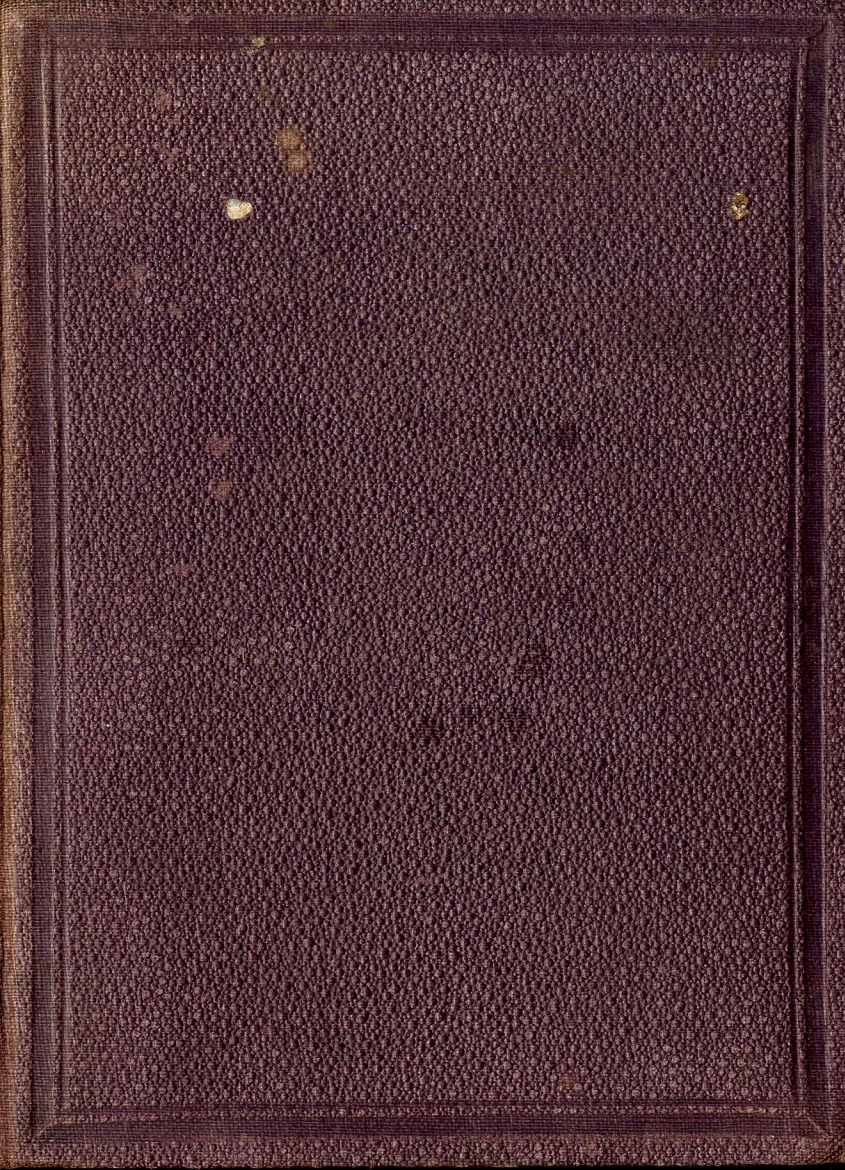




2160

DOBRA GRABOWO.
WA GA.

af.

ELŻBIETA
DRUŻBACKA.

U

ELŻBIETA
DRUŻBACKA.

POWIEŚĆ

Z KOŃCA XVII WIEKU

SEWERYNY Z ŻOCHOWSKICH

Pruszkowej.

DOBRA GRABOWO.
WAGA.

47

WARSZAWA.

W Drukarni Gazety Codziennej.

1855.

884-1-884(081)

Dziwobodek



Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury,
po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

Warszawa, dnia 12/24 Marca 1855 r.

Starszy Cenzor,

RADCA DWORU **J. Papłowski.**



KOMPUTER

821.162.1-1

Smutny był stan oświaty polskiej w końcu XVIIgo i początkach XVIIIgo wieku. Gaśla pomału pochodnia, która tak jasno przyświecała polskiej ziemi przez cały wiek XVIsty. Umilkły co tylko szorstkie a cudne dźwięki liry Samuela ze Skrzypny Twardowskiego, i miększe, ogładniejsze, ale mniej silne struny lutni Zbigniewa Morsztyna; aredydziło wiekowe Wacława Potockiego, słynna po dziś dzień epopea o Wojnie Chocimskiej, spoczywała w głębokim ukryciu. Uczeń ówczesni, w nastrzępionej łaciną mowie, sadzili się na szumne panegiryki ku uczczeniu możnych pa-

nów, inni układali herbarze, jak gdyby pragnęli wspomnieniem chwały praocjów, zachęcać do czynu gnuśniejące pokolenie.

Wiele powodów składało się na uśpienie i upośledzenie ducha: najważniejszym z nich był niewątpliwie skrzywiony kierunek nadany wychowaniu młodzieży. Niemniej wpływały na on upadek długie a zacięte wojny, które od lat wielu trapiły polską krainę. Nie oschła jeszcze ziemia ze krwi, po najazdach Gustawa Adolfa, za nieszczęśliwych rządów Kazimierza Wazy; zgliszczą zamków i dworców szlacheckich sterczały jeszcze w popiole; zrażony kmięć zaledwie że ośmielił się jąć swobodniej pługa i roli, gdy sroższy jeszcze pożar zagroził znękanemu krajowi. Głównia domowej wojny zatłona w Polsce skutkiem zatargów pomiędzy stronnikami Augusta IIgo i Stanisława Leszczyńskiego, roznosiła dokoła zgubne zarzewie.

Nie wszędzie atoli w Europie panowało podówczas tak zgubne uśpienie ducha. Francya pod berłem Ludwika XIVgo jaśniała pełnym blaskiem wschodzącego jęj światła. Genialny Kornel zastosował do francuzkiej sceny formę dramatów greckich, i położył na długi czas pierwsze zasady tragedyi, w której żaden z następców nie zdołał mu dorównać. Współczesny z nim Moliere stworzył komedya, na bardziej narodowej opierając ją podstawie; ośmieszał bowiem właściwe Francuzom błędy. Boileau bronią satyry chłostał złe, nurtujące w łonie narodu. Lafontaine w skromnej formie bajki, rzucał ludziom na oczy wielkie moralne prawdy. Duch francuzki zajaśniał nagle Europie świetnym promieniem, a z onego ogniska, wszystkie narody jeły na wyścigi czerpać wzór i podniecie. Było to koniecznym następstwem rzeczywistej wyższości, która ma w sobie pociągającą siłę.

Sila ta stanowczo oddziałała na zewnątrz. Odblask nadsekwanskiej oświaty rozstrzelił się wzdłuż i wszerz Europy, i jak iskra elektryczna pobudził do ruchu i naśladownictwa najdalsze jęj krańce. I Polska uczuła mimo-woli on wpływ tak przeważny. Mąż wielkiej nauki a zacnych chęci, Stanisław Konarski pijar, bolejąc szczerze nad pomrokiem, ścielącym polski widnokrąg, nie widząc innej rady na zapobieżenie złemu: zajął się czynnie zaprowadzeniem reformy w wychowaniu polskiej młodzi. Założył konwikt pijarski (Collegium nobilium) dla synów możniejszej szlachty, wywołał Alwara; a pragnąc podźwignąć język skażony łaciną, skreślił uczone dzieło o poprawie błędów w krasomóstwie. Siał on ziarno dla przyszłości, które w Stanisławowskich czasach miało dopiero posiłne wydać plony.

W owém ogólném uśpieniu, wbrew obyczajom narodu, ujrzano lutnię w słabęj dłoni

polskich niewiast, które dotąd poprzestawały chętnie na wrzecionie, nieśmiejąc wychylić głowy poza szczupły obręb domowych progów. Niemieryczowa kreśliła hymny religijne, a obznajmiona z obcą literaturą, przekładała gładko francuzkie powieści. Franciszka z książąt Wiszniowieckich Radziwiłłowa, małżonka wielkiego hetmana litewskiego, zasłynęła niepospolitą nauką. Na teatrze w Nieświeżu, grono modnych pań i światowej młodzi, przedstawiało komedye i tragedye jęj utworu. Prace Radziwiłłowej dalekie od polskiej prostoty, osnute na obcych wzorach, nie wywarły na ogół żadnego wpływu; przecież zaprzeczyć jęj nie można wielkiej łatwości w władaniu piórem, zwłaszcza gdy pomniemy na czas, w którym pisała.

Trzecią nakoniec z piszących ówczesnych niewiast, która przeszła nietylko współzawodniczkę swoję, ale jako jedyna gwiazda, za-

błysła czystém a własném światłem na polskim widnokregu, była Elżbieta z Kowalskich Drużbacka. Myśl zdrowa i czerstwa, szczere uczucie i prawda, wylewające się z jęj duszy w pełném prostoty słowie, styl jak naówczas poprawny, czysty a dosadny, głęboka pobożność, zamiłowanie w swojskich obyczajach i obrazach, nakoniec wszechstronna a niepospolita nauka: oto zalety Drużbackięj. Pisarka obdarzona niemi w takim stopniu, byłaby w każdym czasie ciekawém i pożądaném zjawiskiem; cóż dopiéro, gdy ją postawimy w obec wieku w którym żyła; gdy się zastanowimy jakim zapasem woli musiała zwalczać niezliczone przeszkody w nabyciu światła tak niedostępnego naówczas, samym nawet mężom. Nie znając obcych języków, ani obcych wzorów, nasza Elżbieta czerpała natchnienie wprost z niewieściej duszy, miłując gorąco Boga a prawdę. Widok rodzinnych gór, łąk

i lasów, radował jęj serce, podniecał wyobraźnią. Obraz pięknej przyrody podnosił myśl jęj do Boga, stwórcy wszelkich widzialnych a niepojętych cudów. Głębokie zastanowienie nad zbłąkaniem serc bliźnich, budziło w jęj duszy litość szczerą, i wywoływało niekiedy z ust poetki gorzkie słowa, nie szyderstwa, ale żalu i boleści; nakoniec pełne mądrości podania biblijne, podnosiły w wyższe sfery natchnionego jęj ducha i dawały mu prawdziwie poetyczne namaszczenie. Świadczy to skreślony przez nią żywot króla Dawida, którym mimo nieogładności i błędów, będących smutnym udziałem czasu, należy do dziś dnia do celniejszych utworów przedmiotowej naszjęj poezyi.

Mało szczegółów z życia Drużbackięj przeszło do potomności, co z jednęj strony jeżeli nam wiele pozostawia do życzenia przy dzisiejszym popędzie do psychologicznych ba-

dań; z drugiej strony daje nam dziwne zadowolenie. Szczęśliwy i ubłogosławiony być musiał żywot niewiasty, o której milczą ludzkie słowa: cnota bowiem niewieścia cichą bywa, zle tylko rozlega się naksztalt dzwonka, którego odgłos powtarzają usta ludzkie aż w następne pokolenia. Znany nam obraz żywota Drużbackiej, zawartym jest w kilku zaledwie słowach. Wiadomo tylko, że urodziła się w Wielkopolsce, w końcu XVIIgo wieku, w domu Kowalskich; że zaślubioną została Kazimierzowi Drużbackiemu, skarbnikowi żydaczewskiemu, i z nim osiadła w Rusi Czerwonej, we wsi Rzemieniu, nad brzegami Wisłoki; że po rychłym zgonie małżonka, nie weszła w powtórne związki, ale wychowywała jedyną córkę, a gdy wiek zwątlil jej siły, przywdziałwszy odzież zakonną, bez wykonania jednak wiecznych ślubów, zamieszkała w Tarnowie w klasztorze pa-

nien Bernardynek, gdzie dokonała pobożnie dni swoich w 63 roku żywota, dotknięta boleśnie przed zgonem strata sześciorga drobnych wnucząt.

Otóż i wszystko, co wskazują nam życiorysy znakomitęj naszej pisarki. Nazbyt to mało zaprawdę: radziłyśmy bowiem odgadnąć, co rozbudziło w niewieścim jej umyśle gorące pragnienie światła, które z niemalym zapewne zdobyła trudem; co natchnęło jej serce taką miłością ku Bogu i bliźniemu, takim uwielbieniem przyrody, taką czcią ku prawdzie, jakie odbijają na każdej stronnicy jej pism, w których jeżeli niekiedy uchybiła przeciw warunkom sztuki, za to nigdy nie grzeszy przeciw prawdzie, przeciw miłości, przeciw Bogu. Otóż więc wczytawszy się bacznie w prace Drużbackiej, znajdujemy w nich odpowiedź na te zagadnienia. Natchnienie jej wolne od chorobliwych unie-

sień, nie przyszło jój skutkiem doznanych zawodów, skutkiem walk stoczonych ze światem, lub obłąkaniem własnego serca. W każdym niemal jój słowie odbija niezmacona pogoda ducha, jak błękit nieba powtarza się w czystém zwierciadle wody. Wiara i miłość były podstawą jój talentu; światło czerpała z góry, ludzi i przyrodę miłowała w Panu. Do Boga, jako źródła wszech rzeczy, odnosi ona każdą myśl, każde wrażenie. Gdy wielbi przyrodę w pięknym obrazie wiosny, dziękuje pełném sercem Stwórcy, który przydziela ziemię tak cudnymi barwy; gdy maluje walkę żywiołów, korzy się przed potęgą Pana, który siłą ruchu utrzymuje równowagę, a z walki i zniszczenia wyprowadza nowe życie. Wszędzie umie ona dopatrzeć związku między światem zewnętrznym, a objawioną w nim myślą Bożą, co jest niezaprzeczonym dowodem poetycznego natchnienia. Jeżeli

gromi niekiedy błędy szerzące się w ówczesném społeczeństwie; jeżeli z goryczą przemawia do lekkomyślnych niewiast, tarzających w błocie światowém pocziwając sławę prababek: jakże głęboki żal odbija w każdym jój słowie, jakże pragnie gorąco przelać w serca niewieście siłę własnego przekonania! Jeżeli nakoniec w sędziwej starości, złamana boleścią po stracie sześciorga wnucząt, woła w chwilowém uniesieniu: „Panie! czemu woła Twoja trzyma mię na ziemi, jak drzewo z kory obnażone, gdy podcina kosą wschodzące za ledwo trawki”, niebawem jednak przychodzi do upamiętania, bije się w piersi i mówi z poddaniem: „Bądź woła Twoja! daj mi grzesznej siłę, abym z pokorą poddała grzbiet pod ojcowską Twą chłostę”. Pociesza się nakoniec myślą, że tę jedynie korzyść odnosi z swych cierpień, iż Bogu służy sześćdziesiąt czystych a niewinnych aniołów.

Oprócz owego jedyne go ustępu napisanego w późnej starości, gdzie Drużbacka wylewa z głębi duszy żal po zmarłych wnuczach; nigdzie więcej zacna poetka nie wspomina o sobie, ze szkoda zapewne dla biografii, ale niemniej z poszanowaniem dla sztuki, w formę której nie śmie przyoblekać niewieścich kwileń zbolalego serca.

Nigdzie nie wzmiankuje o małżonku, którego pamięć drogą być musiała jej sercu, skoro owdowiawszy w młodych latach, unikała nowych związków. Myśl jej rozleglejsze okrąża koło, umie się wznieść nad ziemskie niedole, w sercu jej nie ma łez na oplakiwanie osobistych zawodów, od których życie istot wyższych wolnem być nie może. Jeżeli w słowach Drużbackiej czuć gorące łzy; to łzy zronione nad skazaniem ludzi braci, owe łzy Chrystusowe, z jakimi Bóg-człowiek woła do Ojca swego w niebiesiech: „Ojcze!

przebacz im, albowiem nie wiedzą co czynią”. Znać, że w sercu jej spoczywała głęboko myśl, wyrażona o wiele później słowy natchnionego śpiewaka:

„Mego serca pieśni własnej

Słucha tylko miesiąc jasny.

I stuletni dąb!”

Pięknie odbija postać Drużbackiej na szarem tle wieku, w którym dała się poznać w literackim świecie. Obok panegiryków, od pisania których nie mogli się uchylić ówczesni rymotwórcy, jasno odbija szczere niewieście słowo.

Niepytając czy to się podoba lub nie, Drużbacka nie szczędzi napomnień paniom wielkiego świata, przywykłym do hołdów i pochlebstw. Gdy mężowie owego czasu radzi chwytali za klamki pańskich zamków i dworców; ona wystawia pieśnią miłą sobie wiejską prostotę, żywot cichy i spokojny, przy

książce, pracy, zdala od zgrai i światowego zgiełku: woli bowiem, jak mówi, pić wodę z czystego źródła, jeść prosty suchar, niż pańskie sorbety i kołaczki. Pisząc jedynie dla własnego przekonania, dla oddania czci prawdzie: słowem, na chwałę Boga i pożytek braci ludzi; niewiele dba o cudze pochwały, w głębokiej wierze, iż te nie podniosą rzeczywistej jej wartości. To też niewinnym żartem odpowiada na szumny aplauz księcia Ulryka Radziwiłła koniuszego litewskiego, przyznaje się że nie rozumie jego słów, bo „nie wzlatać sówie w ślady orła, ale raczej przystoi jej uchrona w cieniu pustej stodoły”.

Gdy jednak szczerze przekonanie kieruje jej piórem, i ona nie szczędzi słów pochwalnych, ale wylewa z duszy uczucie gorącym potokiem; zwłaszcza, gdy czyn zapewniający dobro współziomkom, pobudza wdzięczność

w jej sercu. To też z serdecznym uczuciem przemawia do biskupa krakowskiego Andrzeja Załuskiego, po założeniu przez uczonych braci biskupów słynnej biblioteki. „Greckie Ateny w polskim mamy domu!” powtarza z chlubą, „one rozbudzą niebawem do nauk ociężałe snem głowy polskie”. Nie dojrząc zatem przesady w jej słowach, gdy dodaje: „Kaź mnie spalić dobry pasterzu, a zimne popioły moje głosić będą jeszcze Twą chwałę”. Z niemniejszą wdzięcznością po dokonanej erekcyi tejże biblioteki, dziękując królowi Augustowi III, za zbudzone pod jego opieką zamięłowanie w naukach: odzywa się pięknemi słowy:

„Každyć posłuszną głowę do nóg skłoni,
Gdy nas jak ojciec, piastujesz na dłoni”.

Prosta a wdzięczna postać Drużbackiej, rysująca się tak dobitnie w jej dziełach, zadaje fałsz powszechnemu mniemaniu, że nie-

wiaści, która się rzuca na pole literatury, wychodzi z właściwego jęj obrebu. W niej mamy dowód jasny jak słońce, że byleby tylko w Bogu, z miłością w sercu, z prawdą w myśli, z prostotą i czystością w obyczaju; wolno niewieście czerpać u świętego źródła natchnienia, jeżeli ją ku temu wiedzie nie próżna chęć popisu, nie daremna chciwość pochwał i okłasków, ale rzeczywista wiara w naznaczone jęj z góry powołanie. Jeśli Bóg nadał kobiecie siłę woli do pokonania trudności nieodłącznych od umysłowej pracy; jeżeli dał jęj pojęcie wyższych prawd rządzących światem, oraz zdolność uporządkowania logicznie swych myśli; jeżeli nadto udzielił jęj daru słowa: czemużby nie miała użyć na korzyść ogółu otrzymanych zdolności? Natchnienie spływa przedewszystkiemi w serca ciche, pełne głębokiej wiary, w serca milujące a szczerze, wolne od zarozumienia i py-

chy. Pokora przebija niebiosy, modlitwa ściąga promień Bożej łaski; jeżeli więc kobieta, wiarą, modlitwą i ukochaniem, bliższą jest niekiedy nieba od tych, którzy siłą rozumu obliczyli gwiazd obroty: czemużby nie miała zasilić piersi u czystego źródła natchnienia, czemużby nie miała piórem czy słowem siać ziarna, które wzrosło w jęj sercu? Grzeszy wprawdzie i ciężko, gdy dla przyjętych dowolnie obowiązków zaniedbuje powinność, stanowiącą treść życia; ale przy silnej woli a wyższej zdolności, można wszystkiemu uczynić zadość. Elżbieta Drużbacka dowiodła, że można być wierną żoną, troskliwą matką, a przecież wolne chwile poświęcić pracy około ukształcenia własnego umysłu, oraz skierowania na korzyść bliźnich, użyczonych od Boga darów. Ona wskazała jak sięgać nieba sercem i myślą, a mimo to postępować prosto po ścieżkach ziemskich, bez

b



obawy upadku; jak wydobywać tony pieśni nie z liry żywota, rozstrojonéj szalem namiętności; ale ze zgodnobrzmiących strun serca i rozumu, doprowadzonych do jednakiego nastroju siłą najwyższej miłości—miłości Boga i prawdy!

Zdawna świat uznał, że w sercu kobiety spoczywa siła zachowawcza i odradzająca. Jak niegdyś w starożytności, dziewice czyste pielegnowały święty ogień na ołtarzu Westy; tak i do dziś dnia, kobieta miłością a wiarą, podsyca domowe ognisko, utrzymuje w rodzinach nieprzerwaną nić tradycji: skromnością i wrodzonym wstydem strzeże od skaży obyczaje, a wlewając życie w łono nowych pokoleń, rozbudza w nich zarazem nieśmiertelnego ducha. W czasach upadku i chwilowego obłędu, gdy chłód zewnętrzny owiewa ludzkie serca, a uśpienie ogarnia umysły: ważniejszém jeszcze i świętszém sta-

je się zadanie kobiety. Wówczas Bóg wlewa w jej serce nadprzyrodzoną siłę, oczyszcza je i uświęca łaską swoją, aby przechować w niem iskrę gasnącego życia. Elżbieta Drużbacka może nam posłużyć za nowy dowód téj prawdy. Ona w danym czasie była tém samém w poezyi, czém każda kobieta winna być pod wpływem podobnych warunków w obrębie domowego życia. Gdy język uległ skażeniu, a wyjałowiony i zubożały, pokrywał swą nędzę wyblakłą łaciną: jej pieśń przypomina dzwiczne a pełne barwy słowo Kochanowskich i Klonowiczów. Gdy myśl ogółu zbłąkana, niezdolna wyższego polotu, krążyła dookoła pańskich podwoi, wylewając się potokiem nadętych słów w pochwalnych panegirykach: jej myśl czysta a świeża, ulata w niebo wraz z pokornym skowronkiem, miłym zwiastunem wiosny, okrąża rodzinne lasy i niwy, i śpiewa Panu serdeczną

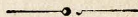
pieśń pozdrowienia. Imię Elżbiety Drużba-
ckiej otoczone czią potomnych, pozostanie
po wszystkie czasy chlubą i przykładem pol-
skich niewiast, podniętą do czynu w tru-
dnych chwilach przesilenia, jeżeli kiedy, jak
ona, w zawodzie pisarskim, tak one w zawo-
dzie życia, pozbawione zewnętrznej pomocy
i wzoru, zmuszone będą czerpać siłę bezpo-
średnio z nieba, a modlitwą, pokorą i cnotą,
zapagną gorąco wyblagać u Boga łaskę
i natchnienie.

Pojmując w takiem znaczeniu piękną a po-
ważną postać poetki naszej, ośmieliłam się
wziąć ją za przedmiot mojej pieśni. Pomi-
mo szczerych chęci, wiem dobrze, o ile nie
zdołałam odpowiedzieć przedsięwziętemu
założeniu; ktokolwiek zechce mierzyć ten
utwór jedynie skalą sztuki, znajdzie w nim
liczne uchybienia: dodaje mi tylko otuchy ta
myśl, że w gronie czytelników znajdują się

tacy, którzy pomnąc na serdeczną chęć mo-
ję, w oddaniu czi na jaką mnie stało, zna-
komitęj poprzedniczce w pieśni, oraz cnotli-
wej polskiej niewieście: zechcą z pobłaża-
niem przyjąć i osądzić moję pracę.

Warszawa, d. 6 lutego 1855 r.

Seweryna z Żochowskich Pruszkowa.



I.

Cztery lat zbiegło, jak siłą cudu,
Na czele garstki wiernego ludu,
Zdrój żywěj łaski czerpiąc z wysoka,
Odparł Jan trzeci—sztandar Proroka,
Co się zwycięzko chwał nad Wiedniem;
I wespół ze swem rycerstwem przedniem
Wśród bazyliki pysznej Stefana,
Przed Panem zwycięztw ugiął kolana,
Konie napił wodą Dunaju
I pełen chwały wrócił do kraju.

Cisza w narodzie. Wojenni mężę,
Krwia ciepłą zmyte, rdzawe orężę

Porozwieszali rzędem na ściany,
A wraz buńczuki i buzdygany
Wzięte na Turku, i krzywe szable
Skreślone w pismo zapewne diable:
Bo go doczytać pozał się Boże,
Wierne Polaka oko nie może.

Pysznie szlacheckie zdobią komnaty
Tkane kobierce, lite makaty;
A białogłowy słonią się całe
W drogie rańtuchy krasne i białe,
Lub wyrabiane w wzory palmowe,
Którymi Turczyn obwijał głowę:
Póki nie spadła z turbanem razem
Pod poświęconym szabli żelazem.

Lada niewiastkę w Polsce dziś staje
Na adamaszki, drogie hałaje,
Persy, muśliny i termolamy;
Bo ich panowie, drogie im kramy
Do dom nawieźli. Bodaj to wreszcie,
Gdy dzielny junak mężem niewieście!
Toż choć od trwogi serce w niej pęka,
Czyli go Boża ocali ręka,

Gdy się na harce puści w potrzebie;
Od czegoż przecież otucha w niebie?
Nie każdać kula trafia do celu,
Przecieżto z wojny powraca wielu;
A choć i szabla lica nadpłata,
Marną niewieście bywa utrata
Gładkiej urody: bo jej kochanie
Wypływa z ducha! Za wszystko stanie
Każdej cześć męża; trudnaż-bo rada:
Szramowy junak sercu przypada!

Cisza w narodzie. Szlachta powoli
Zdjąwszy zbroicę—ima się roli,
W głębokie skiby zagony porze,
Przy pracy pieśnią cześci imię Boże.
Heć po odłogach zapuszcza pługi;
A Pan Bóg patrząc na wierne sługi
Jako przy krzyżu niezłomni stoją,
Garnie do serca czeladkę swoją.

A gdy o zmroku, po dzienniej pracy,
Kiedy się do gniazd utulą ptacy,
I mgła wełnista płynie nad borem,
Zasiądzie husarz przed niskim dworem,

Otoczon wokół drobną rodziną;
Toż mu z ust słowa miodowo płyną:
Jakto tam było w stronie dalekiej,
Gdy wbród przebywał nieznane rzeki;
Jak te ludziska dziwne, by sowy,
Jak im odmówił Bóg ludzkiej mowy;
Jak éma pierzchała pogan obrzydła
Gdy zaszumiały husarskie skrzydła;
Jakto król Sobek zawdy na przedzie
Sam swe zastępy do boju wiedzie;
Jak nim się puści w tatarski taniec,
Zawdy przed bitwą śpiewa różaniec,
I do ust święte ciśnie szkaplerze.
To go też Marya, jak oka strzeże,
Płaszczem niebieskiej opieki tuli,
Chroni od miecza, strzały i kuli.
A nawet w przeddzień stanowczej bitwy,
Gdy król wieczorne szeptął modlitwy,
Podczas gdy słano obóz połowy
Na uchronienie dostojnej głowy:
Zjawił się obraz Maryi bez zmazy,
A na lewicy były wyrazy:
„Victor Joannes.” Toż król w pokorze
Kłęczy noc całą, aż kiedy zorze

Błysło na niebie, z rycerstwa kołem
Słucha mszy świętej z pochyłym czołem,
I chlebem Bożym w duchu skrzepiony,
Dąży pod tarczą świętej obrony,
I imię Maryi za hasło bierze.
A słońce wstając, Stefańskie wieże
Cudnie ozłaca, i w blask wspaniały
Dzień ów spromienia królewskiej chwały.

Tak husarz prawi, a działwa słucha,
I słowo każde bierze do ducha
Młoda małżonka; czasem lżą błysnie
Modre jój oko, ktkliwie uściśnie
Szorstką od korda męża prawicę,
Krasny rumieniec zbarwia jój lice;
I milcząc, Bogu poleca syny,
By w ślady ojca, zacnemi czyny
Powiódł ich w dalszej żywota drodze.
A wojak słowa gdy puści wodze,
To i po dwakroć zapieją kury,
I zorza zgaśnie: jeno u góry
Lśnią mnogie gwiazdy na tle przestworza,
Jako żdźbła piasku w głębinie morza!

A gdy się szlachta zbierze na gody,
Gdy podochoci stary i młody,
A prawda skryta na dnie w puharze
Jasne oblicze światu ukaże;
Gdy miód wytrawny lub stare wino,
Parując dymem ponad czupryną,
Porusza dłonie, myśli i usta:
Toćto ochota budzi się pusta!
Serce ku sercu jak z procy leci,
I siwe starce, by drobne dzieci
Śmieją się, płaczą, ściskają spolem,
Z rumianem licem, z pogodnym czołem.

Bo pod te czasy, w pasmo żywota
Więcej człek wprzędzał nici ze złota,
Chętniej się trzymał serca niż głowy,
Nie rad mądrymi szermierzyl słowy,
Mniej się w wywody puszczał uczone,
A bardziej ważył Maryi obronę
Wierny Sodalis, i niósł jęj darem
Łzy wyciśnięte życia ciężarem:
Toż Bóg w złej dobie nie skąpił rady,
Stał za przygodą pociechę w ślady.

Zajrzyjmy oto w on dworek mały
Ocienion lipą, schludny a biały,
Co nad nim bocian klekoce górą,
A niżej drobne jaskółki chmurą
Czepiają gniazdzka pod cieniem strzechy.
Ileż tam wrzawy! ile uciechy!
Jakże pobrzmiwa huczno kapela,
Jak radość z duszy na lica strzela,
Jak tam ochoczo! Przy pełnej czarce,
O dawnych czasach gawędzą starce,
A jest ich siła: bo w czasy owe
Nie rzadko srebrną zaoczył głowę
Wśród różnej młodzi w uciesznem kole,
Gdzie poskramiała zbytnią swawolę.
Bo w dawne lata, żywotne ciepło
Nie łącno w piersi staręj zakrzepło:
Krew nie strudzona stuletnim biegiem,
Rodziła jeszcze kwiaty pod śniegiem!

I w onym dworku dwaj dziadki siwe
Pijąc, przywodzą czasy szczęśliwe:
Gdy przed lat kopą w tymże powiecie
Gradem się wici rozbiegły trzecie,

I obaj pomkli w podolskie jary,
Harce z dzikiemi staczać Tatary.
A jeden z starców widział na oczy,
Jak pod Cecorą w nocnej omroczy
Padł z koniem hetman oblan krwi strugą,
A drugi popadł w niewolę długą,
Gdy z Koniecpolskim żywcem ujęty,
Z nim tureckiemu podzwaniał pęty.
Aliści snadniej, rzecz to wiadoma,
Z turmy niż z trumny powrócić doma:
Toż on z swym wodzem powrócił razem,
I wierną szablą ostrem żelazem
Odlął poganom, gdy pod Chocimem
Znowu wojennym smalił się dymem.

A młodzi radzą, jako straż przednia
Naprzód z Ruszczycem pomkła do Wiednia;
Jak ledwie zorza blade na wschodzie
Błysła po szklonej Dunaju wodzie,
Wstecz się cofnęła, by wichrem gnana,
Zdążając z wieścią do króla Jana;
Jak on płowego spiąwszy ostrogą
Chyżo by sokół popędził drogą:

Znać ogniem dzielna zawrzała dusza,
A wiatr wylotem powiał kontusza.

Był przy królewskiej w on czas osobie
Zacny chorąży, co w tejże dobie
Tak podejmuje hojnie sąsiady.
Człek to do korda jak i do rady,
A jakie ramię, taka i głowa:
Toż powiat cały we czci go chowa.
Ostroż mu szabla u boku dzwoni;
A chociaż serce ma jak na dłoni,
Wara śmiałkowi, co nieobacznie
Z panem chorążym zadzierać zacznie.
Choć już nie dźwiga husarskiej zbroi,
Toć mu nie każdy pola dostoi,
Gdy sumiastego wąsa nasroży.
Jedno się młoda żona nie trwoży,
Chociaż chorąży w chwili wesela
U jej trzewiczków korki ustrzela,
Lecz zresztą w dziwnej chowa ją cześci:
Bo to Urszulka klejnot niewieści.
Niewiele takich znajdzie na świecie:
Cicha, potulna jak drobne dziecko,

Serduszeko ciepłe, a chłodna głowa,
Wszelki frasunek dzielić gotowa.
Skoro mąż gniewny—z oczu mu schodzi;
Lecz kiedy czuje że jej się godzi
Stanąc przy prawdzie: mówi ją śmiało,
Jako niewieście zaczęj przystało.
Toż ją chorąży wielce poważa;
A chociaż czasem, jak to się zdarza,
Zalawszy głowę ktoś duby plecie
Że pan chorążyc chodzi w kornecie;
On plunie jeno na płochę słowo,
W korek Urszulce strzeli na nowo.
Ona z uśmiechem nóżkę mu poda,
I niezmącona panuje zgoda
W pocziwem stadle, a Bóg w nagrodę
Zdobi im działki w hożą urodę.
A siła tego—jak kwiatów wiosną,
By kłosa w polu; wszystkie im rosną
Wdzięcznie, po Bogu, pięknie i składnie,
Rzadko choroba w dom się zakradnie;
A gdy się nowa zjawi kołyska,
Matka dziecinę tuli i ściska,
I wdzięczny Panu, ojciec się korzy,
Że przybył człowiek do chwały Bożej.

I czyto chłopiec, czyli dziewczeczka,
Znajdzie się doma wegrzyna beczka
I druga miodu, na sute chrzciny,
Ku ugoszczeniu licznej drużyny.

A ma chorąży w wszelkiej potrzebie
Miłych przyjaciół, by gwiazd na niebie.
Kogo chorąży miłuje szczerze,
To mu w serdecznej nie chybi wierze.
Gdy przyjaciela tknie palec Boski,
Nie czeka aż on zwierzy swej troski;
Ale wraz zbiera do wspólnej rady
Krewne, i kumy, druhy, sąsiady,
I nie zasypia gruszek w popiele,
Aż złe się wkońcu skrupi i zmiele.
Ileż to nawet za płochę słowo,
Cześć druha, własną nadstawił głowę,
Dowodem w karby zrąbana czaszka:
Bo jego przyjaźń nie czekało fraszka,
Lecz ważna sprawa na śmierć i życie!

Owoż i teraz, Bóg drobne dziecie
Zesłał w pocziwie chorąztwa progi:
Ztąd taki uśmiech rozjaśnia błogi

Lica małżonków; ztąd gości tyle
Przybyło dzielić ucielną chwilę.
Wprawdzie to dziewczę:

Toć mocny Boże
I z tego chwała Tobie być może.
Wszakci niewiasta podporą domu,
Póki Pan na nią nie ześle sromu,
Póki chowana w pobożnej wierze
Progów domowych z aniołem strzeże;
Pokąd pocziwość w jej obyczaju,
Póty Pan z oka nie spuści kraju:
Bo cześć niewiasty—to zbroja owa,
Za którą naród czei swej dochowa.
Nie daj zlej, Panie, dożyć godziny,
Jeżli za ciężkie karcąc nas winy,
Dłoń Twa, domowe zburzy ołtarze
I czoła niewiast bezwstydem zmaże.

Ależ do tego jeszcze daleko!
Niech na nas spadnie dębowe wieko,
Niech nam w proch serca robactwo stoczy,
Nim onę hańbę ujrzym na oczy.

Tak rzecze ojciec, i łza mu płynie
Wzdłuż po jagodzie, i ku dziecinie

Błogosławiącą wyciąga rękę.
Za nim kumowie; a on w podziękę
Woła co żywo:

— Urszulko! wina!

Wiwat! niech żyje nasza dziewczyna!
Niech jej patronka, Elżbieta święta,
W drożynie życia o niej pamięta.
Choć na Turyngów nie siedzie tronie,
Niechaj jak tamta chadza w koronie:
W onej koronie zdobnej w klejnoty
Ludzkiej miłości—wiary a cnoty,
Której nie zniszczy ogień, ni woda.
—Wiwat! niech żyje dziewczeczka młoda!—

Starce i młodzi wołają spolem,
A puhar krąży z rąk do rąk kołem;
Aż gdy go ujął on srebrnowłosy
Starzec, co dzielił hetmańskie losy
W niewoli Turka: toż obie dłonie
Uniósł do góry ku wschodniej stronie,
Zkąd promień gwiazdy drgając różowy
Zawisł powyżej dziecięcej głowy;
U stóp kolebki stanął z powagą,
Kilkakroć skronią potrząsnął nagą,

I wyrzekł zcicha, rzewnie a drżąc,
Wskazując zdala gwiazdę błyszczącą:
—Imię Elżbiety z laty zasłynie,
Jak ona gwiazda polskiej krainie!

I umilkł starzec, a słowa wieszczę
Ściany komnaty odrzmiały jeszcze.
Jak zasiał makiem—cisza wśród sali
I nawet puhar nie krąży dalej;
A uśmiech przebiegł usta dzieciny,
Wyciągła w górę wątle rączyny,
Jakby jej błysła postać anioła.

I znów się wrzawa wzmaga dokoła,
Krążą kielichy, brzęczą szablice,
Radość rumieńcem tryska na lice.
Głośnie okrzyki, serdeczne śmiechy
Płyną w świat Boży z pod niskiej strzechy;
Brzmią krakowiaka skrzypki i basy,
Poszmerem blizkie wtórzą im lasy;
Kwilą słowiki ukryte w wrzosie,
Z wiatrem dźwięk pieśni płynie po rosie,
I okrażają zmieszane gwary
Czarownem kołem dworek on stary.

A tam pod strzechą skromną i niską,
Stróż anioł chwieje z lekka kołyską,
I przymknął zcicha dziewczeczki oczy
Na błogosławieństw odgłos proroczy;
I zdala drobna gwiazda różowo
Ponad Elżbiety przyświeca głową.

II.

I czemuż ledwie zbiegło lat kilka,
Radosna wrzawa nagle umilka
W szerokiej Polsce; jeno ponuro
Żałobna chmura przeciąga górą,
Słoniąc widnokrąg skrzydły kruczemi?
O! głuchoż, pusto na Piastów ziemi!
Bo legł w grobowcu bohater dzielny,
Przyodzian w chwały blask nieśmiertelny:
Co z piersi zacnej czyniąc przedmurze,
Wstrzymał ciągnącą od Wschodu burzę.
Skrył już grobowiec zimny, głęboki,
Króla rycerza dostojne zwłoki.

Ramię co światem wstrząsało tak dumnie,
Już odpoczywa w dębowej trumnie,
W skromnym klasztorze ubogiej braci,
Gdzie długa cisza hojnie mu płaci
Mnogie a ciężkie żywota znoje,
Nim się rozemkną rdzawe podwoje
Grobowów wykutych w skale Wawelu,
I król odpocznie wśród braci wielu,
Którym wilgotne sklepienia mury,
W proch już monarsze zjadły purpury.
Lecz niepożyta, Janie, twa chwała,
Ciebie niezgasłym blaskiem odziała.
Toż świętokradzca — on czas zuchwały,
Co suszy morza, druzgocze skały,
Przeszłość kirowym spowija cieniem,
Groby znieważa wiecznem milczeniem;
On z twojej chwały nic nie uroni,
Nie uszczknie liścia z twej martwej skroni,
Boś wielki Janie w świętym zapale,
Nie gwoli własnej dźwignął był chwale
Silną prawicą oręż twój nagi,
Jeno chcąc Bożej mści się zniewagi.
Twego to miecza sprawiło ostrze,
Że krzyż na wieki ramię rozpostrze

Wszereż Europy—z morza do morza;
Toż z trumiennego twojego łoża
Dopóki ziemi w przestworzu stanie,
Będziesz oglądał, o wielki Janie!
Żrzałe owoce twojego czynu,
I liść niezwydły twego wawrzynu.

Kiedy ramienia Jana niestało,
Wicher niezgody Polską wstrząsł całą.
Prymas wciąż radzi z posły i pany,
Królewska wdowa rzuca tumany
Na oczy szlachcie, i własne dzieci
Osnuwa w intryg niewieścich sieci.
Wojsko się zbrojno domaga płacy;
A wtém, jak owi drapieżni ptacy,
Co za wyziewy ciągną trupiami,
Już gospodarzą w Halickiej ziemi
Dzikie Tatary zgrają obrzydłą,
Już zagrabią ją jeńce i bydło,
Płądrują dworce, kościoły pałą,
A w ślad za nimi ognistą falą,
Niby wzburzone morskie bałwany,
Gorą płomieniem kłosisłe łąny.

I rok się przewłókl w ciężkiej rozterce,
A w zbolałego narodu serce
Wnet się wgryzają żmije niezgody,
I na wyścigi wśród mętnej wody,
Gdy w zamuloném jeziorze drzymie,
Obcy nurzają wędy olbrzymie.
Blask ich królewskiej znęca korony:
I Lotaryngi, Niemce, Burbony,
Patrzą łakomie na berło złote.
Naród, królewską radby sierotę
Odziać purpurą, pomny zasługi
Cnego rodzica; lecz poczet długi
Matczynych matactw, przychylność ziębi
Ku krwi francuzkiej w serc prawych głębi.

Konno, orężno wyciąga w pole,
Na obiór króla szlachta pod Wolę.
Owi w żupanach, w kapotach drudzy;
Za tymi w barwie dworscy i słudzy,
A on szaraczek—biedak od pługą,
Na chudej szkapce, sam pan, sam sługa
Wraz po cholewach odróżnisz pany,
Jakoć ród orli z pierza poznany;

Lecz się wystrychnie snadno na żaka,
Kto sądzi z miny, a nie z kubraka.
Bo u szlachetki, choć to chudzina,
Wąs zawieszisty, gęsta czupryna!
Zadziera nosa prostaczek lichy,
I rad się z pańskiej natrząsa pychy,
I zwykł powtarzać:—co świeci jaśnie,
To skoro dmuchniesz, by świeca zgaśnie,
Jeno mosanie zawdy zostanie;
Bo siła kłósów na polskim łanie.
I szlachcic dumny, bo w swej zagrodzie
Równy księżęciu i wojewodzie.
Bo każdy świadom, że jednym słowem
Uczyni popłoch w kole sejmowem,
Niech jeno *ve to* krzyknie zdaleka,
To jakbyś dolał kwasu do mleka,
Wszelkie narady pójdą na nice.
Ostro więc szlachcic dźwiga szablce,
Nawet gdy bronę wie dzie na rolę:
Dopieroż dzisiaj, ciągnąc pod Wolę,
Pod swej chorągwi rycerskim znakiem,
Radzeby przestrzeń przelecieć ptakiem,
Bo to nie żartem kęs człeku miły,
Czuć się cząsteczką nielada siły!

I nasz chorąży jedzie w te tropy,
Za nim dwa syny, by dęby chłopcy;
Choć im się bieli pod nosem mleko,
Toż wzrostem ojca już niedaleko.
Chorąży wie dzie swe sokoleta,
Bo on te czasy dobrze pamięta,
Gdy go pacholka wiódł ojciec stary,
Na sandomierskiej ziemi obszary;
Gdzie pod Gołębiem, drużyna cała
Dzielnie podparła króla Michała.

— Niechże i dzieciuch na obiór dąży—
Tak sobie w duchu mówi chorąży—
Kto wie, czy gratkę Bóg zdarzy drugą,
By biedz krajowi z taką posługą;
A niech od młodu znają chłopaki,
Że to przywilej nieladajaki
Kogo Bóg odział w szlachecką skórę!—
I dumnie wąsa pokreślił w górę,
A potem w myślach błądzi jak w lesie:
To ku rodzinnej zwróci ją strzesze,
Kędy Urszula została z dziatwą.
Oj! ztamtąd wybiedz myśli nielatwo,

Gdy serce dzielna siła nałogu,
Do domowego przykuwa progu.
Aleć się szlachcic zarówno prawy,
Pospolitemi zajmuje sprawy,
A tu dziś kłopot nielada pono,
Kogo królewską uczcić koroną,
Za kim wymówić słowo przychylnie:
Wszak sądy ludzkie dziwnie omylne.

W myśl mu nie idzie on książę Conti.
Bo to Francuzom brak klepki piątęj;
Pomniął chorąży Walezyusza,
Jak potajemnie z Krakowa rusza,
Skoro francuzkie berło mu błysło.
Oj źle mu było nad starą Wisłą,
Toż jak oparzon, na oślepi goni
Ku królobójczęj Jakóba dłoni.

I Badeńczyka królem nie życzy,
Choć on przed laty, tureckiej dziczy
Dał się we znaki pod Siedmiogrodem,
Bo z Brandeburga spokrewnion rodem;
Zgodą, ród kurek czubatych kusy,
Gotów mu oddać królewskie Prusy.

Nie rad też myśli o elektorze,
Co wciąż na saskim ucztuje dworze;
Dzielnyż co prawda, lecz dziwnie płochy.
Choć on przyrzeka odbić Wołochy,
Strąci z Kamieńca złote księżyce:
Pisz ty na wodzie czcze obietnice!
Nie zawdy skutek czyni im zadość,
A obiecanka—głupiemu radość!

Pełen chorąży serdecznej chęci
Ku Jakóbowi, wierny pamięci
Wielkiego Jana, z którym za młodu
Krwia pieczętował sławę narodu;
Więc stać zamierza pod znaki swemi,
Obok biskupa kujawskiej ziemi,
Co za Jakóbem duszą i ciałem
Drogę mu znaczyć chce pastorałem
Wprost ku tronowi, społem z hetmany,
I z Wielkopolski możnemi pany.
Trzebaż to będzie płynąć pod wodę!
Bo wicher wyparł pisklęta młode
Z ich rodzinnego w Karpatach gniazda;
I już pono Janiny gwiazda
Jeno w słonecznem zaświeci kole!

Owoż chorąży puścił na wolę
Wodze karemu; pochylił głowę,
Ciągnąc by z kłębka myśli osnowę.
Żwawo tymczasem drużyna gwarzy:
Radzą pospołu młodzi i starzy,
Wszyscy serdecznej pełni otuchy:
Że naród przecie nie będzie głuchy
Na głos wdzięczności, zmarłemu gwoli,
I Jakóbowi dźwiznąć dozwoli
Po zacnym ojcu berło z purpurą.
A słońce lekką owiane chmurą,
Zbiega pomału w zachodnią stronę,
Złocąc Mazowsza niwy zielone;
Aż gdy do reszty na niebie zgasło,
Chórem zabrzmiało wieczorne hasło:
Kto się w opiekę—spólnemi głosy
Śpiewa drużyna, a krople rosy
Niosą ku niebu hymn ziemskiej chwały.

I zwolna, zwolna na obszar cały
Nocny się pomrok dokoła ścięle,
I zewsząd szlachty nadciąga wiele:
Bo ku celowi przestrzeń już bliska.
W polu szeroko płoną ogniska,

A cień rzucają wśród nich okopy,
Chroniące owej obszernej szopy,
Gdzie ma się jutro rozbić los kraju;
Jeżeli zgodnie, po obyczaju,
Wielcy i mali, senat i stany,
Słowem potwierdzą wyrok wydany.

Trudnoż to w jedność zlać ludzkie myśli,
Gdy każda plany osobne kreśli,
Kiedy intrzygi, prośby, namowy,
Wirem zmacają szlacheckie głowy!
Bywać to wszakże, jeśli duch Boży
Swe białopióre skrzydła rozłoży
Nad głową wiernych, i chęci wielu
Do zbawiennego powiedzie celu:
Tak tu bywało, przez mnogie lata,
Na przykład wiekom, na podziw świata.

Przybił do mety późną godziną
Zacny chorąży z szlachty drużyną.
W górę wybuchło ognisko nowe,
A po przekazce każdy rad, głowę
Tuląc do słomy, śpi jak zabity.
Jeno rzą konie, tętnią kopyty,
Żując łakomie owies i siano.

Ledwie zabłyśła jutrzienka rano,
Obóz się roi, istnie jak mrowie,
Z stolicy zbrojni ciągną panowie.
Tu, owdzie słyhać gwary, narady,
Szepty, namowy, groźby i zwady:
Ci przedstawiają dziwne korzyści,
Gdy się Contego obiór uіsci;
Tamci obstają szczerze za Sasem,
Ci życzą Piasta. Słońce tymczasem,
Jasnym obłokiem złotych promieni,
Szczyty warszawskich wieżyc rumieni;
Szlachta co żywo dosiada koni,
Broń na temblakach ostro im dzwoni,
Wiatr z wylotami igra konfuszy,
Młodym i starcom wre ogień w duszy,
Gdy myśl po niwach przyszłości hula:
Znać, że dziś naród obiera króla!

Wtem, trąb i kottów dźwięki zagrzmiały,
I poczet panów ciągnie wspaniały.
Pod tym się Turek udatnie składa,
Ledwie kopyty ziemię dopada,
A na Arabach przeczystej rasy,
Strojni w karmazyn i altembasy,

Jadą hetmani dierzząc buławę,
Z szram ich wyczytać zacność i sławę.
Tłumem za nimi dążą w zawody
Cne kasztelań i wojewody;
A Radziejowski prymas na przedzie,
Sam w sześciokonnej kolebce jedzie.
Szata z purpury barki mu słoni,
I drogi klejnot błyszczy na dłoni,
A za nim biskup kujawskiej ziemi,
Dąbski, z prałaty jedzie siwemi.
Grzmią stutysięczne szlachty oklaski,
Prymas przykleka, i Bożej łaski
Błaga, unosząc dłonie do góry;
Wtem, przysłoniły widnokrąg chmury,
Wicher w chorągwie z szelestem chwieje,
Studząc zbudzone w sercach nadzieje.

W bojowym szyku stawa drużyna,
Wreszcie się obiór króla poczyną.
Prymas ogłasza poczet niemalý
Książąt spragnionych królewskiej chwały.
Znać Francuzowi sprzyja on szczerze,
A szlachta za nim w pocziwej wierze:

— Niech żyje Konti! — głośno wykrzyka —
Zdajmy koronę w ręce Ludwika.

Aliści druga szlachty połowa
Inne natomiast powtarza słowa:
— Niech żyje Jakób! przecie w nim płynie
Krew drogocenna polskiej krainie! —
Inni za Sasem chęci znów głoszą:
— Nie żart, Multany odbić z Wołoszą! —
A wierni jemu klą się na głowę,
Że już odwołał błędy Lutrowe.

Pomimo krzyków, gwaru a wrzawy,
Prymas powraca wraz do Warszawy;
Panów i szlachty moc niesłuchana
Dąży w przybytek świętego Jana.
O starożytne mury sklepienia,
Już się dziękczynne odbiły pienia,
A lud tłumami zalega place,
Kędy migocą ogniste race.

Biskup kujawski pozostał w Woli,
Los królewicza srodze go boli;
Ale że muru nie przebić głową,
Zwija chorągiew wraz Jakóbową;

A niechcąc torem dążyć prymasa,
Ogłasza królem Augusta Sasa.

Radzi przystają hetmani oba,
Bo się król rycerz starcom podoba;
Wszak mu na czole kwitną wawrzyny,
Jak wosk, podkowy zgina i szyny;
Gdy Bóg dał siłę, przy dzielnej duszy,
Toż wnet Kamieńca bramy rozkruszy,
I on niebacznie klejnot zroniony,
Gotów przywrócić znów do korony.
Znają młodego czyny rycerza,
Winogradowe Renu wybrzeża;
Niemniejsze w Węgrzech kładł on zasługi,
Skarb ma zamożny—toż spłaci długi
Rzeczpospolitą cisnące srodze:
Jemu powierzmy narodu wodze!
Bógci go zsyła z przedwiecznej łaski,
Wiwat—niech żyje elektor saski!

Tak za biskupem i za hetmany
Wykrzyka szlachta i radne pany;
Biskup na ziemię pada w pokorze,
I wielbi święte zrządzenie Boże.

Grzmi hymn dziękczynny spólnemi głosy,
Aż się skłoniły pszeniczne kłosy,
Co w bujną zieleń jak sięgnie oko,
Łany Mazowsza ścielą szeroko.

A poseł Fleming rad się uśmiecha,
Sypie nadzieje, niby groch z miecha,
Klnie się, w dworaków wyćwiczon mowie,
Że skoro biskup i cni panowie
Wnijdą w katedry odwieczne mury,
Toż on prawicę wzniesie do góry,
I zaprzysięże wraz pod sklepieniem
Pacta conventa księcia imieniem.

Grzmotem oklaski płyną na pole;
Senat i szlachta opuszcza Wolę,
I za biskupiej kolebki torem,
Dąży ku miastu zbrojnym taborem.
Jeno chorąży dziwnie zsowiały,
Spojrzał ponuro w orszak on cały,
Potrząsnął głową, i bąknął zcicha:
— „Szatan im spletał rozum do licha;
Jako Bóg Bogiem rzecz niesłychana,
By Luter kaził przybytek Pana,

Kacerskich przysięg marnemi słowy.
Choćbyś zgromadził i białogłowy
Z Polski i Litwy; głowę mą kładę,
Żeby mądrzejszą złożyły radę.
Co nam po Sasie? choć kordem włada,
Nikt się po ludzku z Niemcem nie zgada:
Zawsze człek swoje, czort swoje plecie.
Żle mili bracia żyć dziś na świecie,
Zemił nam Duch Boży blask swej pochodni,
Znać, żeśmy Jego darów niegodni!”

— „Trzebaż nam było położyć v e t o!”
Woła zagrzana nową podniętą
Drużyna szlachty, wznosząc szablice;
A gniew im żarem spada na lice.

— „Pożal się Boże na krzyki czasu,
Kiedy wilk owcę poniósł do lasu—
Rzecz chorąży;—toć bracia moi,
Choć szlachcic święcie przy prawie stoi,
Gdy nie pozwalam! krzyknie w potrzebie:
Wszak to srom wielki, jak Bóg na niebie,
Trzebaż mu zażyć wstydu i trwogi,
I za pas zbierać nieskore nogi.

Ba! nieraz człowiek cześcią i głową,
To niefortunne przypłaci słowo!
A nasz Siciński sprawca bezrządu?
W Babieńcu czeka Bożego sądu,
I na bezkarne żaków zniewagi,
Ohydnie szkielet wystawia nagi.
Źle żyć i umrzeć w ludzkiej ohydzie!
Niech raczej wszystko na opak idzie,
Niech los po grzbiecie ćwiczy batogiem,
Nam się nie kłócić z ludźmi, ni Bogiem.
Choć snadniej puścić wodze swawoli,
Niż nagiąć karku ku wyższej woli;
Toć bracia-szlachta, nie mącmy wody,
Bo jeno zgodą stoją narody!"

— „Oj święte słowa prawi chorąży” —
Zawoła szlachta, i wraz okrzyży
Jakoby wieniec miłego brata;
A słońce zwolna zbiega ze świata.
— „Czas nam już w drogę — chorąży rzecze, —
Choć przed frasunkiem człek nie uciecze,
Aliści snadniej, rzecz to wiadoma,
Troskę pod progiem zakopać doma!

I ku Warszawie powiódł żrenicą,
Łzy mu z pod powiek perłami świecą;
Krzyż ręką skreślił, i wsteczną drogą
Pomknął, karego spiąwszy ostrogą.
Wraz z nim drużyna i obaj syny,
Wzdłuż mazowieckiej suną równiny:
Pył się za niemi wznosi obłokiem,
I niebo zwolna zachodzi mrokiem,
Aż cienie nocną pokryły dobą
Lica zorane ciężką żałobą.

Jadą dzień jeden, drugi i trzeci,
Jaskrawo słońce na niebie świeci:
Jak zwykle bywa, gdy w zodyaku
Lew następuje w ślady po Raku.
Toż żywy ogień z nieba dopieka,
Droga piaszczysta, ciężka, daleka.
Wszystkoż to fraszka: oj! stokroć ciężej,
Kiedy niepokój w sercu mitręży.

Aż dnia trzeciego mozolnej drogi,
Kary ochoczej jął zbierać nogi:
Żuje wędzidło, podrzuca głową,
Grzywą od pyłu wstrząsając płową,

Choć strudzonemu trzydniowym biegiem,
Boki spienionym zachodzą śniegiem.
Znać uczuł zdala ziół onych wonie,
Co zaścielają rodzinne błonie.

A gdy prąd Warty bystry a siny,
Kończąc Mazowsza płaskie równiny,
Wielkopolanów wskazuje oku
Wzgórza tonące w szarym obłoku;
Wszystkim na sercu rażniej i miliej.
Inną tu pieśnię skowronek kwili,
A skryta w życie przepiórka siwa,
Ochoczej żeńce woła do żniwa;
Dźwięczniej tu nawet kościelne dzwony
Biją wieczorne Maryi pokłony;
Głośniej tu potok szepcze po żwirze,
Szerzej ramiona rozwarły krzyże;
Milsze tu kwiaty, czystsze źródła,
Bo wszystko znane, bo wszystko swoje,
Nibyto czarów siłą zaklęte,
Bo ukochaniem—wielkie a święte.
Tu się zielenią drogie mogiły,
Tu się uczucia młode spoity;

Z łąk tych powiewem, z drzew tych szelestem,
Tu człek powtórny skąpany chrzestem.
Łzą a boleścią wstępując w życie,
Pierwszą ich perłę wyronił skrycie,
By początkowe różańca ziarno,
Zanim ostatnie, pod miękką darną,
Kończąc on szereg twardy a długi,
Opasze żywot wieńcem zasługi.

Znanemi głosy brzmia świerszcze w trawie,
Zdała wysokie skrzypią żórawie,
Słoniąc bielone dworków kominy,
Które w górę bucha dym siny.

Każdą w bok ścieżką, miedzą i szlakiem,
Chyżo się szlachta rozbiega ptakiem:
I z dwoma syny jeno chorąży
W progi domowe pośpiesznie dąży.
A blask ostatni złotych promieni
Chce go ubieczyć w blizkiej przestrzeni;
Lecz on się nawet nie da i słońcu!
Spiąwszy karego, przebiega w końcu
Wianek olszyny jednym poskokiem,
I w całym blasku przed jego okiem

Miga już dworek, wioska, dom Boży,
Oblane wdzięcznym rumieńcem zórzy.
Nad starą strzechą przy bocznej ścianie,
Sterczy na kłonie gniazdo bocianie,
I dach wokoło zemszony, szary,
Obsiadły śnieżnych gołębi pary.

Husarskie serce woskiem topnieje,
W lot zbiegły z myśli ciężkie koleje,
Jak pierzcha kruków złowieszczych stado,
Kiedy jutrzienka zaświeci blado;
Bo widzi zdala, jak do Urszuli
W podwórku drobna dziatwa się tuli,
By do jaskółki w gniazdku piskłęta.

Brama na rozścież już odemknięta.
Dziwneż radości zbiegły go dreszcze!
Skacze z karego, a słonko jeszcze
Mruga promieniem nad blizkim lasem;
Dziatwa okrąża ojca tymczasem,
A matka męża i synów wita.
Rży kary, bije o bruk kopyta,
Boć i on spragnion wody ze źródła,
Radby u żłobu spocząć po znoju.

W gronie dziateczek, niby jagoda,
Świeci urodą Elżbietka młoda.

Ledwie jej dziewięć dobiega latek,
Lecz znać na licu dziewiczy statek;
Chociaż jak dziecię czasami żywa,
Już jej żrenica w głębi ukrywa
Rychło zbudzonej myśli zarody.
Jak na dnie czystej dostrzeżesz wody,
Drobne krzemki i ostre żwiry,
Co wydobyte przyszlęmi wiry,
Potok szumiącą pokryją pianą:
Znać, te podmuchy niebawem wstaną,
Co łódź jej życia pomkną od brzegu!

Choć jeszcze dziewczę swobodnie biega
Po umajonej łąki kobiercu,
A przecież troska znana jej sercu,
I lżę gorącą zna już powieka:
Zda się przeczuwa burze zdaleka,
Gdy widzi co dnia na bliźnich czole
Rylcem żywota zorane bole.
O! już zgaduje niedolę dziecie,
Bo na szerokim dostrzega świecie
Mgłę, co widnokrąg czasami słoni;
Już młode ucho Elżbiety goni
Jęk, który mrokiem ku niebu z rosą
Anieli z ziemi do Boga niosą.

A przy kościelnych dzwonów podzwieku,
Gdy wesprze dziewczę głowę na rękę:
Z czoła jej zbiega wesołość płocha,
Bo już Elżbieta czuje i kocha.
A ten się z bolem brata za młodu,
Kto zbliża usta do kropli miodu!
Wszak ból z miłością do serca wpływa:
To dwa jednakie życia ogniwa;
A człowiek z pasma miłości złotej,
Snuje nić trwogi, i mgłę tęsknoty.

Choć nad Elżbietą czuwa stróż Boży,
Alić się ona smuci i trwoży,
Gdy szron przyprószy na grzędzie kwiaty,
Czy im nie splami bieluchnej szaty?
Gdy wiatr szarugę na skrzydłach niesie,
Czy nie umilkną ptaszyny w lesie?
Smuci się dziecię w jesienną słotę,
Gdy brzoza barwy przybiera złote;
Bo wraz przeczuwa listopad szary,
Jak strząśnie z liścia drzewin konary;
Trwoży się dziecię, gdy w mrocznej ciszy
Kwilenie sowy zdala posłyszysz.

Już do jasnego dziecka oblicza
Czepia się ona mgła tajemnicza,
Która porankiem odbłaski świtu,
Lubi z czystego zganiać błękitu.
Oko jej długą ścmionę powieką,
Rade pogląda w przestrzeń daleką,
Gdy płaszcz gwiazdzisty widnokrąg słoni;
A myśl dziecięca, w wiecznej pogoni
Siega za światów promienne koła,
Gdzie ją pieśń nęci stróża anioła.

Ale nietylko we mgle obłoku
Jawi się anioł Elżbiety oku!
Spływa on z góry, i nad jej głowę
Ściele jej w kwiaty progi domowe.
On ciepłem tchnieniem życzliwość budzi
W młodem jej sercu, do braci ludzi;
On jej wskazuje zagon zielony,
Gdzie dłoń jej czysta zbierać ma plony,
Aby z nich kiedyś wieniec bogaty,
Z pokorą Panu ponieść w zaświaty.

I czystą pieśnią karmi jej ducha
Biały stróż anioł, a ona słucha

Czarownych dźwięków, w cichej pokorze.
Czy stare dęby zaszumią w borze,
Czy z miedzy płynąc, skowronek w górę
Drobnemi skrzydły rozpara chmurę;
Czy po zagonie prowadząc woły,
Śpiewa przy pracy kmiotek wesóły;
Czyli w kościele, w kadzideł dymie,
Pieśnią brzmi Pana przedwieczne imię:
Toż w każdym dźwięku i w każdym brzmieniu,
Co ku jasnemu płynie sklepieniu,
Słyszy Elżbieta te srebrne zgłoski,
Które ślą w niebo ku chwale Boskiej
Z ludzkiemi głosy stróże ich biali,
Wiecznie po modrej żeglując fali.

I czy na jawie, czy nocą we śnie,
Wszystko Elżbiecie wiąże się w pieśnię;
Cokolwiek widzi, słyszy i czuje,
Myśl jej w czarowny obraz kształtuje.
I w onej chwili wlepia źrenicę
W zgorzałe spiekami ojcowskie lice;
Gdy on pod lipą w rodzinnem kole,
Rad wygrzebuje z pod serca bole,

Dzieląc frasunki i ciężkie troski
Z tą, którą wytok wskazał mu Boski,
By z ramion jego na własne bary,
W połowie życia brała ciężary.
A gdy przygoda skłóci go z światem,
Dni jego drobnym barwiła kwiatem,
Będąc mu wieńcem sędziwej głowy.

Słucha Elżbieta długiej osnowy
Powieści ojca: niby mgła błada
Na gładkie lica dziewczeczki spada,
A dziwnym ogniem gore jej oko,
Myśl jej ubiega w przestrzeń szeroką:
I niby widzi obioru pole,
I radne pany w senatu kole,
I konną szlachtę z orężem w dłoni;
Słyszy szcęk szablic i rżenie koni,
I wiatr, co świszcząc znaki roztrąca;
I łzę dostrzega, jak cicha, drżąca,
Spływa z pod ojca mężkiej powieki;
I niby widzi z strony dalekiej
Jak płynie biały anioł w obłoku,
I tę łzę w mężkiem zronioną oku,

Co lśni na licu jak perła droga,
W zakład przyszłości składa u Boga!

Umilkł chorąży, pochylił czoło.
Mrok się wieczorny ściele wokoło,
Zacna małżonka wsparła w milczeniu
Głowę na drogiem męża ramieniu,
Dłoń jego w miękkie ujęła dłońie.
I zwolna uczuł chorąży w łonie
Zbudzony spokój, a troskę z głowy
Zwiął mu nieznacznie powiew domowy.
Na wianek dziatwy patrzy z nadzieją,
Młodsze do serca tuli koleją;
A kiedy dostrzegł przy blasku zorzy
Smutek na licu Elżbietki hożej:
Tkliwie ją ujął w silne objęcia,
I krzyż na czole skreślił dziewczęciami,
Podnosząc w górę wzrok pełen wiary.

Na ciemne nieba wybiegł obszary
Srebrzysty księżyc, i blaski drżące
Odbija w rosie, co wzdłuż po łące
Kłębem wilgotne wznosi tumany.
Cały widnokrąg zda się zasłany

Niby zwierciadłem lśniącem jeziora,
I zwolna, wśród cieniów wieczora,
Jedna po drugiej milczące gwiazdy
Wiodą w półkole nocne swe jazdy.

Naprzód z Południa wschodzi Z w i e r z ę c a,
Mieszkańce kniei ku łowom znęca,
Gdy dzwon wieczorny płynąc po świecie,
Już do snu czujne powołał kmiecie.
Dalej nad głową w ciemnej omroczy,
W ó z się olbrzymi pomału toczy,
A w jego ślady, para po parze
Z srebrnemi Kosy ciągną K o s a r z e.
Wreszcie na zachód od wschodniej strony,
Przepływa niby szlak uperlony:
Mnogie on Polsce świeci już wieki!
Bo gdy wieziono z strony dalekiej
Słynną cudami Bogarodzącę,
Na Częstochowską niegdyś stolicę:
Anieli znacząc drogę swej pani,
Lilie z niebios sieli jej w dani.
Toż widząc naród żarliwy w wierze,
Marya syna błagała szczerze,

Aby ów wieniec w cześć jej zesłany
Wciąż nad polskimi przyswiewał lany.
I odtąd mleczna zabłysła droga,
A po niej każdy wznosi do Boga:
Czy pan dostojny, czy kміeć ubogi,
Łzę i modlitwę w niebieskie progi.

Gdy ją dostrzegła cicha rodzina,
Chorąży naprzód kolano zgina;
Za nim małżonka, i dziatwy grono,
Wszystkich żrenice w błękiecie tona,
I z wszystkich piersi, dźwięk pełny, długi,
Na Wielkopolskie wypływa smugi;
Aż odgłos pieśni, słowo po słowie,
Zdala w odwiecznej milknie dąbrowie.

III.

W chorążtwa dworze siła gawiedzi.
Hurmem się w bramę garną sąsiedzi,
I drobna szlachta, i możne pany.
Ależ w przyjęciu nie dojrzeć zmiany,
Bo sam gospodarz stojąc u proga
Każdego wita w imieniu Boga,
Szczerze, pocziwym uściskiem dłoni,
I jedno starcom niżej się kłoni.

Głowy szlacheckie w krąg podgolone,
Włos im nad czołem tworzy koronę,
W znak, że z polskiego jeszcze zagonu,
Prosta, a gładka droga do tronu.

Wszakci nie jeden, jak Piast nasz stary,
Cięższe od pługa dźwigał ciężary,
Piastując berło szorstką prawicą!

Przy sutych pasach nadobnie świecą
Krzywe ich szable, kordy ze stali;
Czerstwe oblicza rumieniec pali,
A wąs sumiasty przy czaszce nagiej
Dodaje licu dziwnej powagi.

Skryta przed skwarnem słońca promieniem
Odwiecznej lipy szerokim cieniem,
Zasiadła gawiedź ławy i stołki.
Mrowiem się suną w barwie pacholki,
Znosząc gąsior y miodu i wina;
Duszkciem, do kropli spełnia drużyna
On kocha jmy się, puhar tak znany,
Aż białe dworku zadrżały ściany:
I z pieśnią afekt ku niebu wzłata,
Gdy brat do serca przygarnia brata.

Zasiadł chorąży na końcu stoła,
Okrążon wieńcem szlachty dokoła;
A po prawicy zasadził starce,
Baczny, by węgrzyn nie schnął im w czarce.

Na boku stoją rzędem młodziany:
Znać, że im stary obyczaj znany,
Bo wszyscy korni, z odkrytą głową.
Z ust im się płocze nie wyrwie słowo,
Chyba którego starszy zagadnie;
Toć on odpowie grzecznie a składnie,
I znów cichutko, jak zasiał makiem,
Do grona młodzi cofa się rakiem.
Wszak przykazanie zna młodzian Boże:
Czcij ojca, matkę w świętej pokorze;
A każdyć ojcem, kto zebrał mnogi
Zasób doświadczeń wśród życia drogi.

Skoro wiwaty znikły chwilowo,
Powstał chorąży z odkrytą głową;
Pokręcił wąsa, strząsnął wyloty,
Spojrzał na szablę, na pierścień złoty,
Chcąc ich widokiem pokrzepić ducha.
Wśród koła cisza powstała głucha;
I każdy chciwie zwraca źrenicę
Na gospodarza sędziwe lice.

— Panowie bracia mnie wielce mili!
Dzięki wam, żeście uczcić raczyli

Nizkie me progi—(zwolna zagada)—
Dziś nam żywiebóg potrzebna rada.
Toż gdy się człowiek do dzieła bierze,
Niech pogawędzi z drugiem i szczerze;
Bo wielka mądrość spoczywa w słowie!
Tak zwykli mawiać niegdyś ojcowie.
Ważneż się bracia gotują sprawy:
Wczora tu przybył goniec z Warszawy,
Brat mi go zesłał, co się od młodu
Trzyma zacnego Sieniawskich rodu.
Owożto bracia, żaden z was nie wie:
Prymas ogłosił znów bezkrólewie!

— Co? bezkrólewie!—zawoła razem
Szlachta, szczękając szablic żelazem,
I na ich czołach słowo to kreśli
W odmienny sposób zbudzone myśli:
Tu na obliczu kłębią się chmury,
Tam znów czupryna i wąs do góry;
Tu ogniem młoda zrenica błyska,
Tam dłoń stalową rękojeść ścisła:
Znać każdy wróży, iż niezadługo
Przyjdzie mu obiór oblać krwi strugą.

Innać rzecz, kiedy maszczoną głowę
Kryje głęboko wieko dębowe;
Inna gdy losy wicherzą nią srogo.
Wszak orłu skrzydła odrosnąć mogą,
A biada drobnym, gdy w nowe pierze
I w nowe szpony ptak się przybierze.

— Jak mi Bóg miły!—zawoła w gniewie
Podeszły skarbnik—toż bezkrólewie
Prymas swej własnej gwoli prywatnie
Dziś nam ogłasza. Nie, panie bracie!
Twoje matactwa pójdą na nice:
Darmoż u boków nosim szablice?
Na toż wyrzeklim przed Bogiem słowo,
By na przysięgę zmieniać je nową,
Jak białogłowa odmienia szaty?
Nie tak bywało bracia przed laty:
Człowiek z przysięgą zespolon razem,
Jak grzbiet z kołczugi twardym żelazem,
Póty ją dźwigał, aż z nią pospołu
Do grobowego dowlekl się dołu.
Inne dziś czasy, inne zwyczaj!

— Niech nas szanowny skarbnik nie łaje:
Każdyc z nas waży słowo przysięgi,
I gotów za nią głowę pod cęgla

Łożyć w potrzebie: czyż my mosanie
Te chorągiewki, co łađa wianie
Z jednej na drugą wykreca stronę?
My sodalisy w szkaplerz zbrojone:
Któż z nas nie dotrwał w wierze swej Pani?
Kogóż Królowa nasza pogani,
Że jej nie służy wiernie a stale?
Próżne skarbniku waszmości żale:
Nikt nas o podłość winić nie zdoła,
Toż w górę nosim bez zmazy czoła.—

Tak rzekł chorąży, potarł czuprynę,
Dziwnie poważną nastroił minę;
Umilkł, a oko powiódł sokołe
Po braci szlachty milczącym kole.
Oni wskazali skinieniem głowy,
By ciągnął wątek dalszej osnowy.
— Z Sasem rzecz inna, mości skarbniku—
Prawi chorąży—oj! bo bez liku
Grzechów na jego cięży obiorze.
Wszak my tam byli, pożał się Boże!
I jak na dłoni znamy rzecz całą.
Czyż wykrzykiwać króla przystało,
Kiedy z prymasem szlachty połowa
Ku niebu słała dziękczynne słowa

Za onym Kontym, co napół żywy,
Przed Gdańszczanami drapnął z Oliwy?
A chciwy błazeństw francuzkich, ptakiem
Wprost do Wersalu darł z Poliniakiem,
Gdy mu proch polski zawiercił głowę.
Radbyż on posiadał berło gotowe,
Jakby bez trudu komu do gąbki
Same pieczone wpadły gołąbki.

Tu znów chorąży poprawił pasa:
— Ale czas wrócić—rzecze—do Sasa.
Wszakże wam bracia nie tajno pono,
Żeć to koronę z skarbca skradzioną,
Czasu obrzędu w starym Krakowie,
Na elektorskiej złożono głowie;
Toż nie dziwota bracia, że ona
Gardłem wyłazi dzisiaj korona!

— Choćby tak było—skarbnik zagadnie—
Dzielnież król August ramieniem władnie,
By się serc naszych dobić żelazem.
A cóżto bracia! puścimyż płazem
Królewskich zasług poczet niemały?
Dość o nich mówią Kamieńca skały,

I na wieżach dźwięnione krzyże,
I Podhajeckie zwycięstwo świeże,
I nasze pełne Podola łany,
I stary Elbląg, z kąd het wygnany
Już Brandeburga zastęp orgężny,
Wielkież to dzieła, którei mężny
Król, nasze serca zniewalał sobie;
Pięknież mu naród płaci w tej dobie!

Znać w las nie idzie skarbnika mowa;
Ów głowę skłania, drugi by sowa
Skruszoną myślą dziwnie się biedzi,
Jak Wielkanocnej czasu spowiedzi.
Jednak część większa zacej drużyny
Niezbýt ujęta Augusta czyny,
Jeno że niedość ćwiczona w słowie,
Czeka co przecie chorąży powie.
Bo też chorąży, to i u mien braci,
Więc słowo jego jak złoto płaci;
Gdy on podejmie rzecz jak przystało, —
To każdy na tem funduje śmiało,
Jak na węgielnym kamieniu zdanie.

On wąż pokręcił. — Owoż mosanie
Szczera to prawda — rzecze po chwili —
Lecz i naodwrot szala się chyli:

Choć są zasługi, jest też i ale!
Czyliż niesłuszne narodu żale,
Że w obietnicach August nieszczerzy?
One drabanty a muszkietery
Wodząc po kraju wbrew wszystkich woli,
Chlebem je polskiej wciąż karmi roli?
Czemuż swej głowy nie zleci straży
Naszych pancernych, naszych husarzy,
Coby ją cieniem orlich swych skrzydeł
Szczерze od zdraдных chronili sidel?
Czemuż choć Litwa biedna i głodna,
Saskie rejтары śle jej do Grodna,
Aby domowe ukrócić zwady?
Lepiejby szlachtę przyzwać do rady,
I poważnionych w kole sejmowem
Skłonić ku zgodzie królewskiem słowem.

Nareszcie, jakby na domiar biedy,
Co mu zadzierać było ze Szwedy?
Nie budzić licha, uczy przysłowie.
Dawnoż w Warszawie, ba! i w Krakowie
Dały się w znaki hufce Gustawa?
I gdyby nie ta Pani łaskawa,

Co w miłosierdziu nad wiernym ludem,
Grodu Jasnego ustrzegła cudem;
Żleby nam było, bracia w tej dobie!
Toć nie da wody zakłócić sobie
On młody Karol, co przerósł głową
Jak Bóg przykazał, sławę stryjową!

A skarbnik na to:—Nie wińmyż króla,
Że on dał posłuch radom Patkula,
I chciał Inflanty odbić stracone;
O cóż mu poszło? toć o koronę:
Czyż mamy prawo ganić go za to?

— Oj! Sas do korda, jakby na lato, —
Rzecz chorąży—wszystko poświęci,
Byle uczynił gwoili swej chęci.
Prawda, Inflanty kęs to nielada,
Lecz co się zwlecze, wždy nie przepada.
Niech się wprzód naród z biedy wyskubie,
Wówczas do wójta powrócić Kubie!
Dziś nie na dobie z Szwedem te spory,
Gdy kraj z niedawnych klęsk jeszcze chory:
Jemućby trzeba siły po znoju
Skrzepić owocem słodkim pokoju,

I doma ładu dobieć się wprzód,
Niż mieczem obce wojować ludy!

Owoż nie koniec na tem panowie!
Czemuż się August nie stawil w słowie,
Czemu małżonki nie zwozi z Drezna?
Dlaczego naród królowej nie zna?
Boć ta, niebaczna na wszelkie względy,
Dotąd kacerskie wyznaje błędy!
A August patrzy na to przez szpary,
I swej małżeńskiej nie pomny wiary,
Ważąc za plewę ogniwa złote,
Sieje u dworu niecną sromotę.
A przykład z góry potokiem płynie,
Aż się rozleje rzeką w dolinie!
Juże zepsucie, o! bracia moi,
Zwolna do złotych wkracza podwoi:
Toż się pod strzechy niebawem wśliznie;
A biada będzie, skoro w zgniliźnie
Zagrzęzną nasze pocziwe progi!
Włos mi powstaje dębem od trwogi
Pomnąc, cobyśmy bracia poczęli,
Gdyby ubiegli stróżu anieli

Z pod strzech domowych, unosząc cnotę;
Gdyby zagasło ognisko złote,
Co tak po Bogu, w zimowe chłody
Weseli ściany cichej zagrody!
I jakież doma życie Augusta?
Uczty, gonitwy, zbytki, rozpusta,
Na siła części affekta dzieli,
Złote pałace sławia Kozeli;
Inne od lata, inne od zimy,
Tu dla tureckiej branki Fatymy
Sprawia biesiady i karuzele;
Tam znowu z Drezna zwozi Estrelę,
A nawet nasze cne białogłowy
Umie zwodnemi podmawiać słowy.
I przez cóż bracia stracił Mitawę?
Oto, że rękę wywichnął prawę,
Gdy za pierścieniem ujeżdżał szranki,
Na cześć prymasa pięknej bratanki;
Toć potem dźwignąć nie mógł żelaza.
Owóż zaprawdę, Boża obraza
Zawdy o pomstę woła na świecie;
Bóg dziś Augusta smaga po grzbiecie
Ręką Karola, nie bez przyczyny:
Za króla Jana niewinne syny,

Które przemocą w więzieniu trzyma.
Biedne pisklęta, ojca olbrzyma,
Co gdy wyciągnął sławną prawicę,
Jednym zamachem strącał księżyce,
I świat od strasznej chronił powodzi.
Mówcież o bracia! czy to się godzi,
Że cnego króla potomstwo miłe,
Dziś August zagrzebł żywcem w mogiłę,
Słońca im nawet skąpiąc na oczy!

Umilkł chorąży, a łza się toczy
Zwolna po jego licu zgorzałem;
Dreszcz zgrozy obiegł po kole całem,
Jak gdyby zstąpił anioł boleści.
Żałośnie nawet lipa szeleści,
I ptastwo pieśnię ponurą kwili.

— Prawda,—przemówi skarbnik po chwili—
Że w tem nie mała Augusta wina!

— Prawda!—przywórtzy szlachty drużyna.
Starcy wstrząsają siwemi głowami,
Młodzi dobyli kord do połowy;

A towarzyszom wielkiego Jana,
Spadła na serca żalność nieznana:
Tylko westchnienia słysząc a jęki.

Tu skarbnik wskazał skinieniem ręki
Na wschód, w Mazowsze:—O bracia!—rzecze—
Szwed stokroć cięższe za sobą wlecze
Mordy a klęski. Spytajcież, ile
Tam zagrzebł włości, w gruzach i pyle?
Toż strugą płynie krew w jego ślady,
A kruków nad nim ciągną gromady,
Dziko mu kracząc zwyciężkim chórem;
A w starej puszczy, żubr z jarym turem
Wstrząsają grzywą, groźnemi ryki,
Głuszając najezdcy wojenne krzyki!
Od Warty, Wisły, do Białowieży,
Całe Mazowsze pustynią leży;
Kmieć w nazbyt ciężkiej pogrzebion doli,
Chroniąc się w lasy, odbiega roli.
Wszereż i wzdłuż zbrojni ciągną żołdacy,
I jeno gody sprawują ptacy;
A przez dym grubo skłębion u góry,
Krwawą tarcz słońca widzą Mazury.

Biadaż im bracia! wszystkim nam biada!
I tu śmierć w progi kołaczce błada,
I jeno patrzeć, jak ciężkie gromy
W proch nam powalą chaty i domy,
Jak szwedzkim koniom pójdą na paszę
Zielone niwy i łąki nasze;
Czyżci nie lepiej trzymać za Sasem?

Tu gniewnie targnął chorąży pasem:
— Nie! jak Bóg Bogiem! on sprawcą biedy,
Onci nam na kark sprowadził Szwedy.
Swojskiej krwi, bracia, na tron nam trzeba!
Owoż słuchajcie: z wyroków nieba
Gwiazda nad głowy świeci naszymi:
Leszczyński zrodzon na polskiej ziemi,
Proch z naszych prochów, kość z naszych kości.
Choć młody w leciech, siłą mądrości
Dał mu duch Boży! Waleczny w boju,
Troskliwym ojcem będzie w pokoju;
Jak Piast postawi lemiesz przy tronie,
Boć on na naszym wyrośł zagonie
Pospołu z nami: tożto leszczyna,
Niby na oko mała drzewina,

A z łaską Bożą rychło przeniesie
Odwieczne dęby co rosną w lesie.
Na nasze ciężkie blizny a rany,
Dziś nam, o bracia! miód pożądaný;
A miód się trzymał starego Piasta.
I Opalińska zacna niewiasta,
W ślad Jagiellonki, rychło wymiecie
Na dworze naszym nieczyste śmiecie,
Co z szerokiego naniosły świata,
Stopy Francuzek przez mnogie lata!

Ogniem chorąży na licu płonie,
Krew bystrym pędem wre w męzkim łonie,
A z ust mu słowa płyną potokiem;
I wodzi wkoło promiennem okiem,
Aż żar przeniknął szlachcie do duszy.
Już się wyloty chwieją kontuszy,
Już czapki w górę sypią się gradem,
A lży po licu zbiegają bładem.
„Piasta nam, Piasta!” brzmiały liczne głosy,
I okrzyk płynie z kroplami rosy
Na Wielkopolski szerokie niwy;
A nasz chorąży dziwnie szczęśliwy,

Nalewa w puchar starego miodu:
„Niech Piast na straży stanie narodu!”
Woła, i jednym pochłania łykiem,
I stawia pełny znów przed skarbnikiem.
A skarbnik wyższą pociągnion siłą,
Spełnia go z szlachty drużyną miłą.
I imię Piasta brzmi na wsze strony:
Wtórzą mu drżąc kościółka dzwony,
Co właśnie Maryi ślą pozdrowienie;
Wtórzy słowików zbudzone pienie,
I szumią liście starej lipiny,
I rojem ciągną pszczoły z doliny,
A zasłyszawszy znane im słowo,
Głośno obecnym brzęczą nad głową,
I wdzięczna wrzawa w przestrzeni wzrasta,
I stokroć imię powtarza Piasta.

Z boku, za bluszczu zielonym wiankiem,
Niby jutrzienka letnim porankiem,
Zabłysła w oknie postać dziewczycy;
Niby w zwierciadle, w ciemnej żrenicy
Każde słyszane słowo koleja,
Odbija trwogą albo nadzieją.

Na straszny obraz kłęk i zniszczenia,
Lice Elżbiety dziwnie się zmienia;
Śladu rumieńca nie dojrzyć cale,
Ust nawet bledną krasne korale
Od siły, z jaką serce jej bije.
Chwieje się rąbek słońcący szyję,
I pierś dziewczą białą a młodą.
Lecz kiedy taką zabrzmiało zgodą
Piaśtowe imię z rosą wieczoru;
Gdy stokroć dęby wtórzą je boru:
Wonczas to niby odbiciem zorzy
Błysły jagody Elżbiety hożej;
I błądy smutek uleciał z czoła,
I myśl dziewczicy snuje wesoła
Jedwabny watek różowej przędzy.
A potem dziewczę bieży coprędzej
By dzielić z matką chwilę radosną.
W blizkiej komnacie stoi jej krosno,
Lecz matki nie ma: kędyż więc ona?
Pewnie, jak zwykle wśród dziatwy grona,
Albo dogląda wiernej czeladki.
Elżbieta szuka, lecz nigdzie matki!
Dziwną jej serce zadrżało trwogą;
Aż wreszcie matkę znachodzi drogą,

Jak za jedwabną kotarą łoża
Kornie u Zbawcy klęczy podnoża.
Z piersi jej ciche wybiega łkanie,
I na głos mówi: Panie! o Panie!
Stań się Twa wola! Ty, co od wieka
Łaską oświecasz myśli człowieka,
Sam wiesz co dobrem, co złem być może,
Ty ich poprowadź, Przedwieczny Boże!

Elżbieta patrzy, milczy i słucha.
Trwoga przejęła na wskroś jej ducha,
Choć słowa matki dlań tajemnicą,
Lecz jej źrenice jak perły świecą:
Pewnoż łez matka darmo nie roni!
Przykłęka za nią i głowę kłoni,
A ciemnych włosów długie warkocz
Napół jej lica słońcą urocze.

Skoro dostrzegła matka dziewoję,
Tkliwie w objęcia garnie ją swoje;
Na ramię córki zwiśla jej głowa,
Ale z ust długo nie płyną słowa,
Jeno ból spływa we łzie gorącej.
Wreszcie się ozwie, a głos jej drżący,
Łzawy a cichy:

— Elżbieto miła!

Bóg w swych wyrokach krzyż nam przysłał
Ciężki na barki! Nieśmyż go śmiało,
Jak na niewiasty mężne przysłało!

— O! Bóg nam, matko, skróci niedolę!
Wszak on dziś skłania narodu wolę
Ku stronie Piasta!

— Wiem o tem dziecie;
Ależ lat siła żyję na świecie,
Toż wiem, że czasu wojny domowej,
Woli swej naród nie głośi słowy.

— Boże!—Elżbieta woła strwożona,
I głowę ciśnie do matki łona,
I niby widma zbiegają rojem
Kłócąc dziewiczą myśl niepokojem;
I łyzy obydwóch, mieszaną strugą
Płyną w milczeniu rzewnie a długo.

A na dziedzińcu brzmi imię Piasta;
Pomału wstaje z ziemi niewiasta,
Podnosi głowę, łyzy siłą woli
Kryje w głąb' piersi; potem powoli
Zmięte i wilgne poprawia szaty.

— Elżbieto!—rzecze—krom tej komnaty,
Niech Bóg uchroni, by oko czyje
Te łyzy dostrzegło. Niech serce bije
Zdwojonem biciem, niech pierś niewieścią
Troska zjadliwą gryzie boleścią,
Niech żal w żelazne ujmie ją kleszcze:
Ja się na uśmiech zdobędę jeszcze!
Tu jeno, za tym milczącym progiem,
Wolność mi płakać zcicha, przed Bogiem.

I na te słowa, postać matrony
Podobną była lipie zielonej,
Którą choć słońce żarem dopieka,
To ona jeszcze głowę człowieka
Ochrania liści nadobnym wieńcem.
Lica jej słabym błysły rumieńcem,
I ślady bólu znikły na czole;
A oko modre i brwi sobole,
Znów niezmaconej pełne pogody,
Świecą odblaskiem dawnej urody.
Usta do śmiechu złożone składnie,
A co w jej duszy—Bóg sam odgadnie!...

IV.

Zorza na wschodzie zabłysła złota.
Rzy niecierpliwie kary u płota.
Przy nim dwa siwki maści jednakiej:
Znać im nie nawykł grzbiet do kulbaki,
Bo oba żrebce ochocze, młode,
Okiem i nozdrzem gonią swobodę,
Gryząc wędzidło żelazne z gniewem;
A najeżone chłodnym powiewem,
Chwieją się grzywy, a kity czarne
Zmiatają z rosy zieloną darne.

Ruch dziś niezwykle w modrzewim dworze:
Zanim chorąży opuścił łoże,

Małżonka wstała jeszcze o mroku,
Bo sen nie powstał dziś na jej oku.
W jadalnej izbie, ledwie z zegara
Dwakroć wybiegła kukulka szara,
Już chorążyna oblekła szaty,
Zmówiła pacierz, wyszła z komnaty,
I cała drżąca, z zbrzękłą powieką,
Krząta się, biedzi. O! bo daleko,
Aż w zawiślańskie strony, chorąży
Z obu synami z brzaskiem podąży.

A tam, w Mazurów płaskiej krainie,
Błękitna Narew czerwono płynie,
Bo ją krwi ciepłej mącą potoki;
A poza Narwią w puszczy głębokiej,
Kędy chorąży dotrzeć zamierza,
Z mnogich legowisk wyparły zwierza
Szczęki oręża i rusznice huki.
Tam płoną stare dęby i buki,
A oświecone straszną ich łuną,
Zbrojne podjazdy po boru suną;
Tam wskroś przesiąkły leśną murawę
Wytrysnę z piersi strumienie krwawe;

Tam śpią snem wiecznym na bojowisku
Wrogi w śmiertelnym wrogów uścisku;
A choć je ziemska nienawiść dzieli,
Łączą się serca w kruczej gardzieli!
Tam Kurp' nie baczy na pszczolne roje,
Z dzikami puszczy przerywa boje,
Wierną zawiesza strzelbę na barki,
I jako jeleni dzielny a szparki,
Przemyka gestwą z strony na stronę,
Tropiąc zawistnie diabły czerwone.
Kurp' ni na dobę wytchnienia nie da
Schronionym w puszczy zastępom Szweda;
Bo pierś mu pęka napół od zgrozy,
Gdy dojrzy, jako twarde powrozy
Wiatr mioła jeszcze na dębu szczycie,
W których nacisku wraz zbiegło życie
Z serc tylu braci!... Toż on w żalości
Patrzy, gdzie bratnie bieleją kości,
Gdy z ciał sprawiły biesiadę sępy;
I brnąc w cieniste puszczy ostępy,
Z żyjącą bracią w ufnej naradzie,
Myśli jak Szwedom stanąć na zdradzie.
O! tam, z praw Bożych straszną obrazą,
Brat na współbrata ostrzy żelazo;

Krewny krewnemu w nocnej omroczy
Gradem ognistym bluzga na oczy.
Obraz ten w zacnej matrony myśli
Czarnemi barwy silnie się kręśli;
Lecz ona krzyżem zganiania widziadła:
Wszakże małżonka chęci odgadła.
Wie, że niepróżna ponęta wojny
Dziś go wypędza za próg spokojny;
Lecz przekonania wiedziony siłą,
Rzuca na długo rodzinę miłą,
Byle ku Boga i kraju chwale,
Krwiaż zaczął prawdy przeważać szalę.

Kiedy się krząta wciąż białogłowa,
Świttem zabłysła nieba połowa;
Im szersze zorza zatacza koło,
Tem głębszy smutek mroczy jej czoło;
Lecz się od płaczu chroni jak może,
Sercem, a usty czci imię Boże;
A wpół omdlałe ręce niebogi,
Czynią zasoby do blizkiej drogi.
Siłaż dziś na jej głowie spoczywa!
Chociaż od bólu napół żywa,
Nic nie przepomni dla męża, dzieciak,
Byle wszystkiego mieli dostatek;

Byleby w ciągu drogi dalekiej,
Skrzydło niewieściej czuli opieki.
Już chorążynie to nie pierwszyna!
Sprawę turecką w duchu wspomina,
Jak ją młodzieuchną z dzieciną hożą
Polecił Michał w opiekę Bożą,
I wraz pogonił, by sokół młody,
Skosztować bystrej Dunaju wody.
Ależ młodzieńcza wtedy otucha
Snadniej krzepkiego poila ducha:
Dziś stokroć ciężej piers jej boleje,
Trwoga odgania z serca nadzieję,
Bo przez ćwierć wieka niezłomną siłą,
Serce się z sercem wiecznie spoilo! —
A potem, w on czas na krwawe boje,
Szedł on sam jeden, a dziś ich troje!

Kuka kukawka, raz drugi, trzeci,
I z łózek drobne wypłasza dzieci;
Wstaje z drugiem Elżbieta blada,
Dłonie rodzeństwa ku Bogu składa,
I z niemi na głos, kornie a szczerze,
Mówi Ojcie nasz, Zdrowaś i Wierzę.

Wstał i chorąży, kładzie znak krzyża,
Ku ziemi siwą głowę uniża,
Bogarodzicy modli się długo;
Potem odziewa barki kolczugą,
I z ponad łoża kord poświęcany
Z bijącym sercem zdejmuję z ściany.
Zdawna, krwi na nim pogańskiej ślady
W stal się rdzawemi wgryzły osady;
Chorąży z pochwy dobył go żwawo,
Trzykroć dał młyńca w lewo i w prawo;
I dziwna radość wzrok mu spromienia,
Bo czas nie zwątlił siły ramienia.
I zdjął dwie szable, co na krzyż razem
Pod Częstochowskim white obrazem:
Obejrzał klingi, rad skinął głową,
Sam kord przypasał z miną bojową,
I hełmem słońcąc włos szpakowaty,
Rzeżko jak młodzian wyszedł z komnaty.

W jadalni czeka ojca rodzina.
Przy matce Janusz obok Marcina,
Jej pierworodni chłopaki hoże,
Obaj w głębokiej stoją pokorze

Podczas, gdy mądre im białogłowa
Na pożegnanie powtarza słowa.
Młoda Elżbieta wsparta o ścianę,
Oslania lica od łez rumiane
W jedwabne ciemnych włosów pierścienie,
I w głębi piersi tłumi westchnienie,
By młodym braciom nie wąlić ducha.
Cisza w komnacie panuje głucha,
I dziatwy nawet gromadka cała
Nieznany smutkiem dziś sposepniała.

Wtem się rozwarły z trzaskiem podwoje,
Wchodzi chorąży przyodzian w zbroję,
W dłoni dwie równe trzyma szablice.
O! dziwnieź matki pobladły lice,
Kiedy się ojciec ku synom zbliża,
I nad ich głowy kreśli znak krzyża;
A wraz im dając stalne oręż:
— To broń—zawoła—którą się męże
Waszego rodu dobili sławy.
Wam ją oddaję dziś bez obawy,
Te, na pohańcach szczerbione kordy,
Niech się próżnemi nie plamią mordy,

Lecz po rycerskim jeno zakonie,
Niechaj wam służą w słabych obronie;
Niechaj z was każdy będzie gotowy
Słonić nim wiernie cześć białogłowy,
Pomścić sierocie krzywdę zrządzoną!

Lica młodzianów rumieńcem płoną,
I obaj kornie zgiąwszy kolana,
Całują stopy ojca i pana;
Potem do matki garną się społem.
Ona, z pogodnem na pozór czołem
Błogosławiącą unosi rękę,
I na głos Bogu zasyła dziękę,
Że dał jej chwili doczekać błogiej,
Gdy z pod jej skrzydeł, za domu progi,
Miłe jej syny wybiegną przecie
Szukać zasługi na Bożym świecie!

I na te słowa w głębokiej wierze,
Dwa poświęcane, równe szkaplerze,
Z wyszytem przez nią mianem Maryi,
Sama zawiesza synom u szyi.
— O! niechaj—rzecze—ta Matka święta,
W wszelkiej przygodzie o was pamięta,

Niech was pod tarczą świętej opieki
Wiedzie za lasy, góry i rzeki;
Niech swym puklerzem serca wam słoni,
By w nie grot zgubnej nie sięgnął dłoni,
I od strzał gorsza, a od żelaza
Żadna ich brudna nie tknęła skaza.

A gdyby—słabszym dodała głosem—
Sprzecznym w wir świata porwani losem,
Wśród młodocianej żywota burzy,
Rzuceni od swych aniołów stróży,
Z piętnem sromoty zrytem na czole,
Do dom wrócili: o! raczej wolę,
Niż ich ohydę ujrzą me oczy,
Niech je grobowa ciemność otoczy!
Dla nichto samych błagam cię Panie,
Nimby w zepsucia zgrzeźli otchłanie,
Póki im świeci promień Twej łaski,
Weź, w niewinności odzianych blaski;
Ku prośbie matki skłoń Panie ucha,
W proch zetrzeź ciała, a ocal ducha!”

I na obliczu pięknem matrony
Zajaśniał nagle odblask natchniony;
Lica jej zbladły, spłonęło oko.
Obaj synowie, ze czcią głęboką,

Wraz macierzyńskie ściskają nogi,
Mówiąc ze łzami:

—„Porzuć te trwogi
Daremne, matko! Serca twych dzieci
Zostaną czyste: wszakże im świeci
Słowo twe mądre, którem nie marno
Wsiałaś w nie, Bożej nauki ziarno.

Elżbieta patrzy na matkę z cześcią,
I z chlubą głowę przed jej niewieścią
Uchyła cnotą; a mąż w podziękę
Do ust przyciska małżonki rękę,
I łzą sędziwe załśniło oko.
Spojrzy ku oknu: słońce wysoko,
Kary u płota rzy niecierpliwy,
Siwce ciemnymi wstrząsają grzywę.
Żegna więc żonę i działwę młodą
Z dzielnie udaną czoła pogodą;
Łzawą Elżbietę ciśnie do łona,
Zśród płaczącego czeladki grona
Wraz się wyrwa i skacze w strzemię:
Snać, że mu lekkie kolczugi brzemię;
Boki karego spina ostrogą,
I mknie jak strzała znaną mu drogą.

A nie rad jątrzyć bolesnej rany,
Nie zwraca oka na drogie ściany.
Syny w ślad ojca kłusują śmiało,
A słońce przestrzeń złoci im całą,
I cudnie w kroplach odbija rosy.
Ptastwo na różne świegoce głosy,
I wiatr od wschodu łagodnie wieje,
Szepcząc młodzianom błogą nadzieję.
Choć pamięć strzechy serca im nęci,
O! bystro naprzód lecą ich chęci!

W modrzewim dworku cisza grobowa:

Leniwie płyną urwane słowa,
Nawet i dziatwy zmiłkły szczebioty,
Jakby żałobnym kirem tęsknoty
Anioł otoczył cichą zagrodę.
Spadła na serce Elżbiety młode
Żalność nieznaną; a jednak z matką
Czuwa nad drobnej dziatwy gromadką.
Do księgi, igły, chętnie się bierze,
Radaby troskę pokonać szczerze,
Co w głębi duszy kamieniem leży,
By nie rozraniać serca macierzy.

Lecz się o spokój siłi daremno,
Gdy w piersi łzawo, a w oku ciemno:
Gdy pierwsza boleść skrzydły zaszumi,
Czyż mocą woli człek ją potłumi?
Czyliż odeгна wróżby złowieszcze,
Gdy się z niedolą nie zbrała jeszcze?

Meźniej ból dźwiga zacna matrona.
Ustawnie krąży wśród dziatek grona,
Jak cichy anioł, z świtu do mroku,
Z milczącym smutkiem w licu i oku.
A i dobytku dogląda rada,
Jako niewieście czynić wypada,
Gdy mąż za domem; a gdy chwilowo
Serce przeważy chore nad głową:
Modlitwą skrzepi gasnące siły,
I znów do pracy powraca milej.

Przeszedł dzień długi, zagasła zorza,
Do snu się dziatwa układa hoża;
Elżbieta z matką siadły pod cieniem
Szerokiej lipy, którą promieniem
Usrebrzył blady odbłask miesiąca.
— Dziecię! — wyrzeczcie niewiasta drząca —

Gdy Bóg nam dołę wygnał z pod strzechy,
Jeszcze z ostatkiem miłej pociechy
Żegnać się musim!

— Jakto?—zawoła

Elżbieta, cisnąc rękę do czoła.
Znać w jej obliczu zbudzoną trwogę.

— Pojutrze dziecię, puścim się w drogę.
Pani krakowska, cna białogłowa,
Zdawna Kowalskich w pamięci chowa,
Odtąd, jak dziad twój, niezgasłej sławy,
Trzymał się wiernie znaku Szreniawy,
I z Lubomirskim wojenne trudy
Dzielił, pogańskie wojując ludy.
Owoż ta pani, z cnót wielkich znana,
Dostojna córka księcia hetmana,
Pomna na dziada mnogie zasługi,
Z Sieniawy do nas pisze list długi,
Pragnąc cię rychło widzieć na dworze.
Nieodgadnione wyroki Boże,
Kochane dziecię: wielbić je trzeba.
Pan wszystkim rządzi z jasnego nieba.
Wojna się w nasze przybliży strony,
Bezpieczniej w zamku szukać uchrony,
Niżli za dworka ubogim progiem.

—O! wszędzie człowiek bezpieczny z Bogiem—

Rzecz Elżbieta dziwnie strwożona,

Tkliwie się garnąc do matki łona.

— Dozwól mi matko zostać przy tobie:

Mamże cię w takiej opuszczać dobie?

Toć lżejszym będzie krzyż, gdy od ziemi

Dźwigniem go w górę siły spólnemi;

Pozwól mi zostać, matko jedyna.—

I dziwnie blada, drżąca a sina,

U stóp matczynych kłęka w pokorze.

A matka rzecze:

— Ty wiesz, o Boże!

Jaka w mem sercu ztąd ciężka rana;

Ależ to woła męża a pana,

Wbrew jej uczynić nie w mojej mocy.

Zmilkła, a na tle pogodnej nocy

Grubemi kłęby garną się chmury.

Widnokrąg tonie we mgłę ponurej,

Gwiazdy po jednej gasną nad głową;

I wiatr zieloną szumi dąbrową,

A grom na ciemnem wzbiera sklepieniu.

Matka z Elżbietą wstały w milczeniu,

I w niskie dworka wstąpiły progi;

W cichej modlitwie, łzawe niebogi

Czerpią moc z nieba, a Pan je słucha,
Korne poddanie technie im w głąb ducha,
I owę ulgę w życia omroczy:
Sen dobroczynny śle im na oczy.

Po dżdżu zaranek wróży pogodę.
Z gniazd wyglądają jaskółki młode,
Skowronek z pieśnią buja w błękanie,
A kwiat ku słońcu stęskniony, skrycie
Patrzy z zielonych pączka osłonek.
I wszystko cudny zwiastuje dzionek,
Jak zwykle bywa, gdy deszcz majowy
Spadnie na pola, łąki, dąbrowy.
Jeno się z człkiem inaczej dzieje,
Gdy ból mu starga jasne nadzieje;
Wraz młodocianej zbawiony wiary,
Patrzac w świat Boży przez tuman szary,
Nie dba, że ziemia zwieńczona w róże,
Że górą słońce łśni na lazurze.

Ledwie sen ubiegł z Elżbiety oka,
W serce jej boleść spadła głęboka.
Niedość, że ojciec, bracia kochani
Burzą z zagrody cichej wygnani,

Trzebaż jej rzucić strzechę domową,
Gdzie jej zaranek błysł tak różowo
W pracy, w miłości, w pogodzie czoła,
I w snach pod skrzydłem stróża anioła.

Gdy ukojona trudów ogromem,
Matka się krząta żywo za domem;
Ze łzą w źrenicy, dziewczę zbolełe
Żegna na długo ściany swe białe,
Leciuchną stopą zbiega komnaty:
Wabią jej oko w doniczkach kwiaty,
Bluszcz, co się w oknie zielono ścięle,
I on rozmaryn, na jej wesele
Troskliwą ręką matki kochanej,
Od lat tak wielu wyhodowany.
Patrzy na wielki komin kapiasty,
Przy którym przędząc kądziel niewiasty,
Gdy wiatr na dworze zimą szeleści,
Przy kołowrotekach prawią powieści;
Gdzie pieśni nucą krasne dziewoje,
Wszystkie tak rzewne, cudne—bo swoje!

A za ojcowskiej komnaty progiem,
Z jakimże nieraz uczuciem błogiem

Tych ksiąg odwiecznych zbiegała karty.
Tu widzi wszyte w pergamin starty
Czarneleskiego rymy lutnisty,
Których dźwięk czerstwy, swojski a czysty,
Hymnem do duszy wpływał Elżbiecie,
Kiedy w matczynem objęciu dziecie,
Pierwsze zaledwie składało zgłoski;
Tu psalterz chwale poświęcon boskiej,
Którego każde natchnione słowo
Uroczu krąży nad tęską głową
Młodej dziewicy, i myśl jej nęci
Gwoli proroka-króla pamięci,
Co umiał zjednać pokory perłą,
Za kij pasterski monarsze berło,
Choć on tak cichy a uniżony,
Niewiele cenil blaski korony.
Tu, w onej Wujka zakonu księdze,
Dalszą przeznaczeń królewskich przedzę
Lubiło dziewczę chwytać ciekawie,
Pod cieniem lipy siedząc na ławie:
Jak Dawid dźwiękiem harfy pastuszej
Zganiał szatany od króla duszy;
Jak proce w Boże chwytając imie,
Na filistyńskim dowiódł olbrzymie,

Że człek choć drobny, silnym, gdy szczerze
Z Panem niezłomne chowa przymierze.

Owóz bolała Elżbieta cicha,
Że jak w ugorach trawa usycha,
Marniał król-prorok, gdy grzechów brzemię
Głowę sędziwą gięło mu w ziemię;
Że ten, co chwały monarszej syty,
Gromił Moaby i Ammonity,
Co się nie sromął lwa, ni olbrzyma,
Drży, gdy grzech serce na włosie trzyma.
Bo póki w zdroju pił wodę czystą,
Dawid był miłym Panu harfistą;
Lecz gdy pierś robak wyrzutem toczy,
Umilkły dźwięki pieśni proroczej.
I znów Elżbieta widzi z rozkoszą,
Jako anieli króla unoszą
W cieniu swych skrzydeł, nad złud tumany;
Jak on pokutnym worem odziany,
Niby pelikan spragnion w pustyni,
Przed Panem korne wyznania czyni;
Jak w prochu tarza królewską głowę,
A w bolu, szatę drze na połowę,
Aż Pan opatrznym promieniem oka
Pociesza smutną duszę proroka,

Na barki króla rozściela z góry
Miasto całunu drogie purpury,
I sam w królewską wplata koronę
Z kornego serca perły zronione;
Na struny harfy technie źródło łaski,
I w nieśmiertelne odziewa blaski
Tego, co grzeszył jak marny człowiek,
Lecz zmył brud serca, rosą swych powiek.

Dziewcze przegląda pułki dębowe,
Gdzie leżą księgi stare i nowe.
A jest ich siła, jakby w klasztorze:
Naprzód Kantyczki i Pismo Boże,
A dalej Gniazdo szlacheckiej cnoty,
I Piotra Skargi Świętych żywoty;
I one Kazań cudowne księgi,
W których Piotr słowa dziwnej potęgi
Z piersi dobywał, by z pochew miecze,
I rąbał niemi serca człowiecze.

Gdy czyta dziewcze mowy kapłana,
Wstrząsa jej duszą trwoga nieznana:
Niby przepływa ponad jej głową
Złotym potokiem prorocze słowo.

Zda się że widzi, jak Piotr w zapale,
Duchem przyszłości przenika fale,
I wyciągając ku rzeszom dłonie,
Z zgrozą na czasów wskazuje łonie,
Jak się odwieczne wałę posady,
Jak się rozściela tuman mgły bladej
Po onej starej dziedzinie Piasta,
Jak chwast i piołun niwy zarasta,
A owiniony w kłęb czarnej chmury,
Czeka z wzniesionym mieczem do góry
Anioł zraty; ten, co przed wieki
Na kraniec świata zagnał daleki
W długie tułactwo, człeka sierotę,
Szczepiąc mu w serce wieczną tęsknotę
Do zatraconej grzesznemi czyny,
Jego pierwotnej, rajskiej dziedziny.

Za Skargą idą mnogie kroniki,
Chwały narodu święte pomniki;
Rad je chorąży kolejną czyta.
Jest tam Strykowski i Miechowita,
Bielski Joachim z ojcem Marcinem,
Obaj oprawni wraz pargaminem,

Bo ich chorąży ceni wysoko.
Z chlubą niemałą wodzi on oko
Po zacnych kartach, gdzie pióro wprawne!
Kreśli lat dawnych czyny przesławne.

Owoż chorąży co dnia wspomina
Wielce ciekawą księgę Marcina;
Nieraz w wieczorne zimą godziny
Czyta ją społem z starszemi syny.
I wnet Elżbieta rzuca kądziela,
U drzwi się czai, zwolna, nieśmiele,
Aż ojciec słysząc szelest jej szaty,
Sam ją zaprasza w progi komnaty.
O! cudnie płonie dziewicy oko,
Gdy zasłyszane słowa, głęboko
W niewieścią duszę na wieki składa!
Bo ona dziwnie nauce rada:
Pragnie serdeczną wiedzioną chęcią,
Wszystko ogarnąć młodą pamięcią,
Cobądź się stało na drogiej ziemi,
Którą stopami depce drobnemi:
I ojciec sprzyja chęciom dziewoi:
Jednak się w duchu tajemnie boi,

Czy goniąc wyższych marzeń osnowę
Myśl jej dziewicza, poza domowe
Nie wzleci progi; czy jej nie ciasny
Będzie ów swiatek cichy a jasny,
W błogosławionym zagrody progu,
Kędy tak miłą prostota Bogu.
Lęka się ojciec, czy w tej pogoni
Gołębie piórek dziewcze nie zroni,
Gdy ją uniesie skrzydeł lot skory
Za szczelnej klatki twarde zapory;
Lecz kiedy widzi, jak pierś jej cicha
Domowem technieniem krzepko oddycha,
Jak trudy z matką ochoczo dzieli
Od ksiąg i pióra; jak do kądzieli
Garnie się z jasną czoła pogodą;
Kiedy zobaczy Elżbietę młodą
Jak się w kościółku przed Panem korzy,
I wianki wije w cześć Matce Bożej;
Jak pilnie ogród wiosną zasiewa,
Jak kocha pola, kwiaty i drzewa,
A bardziej matkę, ojca, rodzinę:
Śpi on spokojny o swą dziewczynę.
Widząc wszczepione w duszę jej cnoty,
Do ksiąg nie gani zbytniej ochoty,

Lecz od Alwara bacznie ją strzeże.
To też Elżbietę chęć ani bierze
Do starych Rzymian spleśniałej mowy.
Gdy tak cudownie władają słowa:
Skarga, Górnicki, Jan z Czarnolasu;
Czyż na łacinę nie szkoda czasu?
Pewno Virgili nie śpiewał czulej,
Niż Jan nad grobem drogiej Urszuli.

Skoro Elżbieta zbiegła oczyma
Miłe jej księgi, wraz je zatrzyma
Na onych dziełach w oprawie nowej;
Jest tam i obraz Wojny domowej,
(Skreślony ostrem jak szabla słowem),
Którą z kozactwem toczył Niżowem
Zacny Jan Kaźmierz, i pełnych chwały
Spraw Władysława poczet niemały:
Jako królewskie wzrasta pacholę,
W twardej obozu ćwiczone szkole;
Jak hukiem rusznic wykołysany,
Zaznał od młodu fortuny zmiany,
Aż bystre orle lotnemi pióry
W ślady słoneczne wzłata do góry,

Z Turki, Tatary, zawodzi tańce,
A imię jego trwoży pohańce;
Jak z wojennego zmywszy się dymu,
Przekracza bramy starego Rzymu,
I bazylikę zwiedza Piotrową,
U stóp ołtarza, dostojną głową
Ściera proch ziemi w świętej pokorze,
A przed trónowe wiedzion podnoże,
Kędy namiestnik Boży zasiada,
Wraz na kolana królewicz pada,
I czci całunkiem, bijąc pokłony,
Obuwie stopy błogosławionej;
Jak rychło potem na polu krwawem
Dzielnie się sprawił z szwedzkim Gustawem,
Aż siadł Władysław na majestacie
W płaszczu z purpury, a w litej szacie,
W prawicy szczerbiec dźwigając nagi,
Pełen dostojnej w licu powagi.

„Skreślił to Maro polski dowcipny”
Szorstkami rymy Twardowski z Skrzypny.
Ale nie rażą Elżbiety ucha
Te ostre dźwięki; bo do jej ducha

Wszelkie się słowo swobodnie wśliznie,
Co czyni zaszczyt jaki ojczyźnie.
Toż choć łupina chropawa taka,
Jest zdrowe ziarno w rymach śpiewaka.
Z drugimi wszakże inac się dzieje:
Żał więc Elżbiecie, czemu rdzewieje
Przesławna lutnia, co w Czarnolesie
Tak cudnie brzmiała, że dotąd niesie
Powiew na skrzydłach drżące jej dźwięki.
Czyliż jej godnej nie znaleźć ręki
W nowem śpiewaków polskich plemieniu,
Że tak milcząco leży w Zwoleniu,
Grubym dwóch wieków pyłem odziana,
Na nieśmiertelnym grobowcu Jana!

I o sierocej gdy дума lutni,
Coraz Elżbiecie smutniej a smutniej.
Zwolna błednieje cudne oblicze,
Znać je osnuły mgły tajemnicze;
Krew jej do serca zbiega potokiem,
I obejmuje wpół zgasztem okiem
Lat chyżo zbiegłych uroczę ślady,
Jak uganiamy w jesieni bladej

Włókien pajęczych rozpierzchnę nici;
A kto je drżącą dłonią pochwyti,
Mniema chwilowo, że z nich odmota
Pasma zwiędłego w bólu żywota.

Kuka kukulka samo południe:
Zadrżało dziewczę. O! jakże złudnie
Czas dotąd dla niej przetaczał koło,
Gdy jak przepiórka, zlekka, wesoło,
Zbiegała owe kwietne doliny!
Dziś jej się żółwio wleka godziny,
A nim ostatnia w końcu uderzy,
Ileż łez z oka, krwi z serca zbieży?
Jakież jej osty, jakie piołuny
Uścielą drogę do cichej truny?
A gdy myśl zbiega przyszłości niwę,
Zadrżało z bólu serce trwożliwe,
Jakby na próbę Bóg z nad jej czoła
Usunął skrzydło stróża anioła!

Październik z liścia otrząsnął drzewa;
 Już wiatr z północy ostro powiewa.
 Zbiegły w kraj świata śpiewaki Boże,
 Szaro i głucho w polu i borze;
 Tylko niekiedy przejęty trwogą,
 Czując za sobą pogoń złowrogą,
 Zając, liść suchy z szelestem wzruszy,
 Lub przyczajona pucą na gruszy,
 Smutnem kwileniem wróży śmierć bliską,
 Albo porusza wilk legowisko,
 I słysząc srogi poświst wichury,
 Z jej wyciem łączy jęk swój ponury;

A czarne plastwo krążąc po świecie,
 Wraz wykrakuje długie zamiecie!

Cieężkoż-bo spadło na owę ziemię
 Pospołu klęski troistej brzemień:
 Głód, mór i wojna—blade siostrzyce
 Już ukazały grobowe lice.
 Po krwią przesiąklej ziemi dokoła
 Zbiegają społem grody i siola,
 Ubogie chaty, zamki i dworce,
 Chwiejąc nad nimi krwawe proporce!

O! toż po kraju pobożne modły
 Roznoszą stare świerki i jodły,
 Których konary w twardej jesieni
 Słonią się jeszcze w wieńce zieleni.
 To też serdeczne a rzewne pienia
 Wtórzą kościołów wzniosłe sklepienia:
 Bo gdy część braci toczy krwi strugi,
 Druga, pokornie bratnie zasługi
 Wraz z Chrystusową łącząc ofiarą,
 Serca zwątpiałych pokrzepia wiarą.

W żyznej dolinie, w pobliżu boru
 Wznoszą się w górę wieże klasztoru.

Tam bolesnemi wciąż jęczą tony
Z rana do mroku spiżowe dzwony;
A przy organów poważnem brzmieniu
Pieśń po odwiecznem płynie sklepieniu.
„O! święty, mocny, o! nieśmiertelny!
Spojrzyj na naród w nędzy rzetelnej
Pogrążon srodze; strzeż moru, wojny,
Użycz jak niegdyś doli spokojnej.
Bogarodzico, nasza królowo!
Przemów do syna za nami słowo.
Niechaj nas Maryo w burzliwej toni
Twe macierzyńskie skrzydło ochroni!“

Gdy pienia mnichów ku niebu płyną,
Wicher spokojną wstrząsnął doliną;
Zajęła ziemia, ściany zadrżały
Od huku rusznic, a zakon cały
Widząc ciągnącą nad głowy burzę,
Łzami ołtarzy zmywa podnóże;
I coraz głośniejszy, i coraz szerzej
Płynie jęk dzwonów z kościelnej wieży.

Tu się rozwarła furtka z uboczy,
I mnich, wcisnąwszy kaptur na oczy,

Środkiem cmentarza sunie w habicie;
Snać niepokojem udreżon skrycie,
Prosto ku bramie zawraca kroki.
A tuż za bramą jest wał wysoki,
Szczątek okopu z Gustawa czasu;
Ztamtąd płaszczyznę całą do lasu,
Którą z klasztoru on wzgórek słoni,
Widać dokładnie, jakby na dłoni.

I zcicha dąży za mnicha śladem
Dorodny młodzian z obliczem bladym;
A gdy hukliwe słyszy rusznice,
Słaba mu barwa zrumienia lice,
I ogniem płonie oko sokole.
Lecz mgłą się snuje po gładkiem czole
Głęboka boleść: bo dłoń młodziana
Dziś tak bezsilna, w chustę związana!
A z piersi zaczęły zbiegły krwi strugi,
Zaledwie tydzień dopłynął drugi.
Lecz chociaż jego bezwładne ramie,
Siły w nim ducha nic nie przełamie!
Rad więc na strome wdziera się wzgórze,
Gdzie go wyprzedził już mnich w kapturze;
Aż ten z nienacka spojrzy za siebie:

— Zkądżeś tu?—rzecze—jak Bóg na niebie,
Nawarzysz sobie piwa daremno.

— Bracie Józefie! miej wzgląd nademną:
Chcesz, bym spokojnie wysiedział w celi,
Gdy kilka kroków z bracią mnie dzieli?
Choć sam gnuśnieję biedny kaleka,
Niechże się walce przyjrzę zdaleka.

— To być nie może, mój Kaziu miły,
Jeszcze ci na to nie starczy siły;
Siądź tam pod drzewem, ja z wierzchu wału,
Sam się wszystkiemu przyjrzę pomału.—
I drze się w górę.

Młodzian pod klonem
Siadł na murawie z sercem ściśnionem;
A kiedy dotarł mnich aż do szczytu,
Pełen świętego w piersi zachwytu
Z nad głowy kaptur odrzucił bury,
Rękę z różańcem uniósł do góry
I błogosławił walczące szyki.
Coraz rozgłośniej słychać okrzyki,
I granie rusznic, i szczęk oreża.
Młodzieńcze oko Józef wyteża,

Upornie milczy, i jeno szczerze
Bładami usty szepce pacierze,
A krzyż do piersi ciśnie i czoła,
Aż w końcu grzmiącym głosem zawoła:

— Zwycięstwo bracie!.. tak... nasi górą!..
Ciężkoż co widzieć za dymu chmurą...
Ot... tak... już sztandar powiewa saski
W prawicy wodza!... Z Twojejto łaski
Bogarodzico!... O! ależ biada!
Kary pod wodzem chwije się!... pada!
I on padł razem!... Pod Twą obronę
Weź go o Maryo!... Ot w prawą stronę
Pierchają Sasy!..

I na kolana
Padł mnich z zapalem, i wielbi Pana
Za dzieła Jego cudownej sprawy.
Schodzi ze wzgórze, a młodzian łzawy
Otwiera bratu drżące ramiona.
I serca obu, niewysłowiona
Przejmuje radość; i milczą długo,
A łzy ich płyną gorącą strugą.

Boćto Drużbaccy, zacne młodziany!
Chociaż kapturem jeden odziany,
Drugi znów wojak z szaty i z lica,
Równy im zapal w oku przyświeca:
Jednako w żyłach krew znać uderza
I u kapłana, i u żołnierza.
A każdy z braci równie gotowy
Dla Piasta, własnej nadstawić głowy.
I obaj służą jednako Bogu:
Ten, co się modli w klasztornym progu,
I ten, co wroga walczy żelazem;
Ku jednemu celom serca ich razem
Chylą się szczerze, zacnie, pocziwie,
Jak kłosa wzrosłe na wspólnej niwie.
Z lat niemowlęcych obaj sieroty:
To wzmacnia jeszcze on węzeł złoty,
Który ich serca na wieki splata.
Gdy brat przyciska do piersi brata,
Nagle z ubocza na skrócie drogi,
Poczet pancernych zjawia się mnogi.
Naprzód dwa idą zwolna siwosze,
A do ich siodła stwierdzone nosze
Dźwigają, widać, rannego człeka.
Bracia Drużbaccy widząc zdaleka

Ciągnący orszak, ruszyli żwawo.
Wnet doganiają drużynę łzawą:
Na wszystkich licach tkwi żałość szczerą.

— Ratunku ojcie! wódz nasz umiera! —
Wołają społem; a dwaj młodziany
Sami mnogiemi okryci rany,
Krótko za uzdy prowadzą konie,
A wzrok z boleścią wiodą ku stronie
Kędy wódz blade, z zagasłym okiem
Leży skąpany krwi swej potokiem.
O! bo to wodza dwaj młode syny!

I ciągnie poczet środkiem doliny,
A ojciec Józef idąc na przedzie,
W progi klasztorne drużynę wiedzie.
Przed furtą orszak przystanął rychło.
Już na organach granie ucichło,
I brzmieniem dzwonów nie jęczą wieże,
Jeno wieczorne szepeć pacierze
Pobożne mnichy, snując się rojem,
Z błogosławionym ducha spokojem.

Widząc jak ranny u furty stawa,
Garną się księża; kustosz z rękawa

Dobywa spiesznie specyfik znany,
Którym zwykł leczyć bole i rany.
Drugi mnich wodę niesie zdrojową,
Inny, ufniejszy w modlitwy słowo,
Niż w pomoc ludzką, klęka w pokorze
I miłosierdzie zamawia Boże;
A definitor wyprząta celę,
Wygodne łoże choremu ściele.
Inni rannego biorą na bary,
I nikt nie szczędzi trudu, ofiary;
Każdy przynosi dań skromną, byle
Odjąć bliźniemu cierpienia chwilę.

Krew z boku wodza strumieniem bucha.
Józef go naprzód spowiedzi słucha,
Znak rozgrzeszenia kładzie na czoło,
A chory mężniej ponosi bole;
Gdy ojciec kustosz, medyk klasztorny,
Obok nauki dziwnie pokorny,
Dobywa kulę, co mimo zbroje
Pomiędzy żeber utkwiała dwoje.

Obaj synowie z pochyłą głową,
Baczni na każde ojcowskie słowo,

Klęczą przy łożu, a ojciec stary
Zcicha nad niemi kreśli znak wiary.

I rychło spokój wrócił na czoło
Rannego wodza. Spojrzał wokoło,
Uśmiechem ojcom świadczy podziękę;
A kustosz w górę podnosi rękę
Na znak milczenia: i rozkaz cichy
Wraz po jednemu spełniają mnichy.
Odchodzą społem ojce i sługi,
A przez korytarz gdy ciągną długi,
Biją trepkami o glaz ciosany.

Pozostał tylko Józef z młodziany,
I stary kustosz w chorego celi.
Już śmierć od życia włos jeden dzieli.
O! toż milczenie trwa uroczyście;
Jeno za oknem, wiatr suche liście
Szumiąc, gdy strąca z wierzchołka klonu,
Zda się, że błądy posłannik zgonu
Kołacze w furcie, a dwaj synowie
Czują jak włos im wstaje na głowie,
Gdy szturm z pogwizdem zbiega obszary,
I łamie klonu nagie konary.

Aż raz i drugi kury zapieją.
Kustosza oko błysło nadzieją,
Bo chory do snu przymknął źrenicę;
Bladość mu martwa spadła na lice,
Tętno spokojnem uderza biciem:
Znać już się walka śmierci ze życiem
Chyli na dobre.

Nim weszła zorza,
Radość zabłysła szczerą u łoża,
Bo kustosz skłonił poważnie głowę
I szepnął zcicha nadziei słowo.

Leci czas chyżo, dzień za dniem dąży;
Już z ran uleczon niemal chorąży,
Czeka cierpliwie, aż Bóg da siłę,
By mógł rodzinę powitać miłą.
Po Bogu płynie życie w klasztorze:
Choćci on jeszcze zalega łożo,
Przecież wesele z radością błogą
Napełnia życiem celkę ubogą.
O! bo są wszędzie dusze pocziwe,
Serca przychylnie, dłonie życzliwe,
Bo w każdej piersi człowieka, płonie
Iskra ukryta głęboko w łonie.

A owę iskrę każdy rozbudzi,
Kto pełnem sercem miłuje ludzi,
Kto gwoi drugim czyni co może:
Bo przecież ziemia, to dzieło Boże,
Gdzie uczuć węzły wzajem się plotą,
Kędy samolub jeno sierotą.

Dziwnie do wodza przystali myśli
Obaj Druzbaccy: każdy dzień ściślej
Serca wzajemném łączy ogniwem.
I młody Kaźmierz uczuciem tkliwem,
Dwom chorążym przychylności płaci,
Kocha obudwóch jak własnych braci,
A chorążego czi sercem syna.
Pilnież on słucha, gdy przypomina
Stary, hussarskie z królem wyprawy;
Szlachetne serce znęca blask sławy,
Jak promień wabi sokole oko,
I młodzian myślą buja wysoko:
Znać, że nadzieja barwą tęczową
Cudnie nad jego przyświeca głową.

Z odmiennej przędzy, inaczej mota
Józef odmienne pasmo żywota:

W odmęcie świata nic go nie nęci:

Wyżej on, dalej, zasyła chęci!

Wicher już duszą nie wstrząsa młodą,

Bo pierś skąpiana przezczystą wodą,

I zasilona anielskim chlebem,

Żyjąc na ziemi, oddycha niebem;

A wcześniej z ciała pęt rozwiązana,

Miłością sięga w przybytek Pana!

Owoż chorąży sługę ołtarza

Ze czią głęboką wielce poważa.

Bo też gdy Józef wnijdzie do celi,

Zda się, że wieńcem krążą anieli

Nad zakonnika pogodnem czołem:

Taki z nim pokój przypływa społem,

A z przed stóp jego ucieka trwoga,

Że człek przeczuwa obecność Boga!

Chorąży coraz zdrowszy na ciele,

Bo szczere w głębi duszy wesele

Nagle mu siły skrzepia zwąłłone.

Już król Stanisław dzierży koronę

I berło złote, a co dnia wzrasta

W Polsce i w Litwie stronnictwo Piasta.

O! już wyroki Pana łaskawe,

Wojny domowej zarzewie krwawe

Gaszą do szczytu. Toż głośno dzwony

Dziękczynne Panu biją poklony,

A po krwią zsiąklej przepływa ziemi

Hymn Ambrożego tony pełnemi.

Rankiem raz zbudzon ze snu wódz stary,

W celi swej habit dostrzega szary:

To ojciec Józef przyszedł o mroku,

Z dziwną radością w licu i oku,

Dzielić z chorążym chwilę uciechy.

— Snać Bóg nam stare przepuścił grzechy,—

Rzecz z powagą, wzruszeniem błąd—

Bo ugruntował tronu posady

Naszego Piasta, ku swojej chwale!

— I cóż to zaszło?—woła w zapale

Zacny chorąży.

— Oj siłąż wieści!

Znać naród spełnił czarę boleści,

Gdy Pan otuchę stwierdził w swej radzie:

Zwycięzki Karol dziś w Altranstademie

Elektorowi dyktuje prawa!
Już August składa na Stanisława
Ciężary rządu, a złaman w pysze,
Sam list do króla pokorny pisze,
Własną pieczęcią wraz potwierdzony,
W którym się zrzeka polskiej korony!

— Dziękuj ci Panie!—chorąży rzecze—
Ty sam splełtałeś ścieżki człowiecze
Prostować raczysz, dziś jak od wieka!

Potem się z łoża pomału zwleka,
I przed obrazem Rodzicy Bożej,
Jako s o d a l i s, sercem się korzy.
I długo, szczerze, modli się zeicha,
Aż powstał drżący, uścisnął mnicha:
Serce mu bije, goreje głowa,
I więzną w piersi wzburzonej słowa;
Nareszcie młode zwołuje syny:

— Ruszajcie do dom tejże godziny!
Rzecz—jam znacznie skrzepion na zdrowiu.
Choć Sas za skórę wlał mi ołowiu,
Juże ja mojej nie czuję rany,
Kiedy bezpieczny Piast nasz kochany!

Rychło matczyną ukojcie trwogę,
Ja w ślad za wami puszczać się w drogę,
Gdy Bóg do reszty siły ustali.
Jedźcież więc do dom, a potem dalej
Po siostrę waszą, na dwór hetmana.
Niechęć mi jego do króla znana;
Nibyto Sasom sprzyja tajemnie,
A bodaj czyli zły prorok ze mnie,
Toć on prywacie wszystko poświęci,
Bo sam ku berłu skierował chęci.
Tfu! do szatana! owoż to pany!
Każden w prywatę dziś uplątany,
Na własne koło sprowadza wodę!
Toż mi Elżbietę przywieźcie młodą:
Nie chcę, by dłużej dworskie wyziewy
Kaziły duszę mej milej dziewy.
Złe, w młode serce snadno się wszczepi:
Choć wszędzie dobrze, doma najlepiej!

I po ojcowsku, synom nad głową
Krzyż skreślił, szepcząc pobożne słowo.
Chłopcy na siwych pognali cwałem,
I znikli oku, za szwedzkim waleń.

— Ojcie Józefie! — rzecze wódz stary —

Ty się nie sromasz nigdy ofiary,
Byle bliźniemu ulżyć w potrzebie.
Owoż, jak słońce świeci na niebie,
Musisz mię z bratem dostawić doma.
Chociażli strona wam nieznajoma,
Nie brak tam ludzi, jako Bóg Bogiem!
A i za moim ubogim progiem,
Radbym z Urszulą uczcił was szczerze.
Niech się więc ojciec w drogę wybierze;
Gdy mnie ksiądz kustosz puści z opieki,
Społem w kraj świata ruszym daleki.

Przystaje Józef, a Kaźmierz młody,
Jak ptak do lotu, ryba do wody,
Tak się gotuje rad do podróży;
Czas mu się dziwnie wlecze a dłuży:
Jakby dżdżu kania odjazdu czeka,
A tu z dnia na dzień kustosz odwleka.

Bóg zesłał wreszcie dzień pożądany.
Na wóz, wygodnie sianem zasłany,
Nasz wódz się układał, niby na łoże;
I pożeg nawszy ojców w klasztorze,

Obok Józefa i Kazimierza,
Ku Wielkopolsce ochoczo zmierza.

Bóg spuścił śnieżek na ziemię suchy,
Skrzyły się jodły białemi puchy,
Dolina strojna, jak dziewcze w bieli;
Aż sercu raźniej, oku weselej.
Znać święty Marcin na białym koniu,
Żwawo po miękkim dojeżdża błoniu.
A jutro właśnie święto Marcina,
Pierworodnego rocznica syna;
To też chorąży pragnąłby szczerze
Przyciągnąć do dom, choć na wieczerze.

Pan Bóg poszczęścił, wszystko jak z płatka
Wraz się wywija; toć droga gładka,
Wóz jak po stole głośno się toczy.
Parskają konie, a Kaźmierz oczy
Zwraca ciekawie z strony na stronę;
A Józef śpiewa, to antyfonę,
To znów pobożne godziniek pieśnię.
I czas ucieka istnie jak we śnie;
Aż pod śniegową dojrzał osłoną
Chorąży, swoje strzechę rodzoną.

Krasnaż mu barwa skryła jagody,
Oko zabłysło; pełen swobody
Siada, unosząc proporzec w górę,
A słońce szarą przedarło chmurę,
I na świat Boży, blade, ze drzeniem,
Listopadowym mruga promieniem.

Na ganku czeka rodzina cała.
Jak liść osiny, drży postać biała
Matki, o ramię wspartej Janusza;
Snać przebolała wiele jej dusza,
Bo włos posrebniał na żółkłej skroni,
A lica blade, jak kwiat jabłoni.

Przy niej jak brzoza, zśród dziatwy młodej,
Chyli się dziewczę cudnej urody:
Włos się w uplotach do stóp jej wije,
Modry kontusik spięty pod szyję,
Śliczną jej kibić odznacza oku,
A jej oblicze pełne uroku
Blask czarodziejski w okół rozsiewa:
I gdzie się zwróci nadobna dziewa,
Niby kwiat wzrasta za stóp jej śladem.

Lecz dziś Elżbiecie nad czołem bładem,
Jak mgławcy tuman przepływa trwoga.
Toż się od rana tuli nieboga
Pod skrzydła matki. Dziwnieź się boi,
Przy jej więc sercu szuka ostoji,
Bo jej się śniło, że jako ptasze
Rzuciła ojców ciche poddasze,
I słabą piersią pruła obłoki,
W świat ulatując długi, szeroki,
Od rodzinnego daleko gniazda,
Gdzie ją różowa nęciła gwiazda.

Tuli się dziatwa do ojca boku,
A chorążyna nie spuszcza wzroku
Z zwiędłego trudem męża oblicza.
Jej nie uwodzi krasa zwodnicza,
Którą wycisnął wiatr na jagodzie;
Bo ją ostrzega serce o szkodzie,
Jaką na zdrowiu mąż poniósł miły.
I lzy jej modre oko przyćmiły,
A w serce troska spadła kamieniem.

Młoda Elżbieta ciśnie ze drzeniem
Ojcowską rękę do ust z koralu,
A wstyd jej boże lica zapala,

Kiedy dostrzega, jak Kaźmierz młody,
Blaskiem jej wdzięcznej olśnion urody.

Choraży gości przedstawia żonie.
Wnet ojciec Józef w dzieteczek gronie
Gawędzi z szczerą prostotą ducha;
Mnogich zagadnień cierpliwie słucha,
I zrazu dziatwy kupuje łaski
Za medaliki, świętych obrazki;
A stokroć więcej za dobre słowo,
I tę chęć serca zawsze gotową,
By wolę nagiąć ku drugim woli.

I ustępuje smutek powoli
Z małżonki serca, gdy bada zcicha
O zdrowie męża, zacnego mnicha;
A on jej koi daremne troski,
Radząc zaufać opiece Boskiej.

Ledwie mrok w szarej zapadł godzinie,
Już na kapiastym płoną kominie
Wysokim słupem dębowe kłody.
Każdy znachodzi, stary i młody,
Wygodne miejsce koło ogniska:
Płomień szeroko na izbę błyska.

Wieniec przy stole zasiadły dziatki,
Skubiąc na rany płóciennie płatki.
Miła Elżbieta, hoża jak wiosna,
Chyląc bieluchne czoło nad krosna,
Wyszywa ornat cudnego wzoru
W darze pobożnym ojcom klasztoru,
A matka wiąże do alby siatki.
Janusz z Marcinem, z wiciny gładkiej
Plotą koszyki, a Kaźmierz z boku
Śledzi oblicze pełne uroku
Ślicznej dziewczoi, i wraz otucha
Złote mu słowa szeptce do ucha.

Stary choraży prawi tymczasem,
Jak się uganiał trop w trop za Sasem;
Jakie zdziałała żelazna głowa
Cuda odwagi, w polach Klissowa;
Jak grad ognisty miotają kule,
Gdy się poznali w ciżbie-dwaj króle.
A wciąż ku sobie przejęci wzajem,
Dawnych rycerzy słynnym zwyczajem
Odkryli z przyłbic dostojne głowy,
I znów zażarcie zwarli bój nowy;

Aż Karol ciosem potężnej dłoni,
Stracił koronę z Augusta skroni,
I płosząc hufce wroga strwożale,
Aż o Wawelską oparł się skałę.

Dalej powiada chorąży stary,
Jak Szmigielskiego zapędził w jary;
Lecz niechcąc ręki mazać w krwi bratniej,
Młodego wodza wypuścił z matni;
Co on mu w wiecznej pamięci chowa,
Jak przez życzliwe oświadczył słowa,
Gdy później oba jednakiej wiary,
Pierśmi słonili Piasta sztandary.

I rażno płynie gawęda żywa,
Choć ją wieczerza chwilę przerywa;
Toż znów się ciągnie wątek jej długi,
I kury pieją już po raz drugi,
A o spoczynku nikt nie zamarzy:
Tak się ochoczo przy ogniu gwarzy.

I dnie za dniami płyną a płyną:
Adwent przyodział pomroką siną
Piękny świat Boży, a promień złoty
Zemiły na długo grudniowe słoty.

Ale w chorążtwa cichej zagrodzie,
Podobne czystej strumienia wodzie
Ubiega życie. Młodym nad głową
Nadzieja miga wstęgą tęczową;
A starsi krzepią ciężkie niemoce,
Zbierając długich zasług owoce,
Które szczepili zdala od świata,
W pocziwym progu przez mnogie lata.

I życie starą koleją dąży
Jako przed czasem, zanim chorąży
Poszedł z synami na boje krwawe,
Aby Piastowską podeprzeć sprawę.
Choć odtąd zbiegło dwa lata blisko,
Wszystkoż jak było pod strzechą niską:
Tylko podrosły o głowę dziatki,
Tylko posrebrniał ciemny włos matki,
Tylko przybyło pięknej Elżbiecie
Siła ogłady na wielkim świecie;
Bo też na dworze kasztelanowej,
Nietrudno było o mądre głowy.
Wszelka tam sława, zasługa, cnota,
Otwarte miała na rozścież wrota,

Czy to w stolicy, czyli w Sieniawie,
Gościennych progów nie rzucał prawie
Zastęp uczonych owego czasu;
A mądre słowa nie szły do lasu,
Ale na dwór on hetmański cały,
Niemal polor zwolna rzucały.
Ktokolwiek wziętość pozyskał piórem,
Wygłaszał rymy pochwalne chórem
Na wieczną chwałę krętej Sieniawy;
I na tę gwiazdę Niemiejszej sławy,
Co w modrem polu wyżej księżycy,
Zacnym Leliwom wieki przyświeca.
Owoż strzępione szumną łaciną
Panegiryki, potokiem płyną
Na cześć wielkiego Sieniawskich rodu;
Chociaż ich słońce już do zachodu
Chyli się zwolna, bo w dom hetmana
Kądziel zesłały wyroki Pana,
A nieodrodne po mieczu syny,
Już nie zabłysną zacnemi czyny.

Oj! ciężkoż nad tem hetman boleje,
A na pociechę powtarza dzieje
Cnego rodzica, co żywot długi
Oplótkł bogatym wieńcem zasługi;

Co wśród rozterek domowej wojny,
Wystawił poczet hussarski zbrojny,
I Kaźmierzowi zasał go w hołdzie,
Trzymając zastęp na własnym żołdzie;
Co z lat pacholich wrósł do kulbaki,
Gromił Tatary, Turki, kozaki;
Którego pomną prawicę sławną
Podhajce, Braclaw, Chocim, Żorawno!
Któremu chociaż olbrzymie siły
Wczas obozowe trudy strawiły;
Przecież, by iskra w chłodnym popiele,
Tli wielkie serce w zgrzybiałym ciecie.
Choć mu lat brzemień siadło na grzbiecie,
Sędziwy starzec goni po świecie
W wiedeńskiej sprawie wieniec dębowy,
By okryć chwałą włos srebrnej głowy,
Zanim ją w trumnę złoży na wieki.
Toż gdy z wyprawy wracał dalekiej,
Gdy znój mu stargał zwątlone zdrowie,
I o śmiertelne gdy wsparł wezglowie
Skołoń pooraną; to z ręki Jana
Otrzymał drogie znamie hetmana;
I wzniośł dziękczynne ku niebu dłońie,
Że go jak żenca, Pan na zagonie,

Gdy plon do kłosa sprzątnął szczęśliwie,
Po dokonaniem powołał żniwie.

I mimo ucha nie szły dziewoi
Owe gawędy, co u podwoi
Magnackich brzęczą, niby rój pszczelny,
O sławie ojców nieskazitelnej.
I każde słowo Elżbieta wplata
W wieniec pamiątek na dalsze lata;
We wszystkim udział serdeczny bierze,
Wszelka ją sława obchodzi szczerze.
A gdy w zimowe wieczory, czyta
Kacper Niesiecki, ksiądz Jezuita,
Szanowny klejnot polskiej korony,
W cnego rycerstwa herby zdobiony:
Młode jej serce bije radośnie.
Kiedy wyszywa wsparta na krośnie
Piękne ozdoby Pańskich ołtarzy,
O! wtedy dziewczę дума i marzy,
A bystry potok myśli zbudzonej,
Cudnemi w duszy gwarzy jej tony.

Lecz choć Elżbieta w poranne lata
Zdała od domu zbiegła kęs świata,

Choć siła razy była we Lwowie,
Dwakroć w Warszawie, trzykroć w Krakowie;
Choć i w Dubiecku w Halickiej ziemi,
Pod pysznej ksieni i sploty bujnemi
Nieraz od skwaru chroniła głowę,
Kiedy Krasickich progi domowe
Rada zwiedzała, wraz z hetmanową;
Jednak Elżbieta dziś słowo w słowo
Taką jak przedtem: skromna, nieśmiała,
Jakby przeliczyć trzech nie umiała.
Rumieńcem wstydu płonie jej lice,
I chętnie w ziemię spuszcza źrenicę,
Wciąż się pod skrzydła tuli macierzy:
Znać w własne siły dziewczę nie wierzy.

I ledwie czasem w wieczornym mroku
Dozwoli bujać swobodniej oku,
I na Kaźmierza popatrzy chwilę;
Snać jej ku myśli przypada mile
Postać młodziana mężka a blada,
I na tę szramę pogląda rada,
Co skroń przecina wyżej powieki.
Ale niepokój jakże daleki

Od owej myśli czerstwej a zdrowej!
Dziewczę nie splata marzeń osnowy
W znikome wieńce, ni złudzeń czarą
Nie poi serca; lecz z pełną wiarą
Codziennie ręce bieluchne złoży,
I los swój zleca Dziewicy Bożej.
Co jej przemyślać o własnej doli,
Gdy włos nie spadnie bez wyższej woli!
Czyliż więc człeku bez grzechu wolno
Zagłębiać w przyszłość myśl nieudolną?
Zresztą, rodzice niech sami radzą,
Na to ich Pan Bóg obdarzył władzą,
I przez doświadczeń przepuścił próby,
By miłe dziatki strzegli od zguby.
To też na licu pięknej Elżbiecie
We łzach nie wędnie majowe kwiecie,
Nie ćmią urody daremne żale;
Ale jak promień w wody kryształne,
Nadobnie barwę odbija złotą:
Tak jej uczucie z szczerą prostotą
Świeci w uśmiechu, w mowie, w spojrzeniu,
I jak siołek ukryty w cieniu
Wzrastając zwolna, skromnie, a zcicha,
Rozsiewa wonie z głębi kielicha.

Ale nie z takim pełnym spokojem
Przemyśla Kaźmierz o szczęściu swoim.
Wie, że mu przecież działać przystało,
Lecz choć się duszą uplatał całą,
Istnie jak mucha w pajęczej tkance;
Jednak nieśmiały przy swej bogdance,
Choć płonie ogniem serce i głowa,
Skarb młodych uczuć w głąb piersi chowa.
Lęka się, czyli dość zasług liczy,
By mógł pozyskać affekt dziewiczy.
Jeno gdy brat mu otuchy doda,
Warem mu dusza zakipi młoda,
I niby sokół, myśli poloty
Rozwija w marzeń krainie złotej.

Lecz nie zasypia gruszek w popiele
Zacny brat Józef, choć on niewiele
Przywykł próżnemi szermierzyć słowy,
Bo on nie sieje plewy jałowej;
Lecz nim z ust jego słówko wybieży,
Wprzód je głęboką rozwagą zmierzy,
Dwukroć na myśli zważy je szali,
Nim swoje zdanie śmiało wypali.

Gdy więc zmiarkował, że przyszła pora,
Chwycił sposobną dobę z wieczora.
Widząc chorąztwa samych w komnacie,
Jął im oględnie prawić o bracie;
A choć zakonna dzieli go szata
Od czczych i marnych wielkości świata:
Znając serc ludzkich słabości drobne,
Wspomina, jakim blaskiem ozdobne
Imię Drużbackich w Rusi Czerwonej.
Wszak zacny Jerzy, dziad ich rodzony,
Nieskazitelnej sławy a cnoty,
Walcząc na czele pancерnej roty,
Przełał krew w sprawie Kaźmierza Wazy.
Toż L w Drużbackich świeci bez skazy
W czerwonym polu mnogie już lata.
Potem młodzieńcze zasługi brata
Stawi koleją, jak za cześć Piasta
Toczył krew z piersi; i coraz wzrasta
W sercu kapłana szczerą otucha,
Bo go chorąży z uwagą słucha,
A lzy pod matki błyszczą powieka
Na myśl bolesną, że tak daleko,
Opatrzność zaśle dziewczę jej miłe.
Jednakże mężką przyzywa siłę.

Świętać tam miłość płonie w jej duszy,
Skoro więc dziecku pomyślność tuszy,
Już osobiste potłumia względy.

A Józef ciągnąc wątek gawędy,
Coraz wyraźniej do celu zmierza;
Wreszcie oświadcza chęć Kazimierza
Szczera a stałą, ku ich Elżbiecie.

A ojciec na to: „Niech nasze dziecko
Samo o przyszłej swej doli radzi.“

Wnet też spłonioną, matka prowadzi
Z blizkiej komnaty; drżąca i błada
Do stóp rodzicom dziewoja pada,
Przyrzeka czynić zadość ich chęci:
Jeżli ich wola związek uświęci,
Toż i w jej sercu nie ma przeszkody.

Zwołan przez brata Kazimierz młody,
Naprzód się kornie rodzicom kłoni,
I po raz pierwszy dotyka dłoni
Pięknej bogdanki drżącym uściskiem,
Dziwnie ośmielon szczęściem tak blizkiem.

A Józef Bogu zasyla dziękę,
I błogosławiąc, unosi rękę
Nad młodą parą, gładką a hożą;
Wraz-ci rodzice w opiekę Bożą,
Modlitwą drogie zlecają dzieci;
I jasno płomień w ognisku świeci,
A w młodych sercach miłość z nadzieją,
Stokroć czarowniej jeszcze jaśnieją!

Zeszło lat parę. W chorążtwa progu
Życie bez zmiany, cicho, po Bogu
Bieży, ubitym oddawna torem.
Praca przy słońku, po niej wieczorem
Gawęda w miłym kółku rodziny;
Serdeczne chęci, pobożne czyny,
Z sąsiadem miodu spełniona czara,
Stara prostota, poczciwość stara;
Godzinki co dnia śpiewane razem
Przed Częstochowskim Maryi obrazem,
W kościółku Bożym modły w niedzielę;
Pogoda w duszy, w sercu wesele,

Drobne frasunki, drobne pociechy:
Owoż i żywot mieszkańców strzechy.

Ależ się niemniej w wątek on złoty
I nie zaplotła szara tęsknoty,
Bo mil pięćdziesiąt przedziela z górą,
Zacnych chorążtwa z miłą ich córą.
Za toż się cieszy rodzina cała,
Gdy raz do roku w święto Michała
Wita Elżbieta drogie te ściany;
Kędy jak wieniec z kwiatów utkany
Zbiegł jej wiek młody zdala od świata.
Już upłynęło blisko dwa lata,
Jak życie z miłym małżonkiem dzieli,
A nad ich strzechą stróżę anieli
Białemi skrzydły szeleszcząc w górze,
Zdala zganiają gromy i burze,
I kwiat im biały u proga sieją,
Niezwiedłą serca karmiąc nadzieją.
A kiedy jeszcze wyroki Boże
W dom im dzieciątko zesłały hoże,
Gdy Bóg im w nadmiar doli szczęśliwej,
Żywemi węzeł spoik ogniwy:

Toż błogosławiąc zakład on drogi,
Matka pobladła od dziwnej trwogi,
Jak żeby odbłask szczęścia uroczy,
Zbyt wielkim światłem oślnął jej oczy.
Zda się przeczuwać, że takiej doli
Długo używać Pan nie dozwoli
W zmiennem ziemskiego pasmie żywota,
Gdzie łza, cierpienie, ból i tęsknota,
Ćmią zorzę szczęścia czarnemi płamy;
Kędy rozwarte cmentarza bramy,
Wciąż ostrzegają pielgrzyma człeka,
Że grób gotowy zarówno czeka
Łazarza w krwawej z ciernia koronie,
I złotą dolą błyszczące skronie.

Ależ są w życiu uroczne chwile,
W których się przyszłość śmieje tak mile,
A promień szczęścia tak oko nęci,
Że cień ubiega z człeka pamięci;
I pełnem sercem w światła powodzi,
Jak w śnie czarownym na oślep brodzi,
Pewien, że kołem promiennem słońca
Żywot mu zbieży z końca do końca.

Taką Bóg zesłał chwilę Elżbiecie,
Kiedy w objęciu piastując dziecko,
W przeddzień świętego ojca patrona,
U rodzicielskich stóp ukorzona,
Witała ciche progi zagrody.

O! jakże cudnie kwiat jej urody
Krasy niewieściej rozkwitem płonie!
Jakże on ogień, co tli w jej łonie,
Wdzięcznemi barwy na lica spływa.
Niby gołąbka biała, pierzchliwa,
Zuane komnaty zbiega wokoło;
To poszczebiocze z działawą wesoło,
Miłą czeladkę serdecznie wita,
Wszystkich przytula, bada i pyta:
Zda się, że sercu w piersi zaciasno.
A przed jej okiem, jakże się jasno
Ścielią te pola, miedze i lasy,
Kędy biegało dawnemi czasy
Leciuchną stopą niewinne dziecko,
Splatając w wianki majowe kwiecie.

A gdy nazajutrz w dom się zebrała
Miłych sąsiadów drużyna cała,

By dowieść bratniej czci chorążemu;
Gdy „kochajmy się” brzmi po staremu,
Kiedy przy dźwięku rażnej kapeli
Goście polskiego hurmem ucieli,
Para po parze gdy suną wieńcem:
Ona spłoniona wdzięcznym rumieńcem,
Z jasną pogodą na gładkiem czole,
Niby królowa w biesiadnem kole,
Świecąc młodzieńczej krasy ozdobą,
Serca i oczy ciągnie za sobą.

Ale ochocze przerywa tany
Starym węgryzmem kielich nalany.
Wpółśród komnaty chorąży stawa:
— Spełnijmy—rzecz—w cześć Stanisława
Do dna on puhar! Niech lata mnogie
Plemię nam Piastów króluje drogie,
Niechaj leszczyna w bujne konary
Ocieni gniazdo enoty a wiary,
Co w tym narodzie sam Bóg zakłada!

Tu słychać turkot, i nagle wpada
Wybladły skarbnik we drzwi komnaty;
Włos roztargany, w nieładzie szaty,

Dowodzą ciężkiej troski a trwogi.
Zaledwie nizkie przestąpił progi,
Wraz się bezsilny na nogach chwieje;
Sam widok starca płoszy nadzieję,
Nim z ust mu słowo wybieży gromem.

— Bracia! miecz zawisł nad Piasta domem—
Woła z boleścią.—Karol zwyciężki
Cześć swą zagrzebał wśród srogiej kłęski.
Szwed trupem ściele pola Połtawy,
A Worskłę potok zrumienia krwawy,
Co się bruzdami sączy do rzeki.
Bohater szwedzki w kraj zbiegł daleki,
Owóz i Piasta zgasy nadzieje!
I znów ohydna głównia roztleje
Wojny domowej na naszej ziemi!

I umilkł skarbnik, wkoło łzawemi
Powiódł oczyma; w komnacie głucho.
Stoi chorąży z żrenicą suchą,
Jeno ją rozwarł straszno, nad miarę,
I trzyma w górę wzniesioną czarę,
I głucho imię powtarza Piasta!

Wrzawa w komnacie niebawem wzrasta,
— Biada!—brzmi—biada!—przeciągłym chórem;
Jeno chorąży z okiem ponurem
Stoi jak posąg kuty z kamienia.
Nagle się jego oblicze zmienia,
Krew mu rozsadza żyły na skroni,
I puhar z skrzepłej wypada dłoni!
Na tysiąc części szkło się rozpryska,
On jeszcze prózną prawicę ściska,
Wznosi ją w górę, i jeszcze Piasta
Powtarza imię.

Trwożna niewiasta
Biegnie do męża.... patrzy mu w oczy,
A cień śmiertelny pomału mroczy
Lica nabrzękle i oko krwawe.
Synowie ojca niosą na ławę,
Lecz coraz słabiej życie w nim płonie,
Głos zachrypł w piersi, a zimne dłonie
Chory w znak krzyża pobożnie składa.
Młoda Elżbieta drżąca i blada,
Rozrywa spinę u ojca szyi,
I do ust ciśnie szkaplerz Maryi,

Co słoni starca pierś pełną wiary.
A żona zdjęta żalem bez miary,
Kłęczy półmartwa przy boku męża;
Boleść jej mężką siłę zwycięża,
Drze na pół szatę, targa włos siwy.
Płacz się rozlega dziatwy trwożliwej,
Kiedy w kapłańskie przyodzian szaty,
Wstępuje pleban w progi komnaty,
Znaczy chorego w święte oleje,
W dziatkach i żonie wznieca nadzieję.
Bo kto dni przeżył poczcziwie w Bogu,
Maż-li się trwożyć w wieczności progu?
Toż gdy wybije straszna godzina,
Pan jak miłego przyjmie go syna;
A miłość ludzka lśnić mu nad głową,
Lekką uczyni ziemię grobową,
Którą dłoń bratnia rzuci na oczy.
Boć on, w żywota ciemnej omroczy,
Pod krzyża brzemień poddawał bary:
Ani się sromał ofiarnej czary,
Ale po Bogu, kornie, a zcicha,
Spełniał z Chrystusem gorycz z kielicha.

Słyszając te słowa żona się korzy,
Ciężki krzyż z woli przyjmuje Bożej,
Z gorzkich łez blade ociera lice,
Sama z nad łoża niesie gromnicę;
I u wezgłowia bezsilna pada,
Do czoła męża usta przykładła.

Już ostygłego tchnieniem swém krzepi,
Aż on odetchnął głębiej i lepij.
I zda się słyszy łzawa niewiasta,
Jak szepcze imię Boga i Piasta,
Kochanych dziełek i swej Urszuli;
I znów mu głowę na piersi tuli,
Ale pierś martwa, chłodna a głucha:
Znać Bóg do siebie powołał ducha!

Łkania i jęki brzmia wśród komnaty,
I przykro świecą godowe szaty
Przy łzach, co płyną po licu strugą!
Kłęką drużyna, i rzewnie, długo,
U zwłok zmarłego mówi pacierze;
A łaską Bożą dźwigniona w wierze,
Przymyka żona, małżonka oczy,
Sciera pot zimny, co skroń mu broczy,

I posiniałe konania znojem,
Lśni znów oblicze niebios spokojem.
Zda się, pochodnią anioł grobową
Sprawiedliwemu świeci nad głową,
A miłość ludzka wieńcem promieni
Rozgarnia pomrok śmiertelnych cieni;
Od czoła jasność odbija błoga,
Znać duch szczęśliwy na łonie Boga!

VII.

Smutnoż dokoła, pustka i groby!
Anioł chorągwią chwiejąc żałoby,
Promień wesela rozwiął Elżbiecie.
Toż-to wesołe i miłe dziecko?
Oważ-to cudnój krasy dziewczica?
Gdzie blask jutrzeńki, co na jój lica
Niegdyś promienie rozsiewał złote?
Dziś kir żałobny słoni sierotę,
A miasto wieńca nad białem czołem,
Czepiec się wdowi roztacza kołem!
Rychłoż wyziewy chłodne mogiły
Kwiat jój niewieściej urody zmiły!

O! bo niezłomną niedoli siłą
Biedne jój serce w grób się zmieniło!
A w onym głucho milczącym grobie,
Jakby na roli w zimowej dobie,
Kryje się drogie ziarno wspomnienia,
I jeno patrzeć kiedy z pod cienia,
Pod blaskiem słońca i chłodem rosy,
Ziarno w zielone wybuja kłosa.

Zwolna z nad młodej Elżbiety głowy
Zganiał stróż anioł on łuk tęczywy,
Co siedmiobarwnem świecił jój łunem:
Kropla po kropli sycił piołunem
Miodową niegdyś życia jój czarę;
Zwolna roztałcał tumany szare
Na promień złoty jój cichéj doli,
Jak kmieć, co zwolna kraje na roli
Oстрыm lemieszem głębokie skiby,
Szarpie ją broną, aż wie bez chyby,
Że skoro zasiew w tę rolę złoży,
Doczeka plonu przy łasce Bożej!

Tak Bóg odbierał zwolna Elżbiecie
Wieniec po wieńcu, i kwiat po kwiecie,

Aż w końcu niemal wszyscy jój mili
W dębowe trumny głowy złożyli!
Pótyż Pan skrzepiał matczyną siłę,
Aż z pod jój skrzydeł dziecinki miłe
Jakby jaskółki, ubiegły rojem:
Wówczas jój żywot spłacił spokojem,
Serce upowił darnią zieloną,
A ducha wezwał na własne łono.

I wnet podążył za matki torem
Młody Kazimierz dotknęty morem;
A spuszczone z trumny całun grobowy,
Pokrył wraz serce zbolelej wdowy.
I ojciec Józef czcząc imię Boże,
Snem wiekuistym zasnął w klasztorze.
Z wieńców żywota pozostał przecie
Ostatni pączek smutnej Elżbiecie,
Jedyna w znoju przystań zielona,
Kędy pielgrzymka mogła strudzona
Utulić głowę w południa żary;
Jeszcze jój oku, z poza mgły szarej
Lśniła gwiazdeczka czysta a biała,
Miłe jój dziecię, Urszulka mała!

Z rozkoszą matka oczyma goni
Włos, spływający złotem z jej skroni,
I błękit oka cudnej pogody,
I owe mlecznej bieli jagody
Promieniem zorzy zlekka owiane,
I jak koralik usta rumiane.
O! jakże matki sercu i oku
Obraz małżonka, pełen uroku,
Powtarza wdzięczna postać Urszuli;
Toż gdy do łona dziecinę tuli,
Wspomnieniem ludzi myśl jej sierocą
Dola, przyémiona grobową nocą!

I dziś, jak błogo na lica sennój
Pogląda matka, w ranek wiosenny;
Kiedy strząsnąwszy zimowe chmury,
Jasno na ziemię spojrząło z góry
Słońce, on promień żrenicy Bożej!
O! w proch się dusza Elżbiety korzy,
Gdy przez otwarte okno komnaty
Widzi, jak sterczą sino Karpaty;
A ich podnóża Pan przyodziewa
W wieńce zarośli, i bujne drzewa,
Jak łąki w kwietne ścięle kobierce!

Zrazu bezsilne niewiasty serce
Kołacze w piersi bolem ściśnionej:
Nie śmie uchylić dłonią zasłony,
Która całunem ómi jęj blask świata;
Aż zwolna myśl jęj w przestrzeń ulata,
Pchana potęgą niezłomnej siły,
Ziemskie jęj oko mgły niby zémily;
Ale duch skąpan w światłości stoku,
Strząsa się nagle z ziemi pomroku,
I po błękitnej przepływa fali
Prosto ku słońcu, dalej, a dalej!
I niby orle rosna jęj skrzydła,
A duch ziemskiego wolen wędziła,
Już nie zwikłany w żywota sieci,
Coraz swobodniej ku niebu leci....
Ale nie wzleciec z ziemi do Boga!
Jeno prorokom znajoma droga,
Którą na wozie z ognistej zorzy
Eliasz przed tron dopłynął Boży!

O! czyż nie dosyc, gdy Pan dozvoli
Przeczuwać promień niebieskiej doli?
Uganiać prawdy odbłaski złote,
Duchem nad ziemską wzlatać tęsknotę,

Przebijać niebo skrzydły pokory,
Modlitwą balsam nieść duszy chorąg;
A gdy wokoło szumi noc głucha,
Wybłagać łaskę Bożego ducha,
Aby przy skrzydeł Jego promieniu,
Z zbolalój piersi wysnuć w milczeniu
Świat czarodziejskiem zaklęty kołem,
Gdzie ziemia rajem, człowiek aniołem;
Gdzie czyn uświęcon miłości cechą,
Świat, który z wdzięczną serca pociechą,
Pieśnią poeta dobywa z siebie,
Po snów anielskich żeglując niebie.

Taki świat pieśni, jasny, uroczy,
Bóg dziś Elżbiecie stawił przed oczy.
Gdy orlim pierzem skrył jej ramiona,
Z jakąż rozkoszą, z błękitu łona,
Gdzie duch ją uniósł potężnym lotem,
Widzi skąpane promieniem złotym,
Nurty Wisłoki bystre a kręte,
Dalekie góry mgłą przysłonięte;
I pola rosą sperlone ranną,
Smugi zarosłe złotą dziewczanną,

I łąki strojne w kwiaty i zioła,
Kędy gromada krów tak wesoła,
Wraz się głośniami zwołuje ryki;
I ciemne lasy, wdzięczne chłodniki,
I z śnieżnym kwiatem na miedzach grusze.

Spokój ogarnął Elżbiety duszę,
Myśl jej owiała pogoda błoga;
Z pokorą dłonie wzniosła do Boga,
A pochylając czoło ku ziemi:
— Panie!—zawoła usta drżącemi—
Jak cudną ziemią, Twe Boskie dzieło,
Którą z odmetu słowo dźwignęło!
O! czyliż bogacz, lub mocarz który,
Co dnia przywdziewa drogie purpury?
A kwiat się co dnia pyszni w koronie,
Niby Salomon na złotym tronie!
Czyż wyuczone dźwięki kapeli
Płyną w błękity zgodniej, weseliej,
Jak pieśń słowików ukrytych w wrzosey,
Gdy mokre skrzydła strząsają z rosy.
O! wszędy Panie czuwa Twe oko!
I nad tém zwierzem skrytém głęboko

W zarosłej kniei, gdy pomiot młody
Wiedzie porankiem do źródła wody!
I onże kmiotek miłym Ci Panie,
Co z wiarą składa zasiew na łanie,
I wesół z pieśnią po bruzdach chodzi,
Ufny, że ziarno sto kłosów zrodzi.

Zmilkła, i jasny odbłask natchnienia
Wzniosłe niewiasty czoło spromienia,
Gdy pełną piersią chłonie to życie,
Które rozsiewa wiosna w rozkwicie.
I moc tajemna, dotąd nieznana,
Wznosi jej dłonie, zgina kolana,
Zdwaja krwi bicie, i niby czarem,
Serce przepełnia miłości żarem,
I niby tęczą łśni jej nad głową,
A z ust, modlitwy dobywa słowo.

— Ja proch stóp Twoich—rzecze—o Boże!
Pragnę Cię wielbić w szczerzej pokorze,
Chęcią i czynem, słowem i myślą:
Rozwiąż me usta, niech wdzięcznie skreślą
Cuda miłości Twój niezmierny.
Niech duch Twój Panie! szepnie mi tony

Jakiemi żądasz, by Twoja chwała
Z ust służebnicy niegodnej brzmiała;
Niech mi rozwieją ranne powiewy
Myśli jałowe, jak lotne plewy;
Niech mnie ponęta nie wiedzie pusta,
Bym miała kłamstwem skalać me usta,
Bym przez pochlebstwo, w znikome szczyty,
Stroiła wieńce dla ludzkiej pychy.
Ja gwoli prawdzie, i gwoli Tobie,
Pieśń chcę wyronić w samotnej dobie,
Jaką Ci ptacy śpiewają leśni;
Niechaj świat mojej nie zazna pieśni,
Niechaj pochłona fale Wisłoki
Dźwięki mój liry w nurt swój głęboki;
Niech nie wybiegną raczyć z pod strzechy,
Niżby szydzące wzbudziły śmiechy.
Bo według ludzkich sądów, nie wolno
Chwytać niewieście w dłoń nieudolną
Cudownej lutni, miasto wrzeczona;
Lecz Tyś mi Panie! złożył w głąb' łona
Iskrę, co buchła jasnym płomieniem,
Kiedyś przyodział żalobnym cieniem
Stromą drożynę mojego życia:
Ty więc przebaczysz, jeśli z ukrycia

Zabrzmią w cześć Tobie, mej pieśni dźwięki,
Ty nie wytrącisz lutni z mej ręki.
Wszakże wiosenny cudów Twych dzwonek,
Ulatujący w górę skowronek,
Równie ci miłym, potężny Boże,
Jak lotny orzeł, co chmury porze,
I w twarz słoneczną patrzy bez trwogi.
Wszak nam Twa wola zakreśla drogi,
A ja mam ścieżkę widzę dziś jasno.
Już w pełnej piersi słowu za ciasno:
O! niech się z dźwiękiem mej lutni sprzęże,
Niechaj stóp tronu Twego dosięże.
A Ty przedwieczny, bez czasu, końca,
Błyśniesz mi czystym promieniem słońca,
Ukrzepisz stałą w sercu nadzieję,
Której światowy wiatr nie rozwieje.
Przyjm więc mą wolę pod Twoje rządy,
A wraz głębiny, wiry i prądy,
Przebrnę o wiary wsparta kotwicę.
Na toś dał Syna, ócz Twych źrenicę,
By wsparta przezeń ta glina krucha,
Nie pochłoneła jasnego ducha,
Co z łona Twego oderwan, Panie,
W człeku doczesne obrał mieszkanie.

Gdy pieśń ku Tobie zaśle nieśmiałą,
Ty mnie podźwigniesz słabą i małą.
Wszak gdy Libanu cedry wiekowe
Chylą przed wichrem stuletnią głowę;
Wsparta Twą łaską powiewna trzcina,
Choć się od burzy w ziemię nagina,
Przez cię dźwigniona w pogodną ciszę,
Znów się na wodzie zlekka kołysze.
Wszak gdy potopu fale, dosięgły
Skały, gdzie orły w gniazdach się legły;
Gdy stare dęby z wyniosłem czołem
Padły, wzburzoną rwane żywiołem:
Pod Twą opieką wszak ocalała
Schroniona w arkę gołąbka biała,
Co miała uszczknąć ludziom po znoju
Oliwną różeczkę, godło pokoju.

Tobie więc, Panie, nastroję lutnię,
Póki czas koś strun jej nie utnie.
O! toż otucha duszę mą pieści,
Że przyjmiesz hołdy z dłoni niewieściej,
Że z ziarn przezemnie sianych na roli,
Płon się rozwinie złoty, powoli;

I cichy wieniec, u niebios proga,
Kiedys żniwiarka złoży uboga.

Zmilkła Elżbieta, a nad jej czołem
Blask zorzy świetnem odbił się kołem;
Z pod ciemnej rzęsy wzniesionej w górę,
Łzy niby perły na lic purpurę
Spływają zwolna, a zbudzon w łonie
Ogień natchnienia, w obliczu płonie;
I chwyta pióro, i spiesźnie kreśli
Byстрыm potokiem płynące myśli.
O! jakże skorym pociągiem dłoni,
Złoty ich watek goni a goni;
Ale dobieżyć myśli daremno!
Bo ona gnana siłą tajemną,
Jak wśród kwiecistych strumieni wyrzeży,
Przezczystym prądem bieży a bieży;
I ledwie krople z uroczej fali
Niekiedy słowem śpiewak ocali!

Na wskroś Elżbietę zbiegają dreszcze,
Gdy ściga zdala połyski wieszczce,
Co na jej marzeń jaśnieją niebie;
A gdy nie zdoła wydobyć z siebie

Dźwięków właściwych pieśni proroczej:
Nagle znów ogniem załsnia jej oczy,
Gdy duchem wzłata nad mroczne cienie,
I gdy przelotne zdoła natchnienie
Związać, i zakląć w czarowne słowo!

O! zda się wtedy, że nad jej głową
Zawisnął anioł w jasnym obłoku,
I zdumionemu wskazuje oku
Cudowne karty żywota księgi,
Na których mocą wyższej potęgi
Lśnią wiekuiste prawdy odbłaski;
I niby anioł zlewa zdroj łaski,
Jakby przezczystą Jordanu wodę
Na pierś gorącą, na czoło młode;
I zcicha węzłem miłości spleta
Uczucie wieszczki, z cudami świata,
A z głębi piersi zronione pienie,
Na skrzydłach w modre niesie sklepienie.

VIII.

Siła spłynęło czasu i wody,
A niezgaszona głównia niezgody
Rozsiewa jeszcze zgubne swe żary.
W sercach zabrakło wzajemnej wiary.
Toż August trzyma zastępy mnogie
Oreźnych Sasów, a ztąd złowrogie
Skarg a narzekań głucho brzmią chóry!
Czasem jak orzeł uderzy z góry
Grudczyński z Wołoch, albo z Pomorza
Wpadnie Szmigielski; lecz gaśnie zorza
Lepszej otuchy, skoro Tatarzy
Lecą szarańczą w podolskie jary;

Lub gdy kozactwa niecna swawola,
Krwia ukraińskie rumieni pola.

I jak tonący chwyta się w trwodze
Za ostrze brzytwy; tak naród srodze
Zgnębion na duchu, jednoczy siły,
By wygnać zastęp Sasów niemiły.
Lecz choć sejm niemy rychło w Warszawie
Kres Tarnogrodzkiej położył sprawie;
Głośnież przemawia niechęć w serc głębi,
I dziwnie naród ku Sasom gnębi.

I ledwie zamknął król August oczy,
Znów Piasta woła naród ochoczy;
Znów chórem imię brzmi Stanisława,
Bo znana wszystkim ta dusza prawa,
Któręj nie zmogły losu koleje;
Co żywiąc stale cichą nadzieję,
Dni przetrawione w doli tułaczęj,
Pracą, rozmysłem i czyny znaczy.

Dzisiaj przeważa Piastowska szala,
Choć nie powstanie z bram Frydrichshalla
Groźne szwedzkiego olbrzyma ramie,
I zapór grobu siłą nie złamie.

Wszakże Stanisław nadzieję łoży
W młodym Ludwiku, co z łaski Bożej
Potężnym Franków narodem włada;
Wszakże Marychna jego zasiada
Przy nim ozdobny tron w złotogłowie,
Wszak na niewinnej świeci jej głowie
Medyceuszek pyszna korona,
W noc Bartłomieja krwią ubroczone,
Na której tyle łez i klątw tyle
Spoczywa skrytych w przeszłości pyle,
Zanim je przyszłość z zgrozą poruszy.

I król Stanisław na pewne tuszy,
Że wnet powagą wsparty prymasa,
Zmoże stronnictwo młodego Sasa;
Tajnie przybywa w stołeczne mury,
Lecz się złowrogie zbierają chmury
Nad króla zacząć a siwą głową!
O! bo czyż zdoła prymasa słowo
Wszystkie mu głosy zjednoczyć gwoi!
Toż gdy się obiór odbywa w Woli,
Przy Wiśniowieckim szlachta na Pradze,
Sasowi zwierza królewską władzę.

I znów krew broczy rodzinne łany,
A nieszczęśliwy król w trop ścigany,
Z garstką swych wiernych pod wodzą Tarła
Wkracza do Gdańska, zkąd go wyparła
Wnet groźna siła; i Piast nasz stary
Rychło królewskie zwija sztandary,
W własnej niedoli czcząc sprawę Boską,
Z niezłomnej duszy odgania troskę,
I jako mędrcom czynić się godzi,
Pod prąd zuchwale nie peha swęj łodzi;
Lecz ufny Panu, wraz z nurtem płynie,
I w Lotaryngów pięknej krainie
Marzy statecznie o ziomek doli,
A młodzież polską garnie powoli
Do swęj stolicy, kędy u dworu
Lśnią światowego blaski poloru.
I w Lunewilu, rycerskiej szkole,
Niejedno młode polskie pachole
Do dalszych potrzeb sposobi siły;
I król Stanisław na kraj swój miły
Zwraca żrenicę po wszystkie czasy.
A w kraju głośno uczują Sasy,
U dworu stara znika prostota,
Ściany aż kapią od srebra, złota;

A pany czerpiąc przykłady z góry,
Zdobia swe włosi w wspaniałe mury,
W pyszne damaszki słonią komnaty.
Niewiasty błyszczą drogiemi szaty,
Lecz starodawną nie świecą wiara:
Świat im potyrał pobożność starą.
Snadno już dostrzedz, jak białogłowa
Niewiele ceni przysięgi słowa,
Sakrament święty bez sromu łamie,
I ściera zwolna to cudne znamie,
Które Bóg nad jej nakreślił czołem,
Czyniąc ją białym domu aniołem.
Toż białogłową świat ją nie zowie!

I mężom pono miłe wezgłowie
Miętko w łabędzie usłane puchy,
Bo zniewieściałły serca i duchy!
Nie dźwignąć młodym szabli rodzica;
A wymuskane gładko ich lica,
Pierś już nie zniesie kirysu blachy:
Tak się rycerze postrzygli w gachy!
Darmo na ojców patrzą obrazy,
Którym cny żywot zbiegał bez skazy,

Którzy nie znali tych cennych fraszek,
Jakich dostarcza Paryż, Damazek;
Jeno chowali wnukom w puściznę
Chlubnie podjętą na ciele bliznę.

I szlachcic syna śle z swej zagrody
Na dwór starosty lub wojewody;
Choć sam nieborak zagon wciąż orze,
Niechże się dzieciuch przetrze na dworze,
I zakosztuje pańskich kołaczy!

Smakuje młodym żywot próżniaczy,
Jeno coś potem nie płuży rola:
Milszać to pono dworska swawola!
Wreszcie, kto wyrośł na cudzym chlebie,
Musi kord z pochwy dobyć w potrzebie,
Musi zagrzaną pańską podniętą
I lba nadstawić, i wołać „veto!”
I po junacku, burdą a krzykiem
Trząść trybunałem, albo sejmikiem.

I chwast zarasta rodzinne niwy!
Przecież za Sasa naród szczęśliwy,
Według przysłowia, nierządem stoi!
Choć się niekiedy ciężko nabroi,

Skoro magnacki płaszcz zabezpiecza,
Ktoby się trwożył kary a miecza?

Lecz są i dworce, gdzie żywot płynie
Jak czysty strumień w cichéj dolinie,
Kędy zamorskie nie imą się chwasty,
Gdzie jeszcze kądziel przędą niewiasty;
Kędy dziewczeczki pod okiem matki
Rosną jak modre w zbożu bławatki;
Kędy serc prostych Marya strzeże,
By się nie chwiały w praojców wierze.

Lecz o tych dworcach cicho w narodzie,
Bo skoro huczą w skłóconéj wodzie
Płynące wierzchem szumy a piany;
Któż na milczące pogląda ściany?
A tam się wszakże po Bogu chowa
Jakby na zasiew cnota domowa!

Gdy takie naród zbiega koleje,
Cóż się na świecie uczonym dzieje?
Głuchoż tam, pusto, myśl brnie w ciemnocie,
Ledwie niekiedy w lichéj ramocie
Starą łaciną sucho strzępioną,
Pochlebca pali panom androny;

Tylko się jawią herbarze mnogo,
Jakby po dziadach w puszczynę drogą
Na pargaminach ryte ich cnoty
Chciały gromadzić wnuki, sieroty,
By w cudzych zasług stroić się pierze,
Gdy ich do czynu chętką nie bierze.

Jawią się wreszcie onemi czasy
Ku chwale Bożej: to *Kordelasy*
Co złym natogom na odsiecz bieżą;
To przed śmiertelnych grzechów grabieżą
Zrekrutowana wierna podpora,
Affektów serca, pobożna sfora;
To on *pistolet co grzech zabija,*
Kłębek, co ludzkie winy uwija,
Podpłomyk fary, matki rodzonej,
Łzami z popiołem wraz rozczyniony.

A przecież w onym ponurym cieniu,
Jedyna gwiazda łśni na sklepieniu;
I choć ludzkiemu chroni się oku,
Wdzięcznie jaśnieje na tle pomroku.
Już skarbnikowej Drużbackiej rymy
Czytane w długie wieczory zimy,

Krążą cichaczem z dworu do dworu;
Szlachta wysławia blask ich poloru,
Podziwia szczerze dowcip niewieści,
I w *Silva rerum* chętnie je mieści.

A wonczas z wielkiem zdumieniem kraju,
Wbrew przyjętego zdawna zwyczaju,
W niejednej białej brzmi lutnia dłoni.
Wszakże pływając na szczęścia toni
Słynna małżonka księcia hetmana,
Świata wielkiemu z mądrości znana;
Wszakże jej dowcip sławion bez miary!
Nawet w Nieświeżu skryci w maskary
Przezacni goście, gwoli jej chęci,
Radzi jej rymy prawią z pamięci.
Lecz choć oklaski brzmią jej nad głową,
Toż się nie przedrze książęce słowo
Poza wspaniałe pałaców progi;
Czyż je zrozumie szlachcie ubogi,
Gdy w sielankowym Helenów świecie,
Miękką dłoń księżnej swe wieńce plecie?

Lecz zwolna, zwolna, na tle błękitu
Jawią się słabe odblaski świtu.

Dwaj wielcy męże w murach Warszawy,
Niezlomnej cnoty, a wiecznej sławy,
Wraz przedsięwziawszy podniosłe cele,
Ku ich spełnieniu idą lat wiele,
Walczą przesady piórem a słowem,
Chcąc chwast wypłenić w polu jałowem,
Co od lat tylu odłogiem leży.
Konarski zwraca myśl ku młodzieży,
Zakłada konwikt, depcze Alwara,
A chociaż zrazu pijarska wiara
W błędnym narodzie wątpliwość budzi,
Niemniej on działa dla braci ludzi.
Kiedy brnie naród w grubej omroczy,
On mu blask prawdy rzuca na oczy,
Krzykami szlachty nie zrażon wcale,
Przeciwko veto woła w zapale,
I rad skuteczne daje sposoby,
By kraj z bezrządu dźwignąć choroby.
Choć mądre słowo, jak groch o ścianę
O ich odbija serca zbłąkane;
Wszakże Konarski tém się nie trwoży,
I szczerze ufny w opiece Bożej,
Wie, że co czyni na korzyść braci,
Przyszłość ich dobrem z lichwą mu spłaci.

A znów kijowski biskup z swej strony
Zgarnia księgozbiór nieprzeliczony;
Szlachetną żądzą trawion od młodu,
Ochoczo nieraz przymiera głodu,
By spragnionego zasilić ducha.
I gdy nad Polską cisza tak głucha,
Myśl senną w martwem trzyma uśpieniu;
On, z głębokiego dobywa cieniu
Pomysłów ludzkich wątek wiekowy,
Niegdyś złotemi jawiony słowy,
Nim go szkolarskie zwikłały pęta.
Toż Załuskiego wola niezgięta
Uczy, jak człeku dokonać cudu,
Byle się marnie nie sromał trudu;
Jeno z niezgasłym w piersi zapalem,
Cel jeden życiem uganiał całem,
Nie rozpraszając woli na części,
To mu nakoniec i Bóg poszczęści!

Owóż Załuski przez mnogie lata
Wsparty udziałem serdecznym brata,
Co na Siewierskiej zasiadł stolicy,
Do swej bogatęj zbiera księżnicy

Rzadkie fenixy i białe kruki,
Słynne Hallera, Wierzbiety druki,
Owe bez ceny stare anpały,
Które cierpliwie przez żywot cały
Kreśliły mnichy w klasztorным cieniu,
Bogu a pracy służąc w milczeniu.

Niedość że biskup ku chwale Bożej
Sędziwe ciało postami morzy,
Byle zasoby zbogacać drogie;
Wraz i drukarnie dźwiga ubogie,
I z Bohomolcem kroniki głosi:
I niby pszczoła, co dnia miód znosi
Do rodzinnego na przyszłość ula.
A jako pasterz dobry, przytula
Własnej opiece zwierzoną trzodę.
Tak zacny biskup, zdolności młode
Garnie do serca w pocziwiej wierze,
Serdeczny udział we wszystkim bierze,
Co bądź osądzi godnem podniety.

Owóż obecnie, rymy Elżbiety
Ogłasza drukiem własnym nakładem,
Ufny, że rychło niewieściem śladem

Podźwignie naród rodziną lutnię,
Co od lat tylu drzemała smutnie,
Aż dziś pod słabój dotknięciem ręki
Zbudzona, czyste wydała dźwięki.

Podczas gdy biskup na wieczne lata
Niezwiedły wieniec Elżbiecie splata;
Ona w głębokiej żyjąc zaciszy,
Ledwie przelotnie niekiedy słyszy
Ludzkich oklasków odgłos zmieszany.
Zwykle milczące dworku jój ściany,
A życie jasno, czysto, lecz w cieniu,
Jak nurt Wisłoki płynie w Rzemieniu.
Tam skarbnikowa z uczuciem matki,
Baczy nad dolą wiernej czeladki,
Wraz z nią zanosi modły do nieba.
O powszedniego co dnia kęs chleba,
I mądrze domu piastuje wodze.
Ku niej w niedoli, bolu a trwodze,
Ufnie się garnie miły ród kmieci:
Niewiasty, starce, i drobne dzieci
Zawsze znachodzą dłoń jej gotową,
I w ustach Bożej pociechy słowo;

A co niedziela w świętój pokorze,
Głos jój w kościołku brzmi „Święty Boże!“
Z głosem wiernego zjednoczon ludu,
W złój doli wzywa z niebiosów cudu.
A kiedy zwiedza chaty wieśniacze,
Nieraz ze smutnym rzewnie zapłaczę,
Błędno dzwignie w gasnącej wierze,
Z wesołym radość podzieli szczerze.
Patrzy na płasy młodzi ochoczej,
Zmarłym garść ziemi rzuci na oczy;
W kmiotku maluczkim uznaje brata.
I dni jój płyną zdala od świata:
Cicho, pobożnie, bez walk i znoju,
W niezakłóconym ducha spokoju.
A choć jutrzienka szczęścia, różowo
Nad jój sędziwą nie świeci głową;
Hojnież Bóg zdrojem żywiącej łaski
Spłaca jój doli zagasłe blaski,
I żyje drugim, choć zmarła sobie.
Toć gdy na męża miłego grobie,
Pasma dni zbiegłych samotnie liczy;
W łzach jój trującej nie ma goryczy,

Jeno tęsknota, jak obłok blady,
Zwiała z oblicza rumieńca ślady,
I rozpostarła w ciemnym jej oku
Mgłę tajemniczą, pełną uroku.
A żal jej wieczny, cichy, a czysty,
Podobnem czyni nocy gwiazdzistej
Lica, na których zgasły z kolei
Złudne promienie ziemskiej nadziei;
Które lśnią jeno wśród ciszy głuchej,
Światłem czerpniętem z wyższej otuchy.

I dziś w poważnym jaworu cieniu,
Sędziwa wieszczka siadła w milczeniu,
Głowę oparła na białej dłoni,
A okiem, słońca promienie goni,
Które z zachodniej chyląc się strony,
Drzew wierzchy w złote wieńczą korony.

Zdała Wisłoka, by wstęga sina,
Kwieciastą łąkę węzłem przecina;
A dalej jeszcze piętrzą się wzgórza,
Słoniąc zamglone Karpat podnóża.
Dokoła pełno gwaru i wrzawy:
Grono pacholąt pośród murawy

W podwórzu, różne wyprawia skoki;
Lecz zkadże rozmyśl taki głęboki
Na jej wydatnym odbija czołe?
Czyż zagrzebane w przeszłości bole,
Dreńczących wspomnień sępiemi szpony,
Wpiły się w ciche serce matrony?
Bo łza pod rzęsą zawisła ciemną,
Z piersi westchnienie zbiegło tajemno,
A wzrok w dalekiej zawisnął stronie....
O! bo dziś w cichem Elżbiety łonie,
Zdawna żywione doszły zamiary;
Dość już czerpała z żywota czary,
Dość krwi stoczyła w bólu a trwodze,
O tam rozslaną po życia drodze.
Wszakże wiejące z zewnątrz zawody,
Zmąciły źródło przeczystej wody,
Po której łódź jej pchnął wyrok Boży;
Dziś, gdy wieczorny promień jej zorzy
Dogasa mrocznym owiany cieniem;
Kiedy pół wieku twardym brzemieniem
Strudzone barki ku ziemi gniecie;
Kiedy Urszula, miłe jej dziecię,
Wsparta o ramię małżonka młode,
Już porzuciła ojców zagrodę;

Kiedy zagasły nadzieje Piasta,
A chwast i piołun bujnie zarasta
Wyjałowione rodzinne smugi,
Nim czas przekuje zbroje na pługi:
Dziś już do życia tęsknej Elżbiety,
Zabrakło wątku ziemskiej podniety.
Cisza klasztorna nęci ją mile,
Pragnie gorąco ostatnie chwile
Poświęcić Panu, a pierś sędziwą
Poić modlitwy krynicą żywą;
I duch rozpierzchny w życia rozłogu,
Skupić i zasłać wyłącznie Bogu.

Taki więc potok myśli wzburzonej,
Chyli ku ziemi czoło matrony;
Choć już spragniona klasztornej ciszy,
Niemniej głos jeszcze ponętny słyszy,
Który myśl tęskną silnie do świata,
Tajnym ogniwem nałogu wplata.

I słucha, z dłonią wspartą na rękę,
Dzwonów kościołka srebrnego dźwięku,
Jak płynie drżący z nurtem Wisłoki,
Aż wśród przestrzeni umilkł szerokiej.

Widzi dym szary, jak kłębem wkoło,
Do snu milczące spowija sioło;
I żal jęj szczerze pocziwych kmieci,
Lecz ich Urszulce miłej poleci;
Ma więc otuchę, że lud kochany,
W doli nie zazna bolesnej zmiany.
O! cudnież ku niej z wilgocią rosy
Płyną z dąbrowy słowicze głosy!
Nie tak uroczu w wieczór majowy,
Z wieży klasztornej zakwila sowy!

Dziwnaż-bo złuda w oku człowieka:
Jak mu pięknieje wszystko zdaleka!
Ledwie kwiat marny wypuści z dłoni,
Za jego śladem wnet stęsknion goni;
Śle swemu wczora pieśni łabędzie,
Wciąż złote wątki na jutro przędzie,
A dziś mu lotem ubiega skorym,
Aż grób wilgotny stanie otworem,
Kędy rozwiąże łzawy sierota,
Dziwnie splątany węzeł żywota.

Myśli Elżbiety w przeszłości toną;
Znać krew głęboko zbiegła jęj w łono,

Bo martwa bladeść spadła na lica;
I blaskiem nocnej gwiazdy przyswieca
Ciemne jój oko, w niebo wlepione.
Wiatr z pod kornetu zwiewa na stronę
Miękkie i lśniące jak jedwab' włosy,
Zciemnione chłodną wilgocią rosy.
A chociaż starty ręką boleści,
Pierzchł z jój oblicza on blask niewieści,
Co niegdyś hożą krasił urodę;
Lecz hojnie splanca zrzadzoną szkodę,
Czarownie piękny wyraz zapału,
Który na czoło spływał pomału,
W miarę jak urok myśli zbudzonej,
Ściągał promienie złotej korony
Na marzycielki natchnioną głowę.
I choć jagody zbladły różowe,
Wieczna jój młodość przebija w oku,
By srebrny promień we mgle obłoku;
Bo duch jój, ziemską nie zbrudzon pieśnią,
Wiecznie w błękanie szybuje z pieśnią.

Duma Elżbieta, aż tu z turkotem
Żwawo kolasa sunie za płotem,

Łysych kasztanów ciągniona czwórka;
I gość niebawem skręca w podwórko,
Przez daszkiem kryte szerokie wrota.
Ostatnim blaskiem słabo migota
Słońce schylone poza dąbrowę;
Podróżny zsiada, odsłania głowę,
Gładzi czuprynę, pokręca wąsa,
Zmięte kontusza wyloty strząsa,
I karabelą szczekając ostro,
Z radością stawą przed miłą siostrą.

Elżbieta rada wita Janusza,
Boć to pocziwa a prawa dusza:
Podobien ojcu z ruchu i z lica.
Już go zamienił wiek z chorążycą
W pana łowczego wieluńskiej ziemi,
A rej on wodzi między drugimi,
I jako rodzic w powiecie słynie.
Już szpak nie żartem siadł na czuprynie,
I bródy męzkie czoło zorały;
Ale z łowczego zuch jeszcze cały.
Na czerstwem licu rumieniec płonie,
Znać, krzepkie ramię a szorstkie dłonie

Dźwigną w potrzebie kord jak przed laty.
A na nim świecą kosztowne szaty:
Drogi pas słucki we wzory tkany,
I sufo złotem ubramowany,
Pieprzowy kontusz, a z raczymoru
Dopełnia modry żupan ubioru.

Przybrał się łowczy jakby na gody:
Snać ma ku temu słuszne powody,
Chce miłej siostrze dowieść swój cześci.
A siłaż o niej zasłyszał wieści
Na wielkim świecie, w murach Warszawy,
Gdzie zabrzmiał odgłos Drużbackiej sławy;
Odkąd jej lira i zacne imie,
Przoduje drugim w tym gładkim rymie,
Co go Załuski wyświetlił z cieniu,
Gdy polskiej muzy skrytej w Rzemieniu
Ogłosił drukiem uczone pieśnie.
Toć łowczy mniema, że marzy we śnie,
Kiedy w stolicy dostojne pany,
Cne senatory, księża, hetmany,
W cześć mu sprawiają uczty, wieczerze;
Chcąc brata wieszczki ugościć szczerze,

Nawet go wiodą do króla dworu.
I uczuł łowczy, że blask splendoru
Spada od siostry na jego głowę;
Radzeby progi zwiedzić domowe
Miłej Elżbiety; wraz się namysła,
I rusza żwawo w strony Przemysła,
Opatrzon w rymy, w pochwalne listy,
Świetne dowody czei oczywistej,
Jaką kraj niesie muzie Sarmackiej.
Jadąc, układa komplement gracki,
Upstrzon łaciną według zwyczaju,
Gdzie od Adama, Ewy i raju,
Ma przejść nieznacznie na brzeg Wisłoki;
A jako nurt jej płynie głęboki,
Tak ma być trwałą siostrzyna chwała.

Lecz go wymowa wnet odbieżała,
Gdy ku Elżbiecie wyciągnął ręce;
Kiedy przypomniął lata dziecięce,
Jak przed pół wiekiem, pod strzechą niską,
Małej siostrzyczki bujał kołyską;
Jak ją drobniuchną za rączkę wodził,
Plótl jej koszyki, ogródek grodził!

I serce drgnęło bolesną struną,
Gdy wspomniał, jako za ojca truną
Szedł wraz z Elżbietą ciężko zbolały.
On już nie baczy siostrzynęj chwały,
I jeno czuje serca jęj bicie,
I w własnej piersi skrzesezone życie!
A z przed łowczego ubiega oka
Sarmackiej muzy godność wysoka;
I tylko siostrę przygarnia miłą,
Wiedzion niezłomną uczucia siłą.

O! długo ciągną wątek wspomnienia!
A choć się przedmiot raz po raz zmienia,
Nadobnym wieńcem myśl ich oplata
W rodzinnym dworku ubiegłe lata,
Ranne marzenia, młode nadzieje,
I lat dojrzałych burzliwsze dzieje;
A po nich owę spokojną ciszę,
Gdy czas żywota ból już kołysze,
Gdy doświadczeniem wsparty bogatem,
Człowiek się jedna z sobą i światem!

I długo cieniem skryci jaworu,
Nie śmia odbieżyć miłego toru

Owój gawędy, gdzie milczy głowa,
I jeno ciepłe z pod serca słowa,
Z piersi do piersi strumieniem płyną.
Aż kiedy weszli późną godziną
W progi komnaty, gdy po wieczery,
Nowym potokiem rozmowa bieży:

— No, pani siostro—łowczy zagadnie—
Zkądżeto aśka tak umiesz składnie
Harcować piórem, że i na dworze
Królewskim świeci twój sławy zorze?
Gdziebądź w stolicy człek skłoni ucha,
Toż się pochlebnych rzeczy nasłucha.
Jedni mnie drugim zlecają słowy:
„Łowczy Kowalski, brat skarbnikowój.”
Jakby na drożdżach człek w duchu rośnie,
Gdy biskup sławi rymy o wiosnie,
Albo wymowny ksiądz Epifani,
Co samój nawet nieswieżskiej pani
Nie pali ofiar, rad plac uprząta,
Kędy zasiędzie muza dziesiąta,
Nasza Drużbacka, swojego czasu,
Na rodzinnego szczyście parnasu;

Gdzie nie dosięgną jej mądrzej głowy,
Krążące nisko u stóp jej sowy.

— „Masz aśka dowód, czarno na białém,
Jako jej dowcip, affektem całym
Nasz Minasowicz nie żartem ceni”—
I wydobywa łowczy z kieszeni
Złożony papier jeden i drugi,
Gdzie rymotwórcze siostry zasługi,
Równają mistrze zręcznie i śmiało,
Wraz z kartagińskiej Dydony chwałą.
U nich Elżbiety wyższa potęga,
Bo gdy rzemieniem Dydo zasięga
Na gród zaledwie kęs ziemi mały;
Rzemień Drużbackiej na naród cały
Rzuca splendoru słoneczne blaski.

— Toż miły bracie zawiele łaski—
Skromna Elżbieta zagadnie zcicha—
Mnie, dzięki Bogu, nie zwodzi pycha.
Wiem ile moim rymom niestaje:
Wszak mi nieznane dalekie kraje,
Ni starożytnych uczone wzory.
Jeślim uczyła rodzinne bory

Ubogą pieśnią; jeżelim wreszcie
Rymem wytknęła wady niewieście,
Choć w tém co widzę w miłej ojczyźnie,
Nigdy się pióro me nie pośliźnie:
Jeszcze to moje prace zbyt małe,
By nieśmiertelną dały mi chwałę.

— Ha!—rzecze łowczy—inaczéj tuszy
O rymach aśki książę koniuszy;
Nad ich gładkością wielceż się zdziwił
Słynny dowcipem Ulryk Radziwiłł,
I on aplauz ku czci jejmości
Sam czytał w obec prześwietnych gości.
I nalał puhar, i wyrzekł słowa:
„Wstyd nam wyrządza dziś białogłowa;
Owóz na zemstę mili panowie,
Wypijmy cenne Drużbackiej zdrowie.
Wiwat! Elżbieta nasza czcigodna!”
I każdy kielich wychylił do dna.

Tu podał łowczy wiersz Radziwiłła:
— Jestci tam—rzecze—słów pięknych siła;
Ale coś książę splątał osnowę,
Że ani idą w szlachecką głowę.

Aśka je lepiej zrozumiesz przecie,
Wszakci twój dowcip słynie na świecie.

I biorąc w ręce z braterskiej dłoni,
Elżbieta pismo oczyma goni,
Śmieje się zcicha; nakoniec rzecze:
— Kto w tém braciszku sensu dociecze!
Jakiś zawily, ciemny, głęboki.
Co znaczą owe Drużbackie stoki?
Zkąd tu książęca ręka zbyt szczodra
Wmieściła Jana, co święte biodra
Pasze rzemieniem: znać myśli węzły
W zbyt mądrych rymach głęboko zgrzęzły.
Albo co pewnieć, nie mnie w zawody
Lecieć, gdzie orzeł szybuje młody;
Nie sowie patrzeć w słońca promienie:
Niechaj ją strzecha ukryje w cienie!
Koń, z koniuszego stajni puszczoney,
Tak się rozkiełznał na wszystkie strony,
Że w ślad za jego uczonym skokiem,
Trudno niewieściem dosięgnąć okiem.
A nie ma dziwu, żeć to rzemienie
U koniuszego bywają w cenie,

Niech ich użyje do swój posługi,
Do hellikońskiej gdy zechce strugi
Zwrócić Pegaza polot skrzydlaty.
Toć moja muza schylona laty,
Uboga w mądrość, lecz w piśmie szczera,
W polu za orłem pióra pozbiera,
I w poetycznym wonczas zapale,
W podziękę księciu rymy wypalę.
Bo dzisiaj nie śmiem jeszcze rzemyka
Tknąć u obuwia księcia Ulryka.

Rozśmiał się łowczy, i skinął głową,
A każde siostry rozważa słowo;
Nareszcie rzecze:— Jak Bóg na niebie!
Toć przepomniałem, że mam dla ciebie
Z biskupim listem, księgę twą własną.—

Oko Elżbiety zaśniło jasno
Tajemnym ogniem, a jej oblicze
Oblały wstydu barwy dziewicze.
Łowczy co żywo wyszedł z komnaty,
I wnet w oprawie przyniósł bogatą
Wielką i n q u a r t o księgę wspaniałą.

Dziwnieź matrony serce zadrżało,
A piers jej chłodne przebiegły dreszcze;
Odwraca karty, i nie śmie jeszcze

Własnemu oku przyłożyć wiary.
Sen-że to marny, czy zwodne czary?
Z jeżdżo serca myśli wysnute,
Przybrane skromnie w rodzinną nutę,
Którymi w głuchej żywota nocy
Cieszyła serce w doli sierocój?
Oweżto rymy ze łą zronione,
Wszerz i wzdłuż zbiegną Litwę, Koronę,
Równy w złocone pałacu progi,
Jak i do strzechy zajrzą ubogiej?
A w tej szerokiej świata przestrzeni,
Kto je ukocha, kto je oceni?
Niejeden w duchu pomyśli może:
Pisać niewieście, pożal się Boże!
Niech lepiej doma kręci wrzeciono.

I coraz krasniej rumieńcem płoną
Lica niewiasty; zda się, że dziecię
Ogląda miłe, trwożliwa przecie
O dalszych jego przeznaczeń ślady.

A łowczy siostrze udziela rady,
Aby jechała na dwór hetmana,
Gdzie już tylekroć była wzywana.

— Porzuć asińdzka brzegi Wisłoki—
Zagadnie żywo—gdy tak wysoki
Splendor otacza twoję osobę;
Trzebaż-to chwycić fortunną dobę,
Póki świat hojnie sieje oklaski;
Boć to fortuny znikome łaski,
Zmienne jej koło wiecznie się toczy!

Promieniem błysły Elżbiety oczy,
Jakby jej szatan ukazał z góry
Złote korony, berła, purpury;
Mówiąc:—Niewiasto! idź po nie śmiało!
Ja ciebie taką odzieję chwałą,
Że zalsnisz gwiazdą w własnym narodzie.
Lecz jej rumieniec zgasł na jagodzie,
Jak błysk przelotny; spojrzała w ziemię:
Snać, że światowej pokusy brzemie
Spadło dotkliwie w jej pierś zbolałą,
I wraz się wolą dźwignęła całą
Jak ptak, co skrzydła otrząsa z wody,
Lecąc ku słońcu pełen swobody.

— Nie,—rzecze stale—nie, miły bracie,
Mnie dni dokonać w żalobnej szacie,

Którój lat tyle dotrwałam wiernie.
Nazbyt me stopy zraniły ciernie
W drodze żywota, bym mogła niemi
Ponad posadzki ślizgać gładkimi;
Zanadto prawdą duszy mój droga,
Bym u starości stanąwszy proga,
Miała się ćwiczyć w pochlebców mowie,
Którą tak cenią wielcy panowie.
Lepiej gryźć suchar, pić wodę z źródła,
Zdale od świata, w ducha spokoju;
Lepiej omijać wrzaskliwe zgraje,
Żyć kędy czleka nikt nie polaje;
Gdzie książka, praca, i cisza błoga,
Snaśniej poniosą umysł do Boga.
O! póki jeszcze nieba wyroki
W świat mi pozwolą patrzeć szeroki,
Nim mnie utuli chłodna mogiła,
Wiecznie mi będzie samotność miła.

Daremnie łowczy pragnąłby szczerze
Zachwiać niewiastę w jej stałej wierze;
Wszelkie namowy nic nie nadadzą,
Bo wyższą ducha wiedziona władzą,

Elżbieta w serca kornego ciszy,
Cudniejsze zgłoski przelotnie słyszy.

Wreszcie na północ kury zapiały,
We śnie pograżon zdawna dwór cały;
Owoż i łowczy strudzon z drogi,
Opuszcza ciche komnaty progi,
Zlecając siostrę opiece Pana.

A pierś Elżbiety zda się owiana
Bożego ducha jasnym promieniem,
Wyciąga rękę z tajemnym drżeniem
Po własną księgę, odwraca karty,
Kędy na wieki został niestarty
Ślad jęj uczucia, wieniec jęj myśli.
I wyobraźnia cudownie kręśli
W wspomnieniu wieszczki, uroczę chwile,
Widzi się w pełnej natchnienia sile
Jak tworzy obraz wiosny uroczy;
Gdy łzami bólu skąpane oczy,
W cuda stworzenia zagłębia z wiarą,
I upojona piękności czarą,
Ścigając odbłask Bożego świata,
Nie dba, że piołun skroń jęj oplata.

I rzuca okiem na karty księgi,
Kędy żywiołów srogie potęgi
Niewieścią dłonią kreśliła śmiało.
Jakimże ogniem serce jej wrzało,
Gdy z pod jej pióra wybiegły słowa,
Że pierś człowieka większy żar chowa,
Nad owe sławne Etny i Hekle!
Bo te płomieniem miotając wściekle,
Niszczą w perzynę odwieczne grody;
A skra gdy w piersi roztleje młodęj,
Wraz z piersi na świat wybiega czynem,
I człowiek w ślady za Bożym synem
Słowo miłości obleka w ciało,
Aby się rychlęj zbawienie stało
Tęj odkupionej przez miłość ziemi.

I znów Elżbieta dłońmi drżącemi
Przebiega dzieje króla proroka.
Tu już rozwaga wiodła głęboka
W szerszym obrazie wytrawne pióro;
Tu nie wzlatała z skowronkiem górą,
Wielbiąc opatrznęj opieki sprawy,
Jak w sielskiej pieśni; lecz wątek łzawy

Splecion z miłości, żalu, pokory,
Z ciężkich skarg duszy zwiedłej a choręj,
Umiała ująć w złote ogniwa,
Po których z ziemi w niebo przepływa
Pieśni żywota, dźwięk on przeczysty,
Jakby po drżących strunach harfisty!

Aż tęsknëm okiem objęła wreszcie
Owe niewczesne skargi niewieście,
Satyrycznego wybryk humoru,
Które skreśliła bawiąc u dworu
U Branickiego, niegdyś hetmana,
W skutek rozmowy słyszanęj z rana
Między paniami znanemi w świecie.
Żartci to marny, a ze łzą przecie
Zbiegły z jęj pióra te gorzkie słowa!
O! bo umiała czuć białogłowa
Ohydę, jaką czyny płochemi
Niewiasty sieją na własnej ziemi.
Bo biadaż domom, gdy słowo fraszka,
Ślub wobec Boga marną igraszką,
A ołtarz gdańskim stanie się biurem
Toż obosiecznëm niedarmo piórem

Chłostała wonczas modne rozwody,
Których częstokroć blahsze powody,
Nad brak bekieszy, ponso zmarmurkiem,
Ubramowanój z masyfu sznurkiem;
Lub niedostatek kilku ziarn kawy.
Wstrząsnął się umysł niewiasty prawy,
Widząc jak panie w poufną chwilę,
Wraz wylewały łzy krokodyle.
A więc nie szczędzi żółci, ni jadu,
By prąd zgubnego wstrzymać przykładu;
Tchnąc miłość prawdy w niewieście serce,
I wzniecić płomień, słabo wiskierce
Tlejący jeszcze: on płomień święty,
Który światowe gaszą ponęty,
I Franc-massonów niewczesne zdania.

Chciwie Elżbieta myślą pochłania
Karty swęj księgi jedna za drugą;
I długo duma, i milczy długo,
I chłodną rękę ciśnie do czoła,
Aż zcicha drżącym głosem zawoła:

— Prawdaż-to Panie, czy sen uroczy,
Że choć mi ziemia spadnie na oczy,

Grób mnie nie zmoże, póki me słowo
Pieśnią brzmieć będzie ludziom nad głową?
Zkąd mi ta łaska, o duchu Boży!
Żeś mię oświecił blaskiem Twęj zorzy,
I wciąż białemi szumiąc mi pióry,
Myśl mą obłądną uniósł do góry,
A serce twórczym napęłnił żarem;
I ustrzegł barki, że pod ciężarem
Krzyża, nie padły w codziennym znoju;
Żeś w mej niedoli, promień spokoju
Spuścił mi z nieba na blade czoło,
I Twoje cuda rozsiane wkoło,
Mój utęsknionej wskazał żrenicy;
Żeś mi w pokorze i tajemnicy
Dozwolił spełniać miodową czare,
Gdym czując w piersi ufność a wiarę,
Snuła jak pajak nić prawdy z siebie,
Chcąc po niej dobieść w niebo, do Ciebie!
Prawdaż-to Panie, że moje chęci,
Wdzięcznym wspomnieniem naród uświęci,
Gdy ziemia strawi proch mego ciała;
Że długie wieki, myśl ma nieśmiała
Okrażać będzie te drogie niwy,
Kędy mi ranek ubiegł szczęśliwy,

Gdzie leż mych wsiąkły gorące zdroje?
 Prawdaż-to Panie, że w ślady moje
 Pójdą niebawem ziemi téj córy,
 Z okiem wzniesioném jasno, dō góry,
 Z rodzinną lutnią w niewieściej dłoni?
 Że wyższe koło duch Twój odsłoni
 Ich myśli wieszczć; że pieśń ich zdoła
 Zwołać z niebiosów stróża anioła,
 Co wskroś owiany serc ludzkich chłodem,
 Przed pokoleniem uleci młodem
 Pod Twego Tronu jasne podnóże.

Kiedy na ziemi wichry i burze
 Zdruzgoczą starych domostw posady;
 Gdy swojskie plony wybiją grady,
 Kiedy wzburzoną strzaskane falą
 Lipy i klony w proch się powalą,
 A nie znajdując na nich uchrony,
 Pierzchną bociany w dalekie strony,
 Pocziwą dolę unosząc z sobą;
 Gdy duch człowieczy strawion chorobą,
 Zbytkiem, rozpustą, czczym blaskiem złota
 Zapełnić zechce pustkę żywota;
 A odbiegając prostoty starćj,
 Próżen miłości, nadziei, wiary,

Z młodu przesiąknie grobową pleśnią:—
 Wówczas niewinną otuchy pieśnią
 Zadźwięczą lutni niewieściej struny,
 I tam, gdzie z chwastem gorzkie piołuny
 Słota rozkrzewi w cichćj dolinie,
 Barwne znów kwiaty słońce rozwinie,
 I chłodnym szronem ziemię zakrzeplą,
 Żywotne pieśni owieje ciepło!

Ależ me imię wtedy, o Boże!
 Proch zapomnienia pokryje może.
 Mnie, com nuciła rzewnie o wiośnie,
 Kwiat na mogile może nie wzrośnie,
 Czci mój wspomnieniem nikt nie uświęci!
 Wy, pieśni moje, z ludzkiei pamięci
 Niby znikome pierzchniecie mary,
 I nikt nie wspomni śpiewaczki starćj.
 Nikt! nikt!... I coraz ciszej brzmią słowa;
 Spadła na piersi tęskna jćj głowa,
 Pod wirem myśli czoło się chyli,
 A na tle nieba błysnął w téj chwili
 Pierwszy brzask świtu, i przestwór cały
 Zlekka owiany w kłęby mgły białćj,

Zwolna, z mętnego wypływa mroku.
I coraz kształtniej jawią się oku
Wierzby wieńczące brzegi Wisłoki,
Aż i widnokrąg spłonął szeroki
Wdzięcznym rumieńcem porannej zorzy;
Ocknął się ze snu piękny świat Boży.
Szary skowronek tony srebrnemi,
Pierwsze podzwonne niebu od ziemi
Niosąc, utonął w powietrznej fali.

Okiem go ściga Elżbieta w dali:

— Witaj mi!—rzecze—śpiwna ptaszyno,
Co śmiało przestrzeń przebiegasz siną.
Jak ty, jam pierwsza z niewiast w mym kraju,
Ujęła lutnię wbrew obyczaju.
Ja snując pieśnię z duszy mej młodej,
Pierwszem przesądu złamała lody;
Mnie, w grobie zasnąć w pełnej swobodzie,
Bo póki starczy w onym narodzie
Wątku do pieśni, ognia w serc głębi,
Niepamięć prochów mych nie oziębi.
Dla polskich wieszczek, hasłem podniety
Będzie na wieki imię Elżbiety!

Umilkła, dziwnie drżąca z zapалу.
Wtem, wyzierając na świat pomału
Słoneczny promień z poza mgły szarej,
Na zawisłoczne spływa obszary.
Jeno Karpaty toną w błękiecie,
Kwili pieśń ptaśta, brzmia świerszcze w życie,
Z szumem po zwirze Wisłoka bieży,
I biją dzwony z kościołka wieży.
A nasza wieszczka łzawa i blada,
Ku niebu dłonie z pokorą składa,
Z ust tylko słowa wybiegły ciche:
„Panie! o Panie! przebacz mi pychę!”

IX.

U wspaniałego Karpat podnóża,
Pochyło z strony północnej wzgórza,
Sterczą omszone Tarnowa mury.
Pośrodkiem grodu ratusz ponury,
Jak pradziad z licem starością śniadem,
Pięciowiekowym pleśni pokładem,
Przerosłą w górę unosi wieżę;
A w dole szereg potworów strzeże,
Onych odwiecznych podwalin gmachu,
Które mieszkaniac z zgrozą przestrachu
Pierzchliwie nocną pomija dobą,
Nie śmiejąc okiem sięgnąć za sobą:

Bo każdy odłam starego grodu,
Świadkiem jest życia, co niegdy z młodu
Tu wytryskało wrzącym potokiem,
I dziś w milczeniu jeszcze głębokiém,
W zaczarowanym zakłęciu trz yma,
Napół sennego ducha-olbrzyma,
Co na Łomnicy oparty grzbiecie,
Z wyżyn źrenicą wodził po świecie,
A czoło dumnie wznosząc pod gwiazdy,
Straż nad orleми piastował gniazdy.

Bo ta odwieczna katedra chowa
Prochy wielkiego Jana z Tarnowa,
Co w dni swych paśmie nie zaznał trwogi;
A z młodu rzucił domowe progi,
Goniąc w kraj świata za wieńcem chwały,
Aż rychło zdobył liść wiecznotrwały,
Gdy w Luzytanów cudnej krainie,
Gdzie Tag wśród gajów wawrzynnych płynie,
Ostrzył swój oręż o Maurów karki,
Do dalszych trudów sposobiąc barki.
A siłą znojów, i chwały siłą,
Przyszłość mu w łonie tajemnie kryła!

Już na nię rylec nakreślił Boski,
Orszę, Obertyn, złotemi zgłoski.
Znać, że mu godłem na wieki będzie:
„Nigdy zwyciężon, zwycięzca wszędzie.”
Owóż Janowi przez żywot długi,
Grzbiet nieugięty wrosł do koleczugi,
Stopy do strzemion, skroń do przyłbicy,
A straszny wrogom, miecz do prawicy.
A gdy dozwolił pokój chwilowy
Odkryć włos śnieżny sędziwej głowy;
Poważny hetman w kole senatu
Śmiało, bez trwogi, wbrew majestatu,
Pełne mądrości przemawiał słowa.

Toż gdy pochodnia błysła grobowa
Nad głową starca, co pełen chwały,
Leżł na zagonie jak kłos dojrzały,
Przebrnąwszy życia wzburzone wody,
Nie trwożen wichrów, ni zły pogody,
Bo wielkie serce w znoju żywota
Obwarowała wiara a cnota:
Wonczas wezwany żałobnym dzwonem,
Bieży ostatnim uczcić pokłonem

Naród, śmiertelne hetmana zwłoki.
I zbrojna szlachta z Polski szerokię,
Na pierwsze hasło złowrogiej wieści,
Znacząc ślad drogi łzami boleści,
Zalega rojem Tarnowa mury,
I głucho jęczą żałobne chóry.
Już droga czarnym kirem zasłana,
Już zwolna ciągną mary hetmana;
Prymas Uchański z Herburtem spółem,
Prowadzą orszak z pochylem czołem.
Smutno stąpają za śladem truny
Konie, okryte w drogie całuny;
Czarnym proporcem wiatr w strony chwieje,
I krzyż odsłania, wiernych nadzieje;
A pod nim napis: „wygram w tym znaku!”
Młodzian, na wronym siedząc rumaku,
On sztandar z krzyżem dźwierży w prawicy.
Dalej rycerze i kirysnicy
Piastują herby, szczyty i miecze;
A lud zaledwie że stopy wlecze,
Niosąc pochodnie jasno płonące.
I słyhać głosy łzawe a drżące:
„Już cię niestało hetmanie mężny,
I któż powiedzie zastęp orężny,

Gdy nam Tatarzyn najedzie pola:
Ciężkaż, o ciężka kraju niedola!"

Ale dziś skargi umilkły łzawe,
Czas w proch spopielił to serce prawe,
Co po rycersku z niezłomną siłą,
Bogu a sławie pocziwie biło.

Już poczeruiły pożarów dymy,
Te Starokonie, Gwiazdy, Sulimy,
Na sarkofagu rytu w marmurze,
Rodowej cześci odwieczne stróże.
Może gdy wichur z chmurą powieje,
Te w alabastrze wykute dzieje
Przesławnych bitew, zatrze do szczytu.
Ależ wypłynie z czasów odmetu
W pieśni lirnika, ramię olbrzymie,
Co przez trzy wieki w grobowcu drzymie;
Bo lud w miłości stały a szczery,
Umie wspomnieniem czcić bohater!

Pusto dziś, głucho, w Tarnowskim grodzie,
Bo w niezblaganym swoim pochodzie
Czas, on niszczyciel dzieł ludzkiej dłoni,
Miękkiej murawy kobiercem słoni

Mnogie dziedzińce, rowy i wały,
Co okrażając zamek wspaniały,
Do bram zawartych przystępu strzegły;
Dziś zawałone w złomy i cegły,
Których stos groźnie przeszłość wspomina,
Ścielać podnoże góry Marcina.

Za to na stromym wierzchołku góry,
Otulon w kłęby wilgotnej chmury,
Skromny z modrzewia przybytek Boży,
Burz się ni gromów cale nie trwoży.
Znać, że podniosłe ku niebu czoło
Śmiało odpiera wichry, co wkoło
Dmąc w uczernione wilgocią ściany,
Z działaniem wieków, chcą naprzemiany
Wraz spustoszenia wykonać dzieło.
Ale co Bożym duchem stanęło,
Ręka to Boża jeno obali!
A on kościółek, wszakże z oddali
Cały zbudowan, przed ośmiu wieki
Przyplłynął tutaj z nurtami rzeki.
Pono że ręka anioła biała,
Owe modrzewie belki spajała;

Alboli wiary moc niezachwiana
Tych, co w nim pierwsi zgięli kolana,
Tak utwierdziła dzielnie posady,
Że ani mroźne wichry, ni grady,
Ani chłodniejszy mróz ludzkiej duszy,
Owych podwalin w proch nie rozkruszy!

Pustyż i głuchy dziś gród Tarnowa,
Choć skarb pamiątek w łonie swém chowa;
Jeno jak niegdyś, przez smug uroczy,
Śnieżystą wstęgą Biała się toczy.
Jak niegdyś góry, z trzech stron w półkole
Wieńcem skrajają szerokie pole,
Kędy dziś jeszcze, jako przed laty,
Wiatr chwieje kłosa i modre kwiaty.
Bo wiecznie jedne lica przyrody,
Wiecznie jej urok świeży a młody;
I czasu nad nią bezsilna władza,
Gdy ją w swem łonie Bóg sam odradza.
Jej tu nie zmogły stokrotne kłęski,
Nie złupił Szweda oręż zwycięzki,
Ni Tatarzyna dzikie tabory;
Przeszliży nad nią ognie i morzy,

A ona wszakże, wiecznie dziewicem
Bogu i człeku świeci obliczem.

Cisza w Tarnowie: chyba chwilowo,
Gdy pożar buchnie miastu nad głową,
Dzwon z ratuszowej jęknie wieżycy;
Lub na podcieniu siedząc w ulicy,
Wsparte o starych domostw arkady,
Wiejskie niewiasty wiodą narady,
Sprzedając społem świeże pieczywa;
Alboli dzwonek wiernych przyzywa
Na mszę w poważne katedry mury,
Lub w on kościółek, co bliżej góry
Białemi ściany przynęca zdala,
Gdzie grono dziewic, chórem wychwała
Potężne imię Pana nad Pany.
Szaro odziane w habit wełniany,
Wraz się znikomiej wyrzekłszy pychy,
Wiodą tu żywot korny a cichy.
Tu im na skrzydłach stróża anieli
Niosą kwiat w progi ubogiej celi;
A onym kwiatem, dziewice w darze
Boga-Rodzicy ścielą ołtarze.

W ducha spokoju i ciszy błogiej
Zbiega tu żywot wolen od trwogi,
Oslonion tarczą opieki Bożej.
Od brzasku świtu do zająścia zorzy,
Raz po raz dziewic pobożne pienia,
Zgodnie w błękitne płyną sklepienia.

Lecz i tu serce cierpi i boli,
I tu jęk łzawy ziemskiej niedoli
O mur klasztorny odbija głucho;
I tu niezawsze z wyższą otuchą
Jawi się anioł w obłoku biały:
Jak gdyby Pana wyroki chciały,
By moc niezlomną człek dobył z siebie,
Nim Bóg mu łaską odpowie w niebie.

I w onęj celi, niewiasta blada,
Znać pod brzemieniem krzyża upada:
Poryte znojem sędziwe skronie,
Woskiem odbija przy jej welonie
Śnieżystej bieli, a ciemne oko
Ból pod powiekę wtłoczył głęboko.
Barki jej słoni klasztorna szata;
Lecz nie tu młode strawiła lata:

Choć jej bieleje welon nad głową,
Ślubów ją wiecznych nie wiąże słowo,
Jeno w klasztorze od lat niewiela,
Skromna a cicha mieści ją cela;
Kędy żywota chwile ostatnie
Słodzą jej dziewic starania bratnie,
A gdzie do hymnów w cześć Bożej chwały,
Głos swój jednoczy wiekiem schrzypiały.

Ciężki ból łamie matrony ducha,
Lecz jej żrenica martwa a sucha;
Łzy spływające pociechy rosą,
Spalonej piersi ulgi nie niosą.
Nie spojrzysz w stronę, kędy nad łożem
Czuwa Marya z dzieciątkiem Bożem,
Kędy Zbawiciel ukrzyżowany
Wskazuje wiernym głębokie rany,
I cierń, co blade czoło oplata,
Godło przyszłego spokoju świata.

O! bo dziś od niej spokój daleko!
Jeno bezwładną goni powieką
Z czarną pieczęcią pismo złowieszcze.
Czyta je, składa, i czyta jeszcze,

Jakby je niedość skreślono jasno,
Jakby w jej piersi było zaciasno
Na tyle ciosów, tyle boleści;
Bo smutne list on zamyka wieści.

Już chłodna ziemia na wieki tuli
Zbolałe serce drogiej Urszuli,
Które wczas zmogły żywota znoje,
Gdy zagrzebała dziateczek troje
W spólnej mogile; a w ślady matki,
I pozostałe ubiegły dziatki!
Jakby pod jednym zamachem kosa,
Wszystkie dorazu upadły kłosa,
Które zgrzybiałej wiły matronie
Wieniec pociechy na zwiędłe skronie.
Nikogo z blizkich nie ma na świecie,
Aby powieki przymknął Elżbiecie,
By na jej trumnę rzucił garść ziemi!
Janusz z Marcinem poszli za swemi,
Wraz pod wilgotne grobowca wieko;
A młodsze siostry nazbyt daleko,
By jej posłużyć w ostatnią chwilę,
I kwiat na smutnej posiać mogile.

I długo milczy z pochyłą głową,
Jakby się przedrzeć nie śmiało słowo

Z piersi, ściśniętęj bólu brzemieniem;
Wreszcie wyrzeczcie z tajemném drżeniem:

— Panie! ja grzeszna sarkać się boje
Na nieodmienne wyroki Twoje!
Lecz gdy mi żywot zawiąły szrony,
Czemuż jak z kory dęb obnażony
Stoję na miedzy, gdy trawki młode
Podcinasz kosą w ranną pogodę?
Długoż mi każesz, wśród czczego świata
Wlec w utęsknieniu zgrzybiałe lata?
Lepiej, o Panie! skrusz żywot lichy,
A serce zamknij w grobowiec cichy:
Lżej mi tam będzie spocząć z zmarłemi,
Niż się kołatać po pustej ziemi!

O! ci szczęśliwi, co przed powodzią,
Pod ład spokojną pomknęli łodzią;
Co wczas zimowej ubiegli słoty,
Zanim ich porwał świat w swe obroty;
Co lekką stopą doszli do mety,
Nim ból ku ziemi nagiął im grzbiety.

Nakłoń, o Panie! proszbie mój ucha,
Niechaj ta glina nędzna a krucha,

Którą Twe święte zlepiły dłonie,
Na matki-ziemi spocznie już łonie.
O! czemuż pieniek na polu nagi
Znosi zbyt długo czasu zniewagi?
Czemu starością suchy a szary,
Bezlistne w niebo wznosi konary?
W proch go niech raczej zwałą zawieje,
Zanim do reszty rdzeń w nim zmurszeje:
Wywróć to wickiem drzewo przegniłe,
Ciebie niegodne, ludziom niemiłe!—

I na te słowa pełne rozpacz,
Ból dwoma pręgi czoło jej znaczy;
Przykro blask świeci w źrenicy suchej,
A dźwięk jej głosu, twardy a głuchy,
Jak z rozbitego wypływa dzwonu:
I niby wyrzut w godzinie zgonu,
Trwoga osiadła w piersi starganej.

Wtem się ozwały zlekka organy,
Zrazu tak cicho, jak w polu kłosa
Wiatrem trącane; aż zwolna głosy
Wyżej a wyżej płyną w swobodzie:
Jak one kręgi na czystej wodzie,

Gdy zwierciadlane łono jeziora,
Wzruszy rzeźwiący powiew wieczora.
Aż w końcu pełne tony zabrzmiały:
Od cudnych dźwięków drży klasztor cały.
Błada Elżbieta milczy i słucha,
A tam na chwałę Bożego ducha
Pieśń wzdłuż gotyckiej przepływa nawy;
Dźwięk jej serdeczny, rzewny a łzawy.
Znać, jak spragnione dziewice czyste,
Aby Duch, skrzydła swe promieniste
Jasno roztoczył ponad ich głowy:
Jutro bo właśnie on dzień godowy,
Gdy Duch w ognistych kształcie płomieni,
Na apostoły spłynął z przestrzeni;
I tchnąc im w łono mądrości zdroje,
Barki ich w wiary przyodził zbroje,
W sercach zapalił miłości żary,
By świat z łupiny odarli starców,
Spełniając dalej dzieło zbawienia.

O! jakże nagle blask rozpromienia
Oko Drużbackiej! Wzruszeniem błada,
Dłonie z pokorą głęboką składa;

Duch jej niedolą złaman boleśnie,
Chwyta w przelocie płynącą pieśnię;
A pieśń brzmi cudnie:

„O Duchu Boży!

Zapał nam serca blaskiem Twej zorzy,
Jasnemi skrzydły zwiej obłęd szary,
I siedmiorakie ześlij nam dary.
Bądź nam krynicą w życia upale,
Ukoj tęsknotę, troski i zale;
Pierś nam rozplómię, gdy chłód ją ziębi,
A co zaskrzepło w serc naszych głębi,
Skrusz w nich Twą mocą, sprostuj cò krzywe,
Uzdrow co chore, wskreś co nieżywe,
Oczyść co szpetne, daj nam zasługą
Ścieszkę zbogacić stromą a długą.
A gdy z pęt ciała duch wyzwolony,
Pomknij od ziemi w nieznane strony:
Światłem miłości wiedź go do siebie,
O! Duchu Boży! co mieszkasz w niebie.“

Jak złoty potok dźwięk pieśni wpływa
W serce Elżbiety; krasa pokrywa
Zwolna, uwiedle bolem jagody,
Niby w żrenicy blask świeci młody,

A łza po licu bieży gorąca.
Powstaje z miejsca i dziwnie drżąca,
W progi kościelne dąży pomału;
I wznieconego pełna zapалу,
U stóp ołtarza Boga-człowieka,
Padając na twarz, kornie, zdaleka,
Ręce w znak krzyża rozkłada obie.

— Mnieżto—zawoła—mnie sarkać Tobie!?

Mnie siać bluźnierstwa usta grzesznemi?
Ja rąk Twych dzieło, nędzny proch ziemi,
Mamże zwalczona ciężką niedolą,
Nie ugiąć ramion przed Twoją wolą,
I Stwórcę memi znieważać jęki,
Gdy tyle darów ojcowskiej ręki
Znaczyło drogę mego żywota!
O! i mnie gwiazda porankiem złota
Lśniła nad głową, w ojców zagrodzie;
A jeśli w dalszym życia pochodzie,
Stopą o chłodne trąciłam groby;
Jeśli przyodziął całun żałoby
Smutne me serce: woła Twa Panie!
Jeno grobowców straszne otchłanie

Tym, co w nie patrzą okiem niewiary.
Wszak miłych Tobie, żółcią z Twój czary
Hojnie napawasz. O! toż się korzę,
Boś Ty mnie wielce miłował Boże!
Tyś w usta moje tchnął prawdy słowo,
Które mi duch Twój szepnął nad głową;
A ja, narzędzie marne Twój łaski,
Brałam w nagrodę głośnie oklaski,
Za to, coś we mnie zdziałał Twym cudem.
Tyś strzegł me serce, że nigdy brudem
Świat go nie splamił; w drużynie stromej,
Z Twój woli, anioł stróż niewidomy,
Nad mój wezgłowie roztoczył skrzydła,
Bronił mi w ziemskie ulgnąć mamidła;
Z pod stóp mych ostre usuwał chwasty,
I dał zadanie spełnić niewiasty
Pod własną strzechą, cicho, cierpliwie,
I kłós po kłósie, na swojskiej niwie
Uwijać wieńce ku Twojej chwale!
Mnież dziś przystoi ronić cześć żale?
Mnie, od Twój chłosty usuwać grzbieta?

Tu zapłakała rzewnie Elżbieta,
Głośnie z jej piersi wybiegło łkanie;
Nareszcie drżąc rzecz:— O Panie!

Jeśli w pielgrzymce samotnej życia
Iść po Twój woli, w głębi ukrycia
Twojemi ślady nieść krzyż do góry,
I choć nad głową wzbierają chmury,
Cudem modlitwy zamawiać burze;
I tronu Twego jasne podnóże,
Wśród walk żywota, myślą i okiem
Ścigać, z poddaniem serca głębokiem;
I długo boleć i milczeć długo;
Jeśli to w oczach Twoich zasługą,
Jeśli on żywot wewnątrz ukrywa
Treść Twojej prawdy:— o! jam szczęśliwa!...

I pokrzepiona głęboką wiarą,
Elżbieta w skrusze bije pierś starą;
Zwolna powstaje, spojrzysz na stronę:
Jakże nadobnie brzozy zielone
W gaj zamieniają przybytek Pana!
I tatarakiem ziemia usłana,
Ołtarze zdobne w wieńce kwieciste,
Dokoła wonie roznoszą czyste.
Wszystko gotowe: znać kościół czeka,
Rychło Duch Boży spłynie zdaleka

Już nie w postaci gołąbki młodej,
Jak nad świętymi Jordanu wody,
Ni ognistemi jak niegdyś blaski;
Ale tajemną potęgą łaski,
Co niewidoma od wieków wieka,
Wiedzie ku niebu stopy człowieka.

A na organach brzmi śpiew natchniony,
Wdzięcznie mu wtórzą spiżowe dzwony;
Zwolna wieczoru poważne cienie
Ścielą przybytku wzniosłe sklepienie,
Tylko przelotnie kagańce płoną.
A w ukojone Elżbiety łono,
Siłą tajemną Bożego ducha,
Spływa z niebiosów wyższa otucha.
Zmilkły niewczesne skargi i żale.
Już odtąd spokój zamieszka stale
W korniej a cichłej piersi niewieściej;
Bo duch jej skąpan w czarze boleści,
Szczebel ku niebu przebiegłszy nowy,
Wyszedł zwycięzko z próby ogniowej.

X.

Ubiegły lata. W klasztornej celi
Na twardem łożu, odziana w bieli,
Leży niewiasta zwiędła chorobą.
Słońce, jak zwykło zimową dołą,
Wcześniej w zachodnią skłania się stronę,
I na wierzchołki drzew uśnieżone
Sieje deszcz złoty drżących promieni,
A przez odbicie, wdzięcznie rumieni
Okienko celi i białe ściany.

Wzrok chorąg mglistym cieniem owiany,
Słońca odbłaskiem poi się jeszcze;
Bo jej śmiertelne zwiastują dreszcze,

Że w wiekuistym mogiły mroku,
Zgaśnie wnet promień tak miły oku!

A u wezglowia wsparta o łożę,
Szepecząc modlitwy w ducha pokorze,
Z różańcem w dłoni dziewica czuwa,
I po jednemu ziarna przesuwając,
Ufna głęboko w moc ich tajemną.

Choć tak Elżbiecie chłodno a ciemno,
Pogodnem okiem patrzy bez trwogi
W rozwarłe przed nią wieczności progi.
Serce niezłomna wiara snąć krzepi,
Że tam u ojca będzie jej lepiej,
Skoro z pęt ciała duch wyzwolony,
W owe tajemne uleci strony,
Gdzie prawda blaski słoneczne sieje
Na dróg żywota nowe koleje.
O! bo Elżbieta ufna jak dziecko,
Wie, że w nieznanym napotka świecie
Wszystkich, co sercu niegdyś tak mili,
Dawno ją w chłodny grób poprzedzili.

Napół przymknięte matrony oczy,
Piętnuje spokój dziwnie uroczy;

Z pokorą składa bezsilne dłonie,
I krzyż Chrystusów ciśnie na łonie
W miarę jak z ciała duch się rozprzega,
W coraz to wyższe przestrzenie sięga;
Lecz krąży mglistym owian obłokiem,
Bo już zmysłowem nie wsparty okiem,
Sam nie śmie jeszcze o mocy własnej
Puścić się w przestwór wielki a jasny,
Napół uwiezion gasnącem życiem.

Im słabszem pierś jej uderza biciem,
Im śmierć wydatniej mroczy jej czoło,
Myśl w promienniejsze ulata koło.
Snąć coraz bliższa przybytku Pana.
Już ją otacza światłość nieznana!...
Na tle utkanem z tęczy promieni,
Widzi aniołków grono w przestrzeni;
Cudną woń sieją złote ich włosy,
A uperlone w poranne rosy
Białe ich skrzydła, z szumem się chwieją,
Ducha Elżbiety krzepiąc nadzieją!
Raz się przybliżą, to znów się dalej
Na kryształowej kołyszą fali;

I znów przyżywa rój on skrzydlaty,
I zwolna sięga białemi kwiaty.
Sędziwój wieszczki, bladego czoła.

A ona głosem słumionym woła:
— Świeć się, o Panie, Twa woła święta!
Tyś mi w anioły zmienił wnuczęta.
Dziękijż Ci Boże! O tak.... to one...
Jam je poznała, choć upięknione
Odblaskiem nieba!... A dalej w górze,
Cień mej Urszuli płynie w lazurze;
Dalej cień matki!.. ojca!.. Kaźmierza!!
O! jak się jasno koło rozszerza
Mego widzenia!.. Chwalaż Ci Panie!..—

Uniosła ręce, lecz na posłanie
Spadły bezsilne!..

O ścian sklepienia,
Wraz się nieszporne odbiły pienia,
I pozdrowienie niebios królowej,
Ślą pobożnemi dziewicę słowy:
„O! gwiazdo morza, Maryo miła!
Tyś nam szczerp śmierci stopą skruszyła:
Racz prośbą niebo przebłagać srogie,
Co Twoje dziatki trapi ubogie.

Odwróć głód ciężki, ustrzeż od wojny,
Użycz lat żyznych, daj wiek spokojny!
A my Cię z Bogiem, z Duchem społecznie
Sławić jak matkę będziemy wiecznie!”

Elżbieta pieśni w milczeniu słucha.
Z cudnym jej dźwiękiem spływa otucha
W gasnące serce; w ciemnej żrenicy
Niby przelotny ślad błyskawicy,
Ostatniem drgnieniem załśniło życie.

I raz ostatni, w ziemskim zachwycie
Usta jej tknęły niebieskiej czary,
Gdy głos nadziei, miłości, wiary,
Długoj niedoli krusząc ogniwa,
W świat ją aniołów pieśnią przyzywa.

I przy ostatnim organów dźwięku,
Niosąc gromnice poważnie w rękę,
Wchodzą w próg celi dziewice Boże,
I okrążają śmiertelne łoże.
I w dłoń Elżbiety, chłodną a drżącą,
Składają z wiarą świecę płonącą;
A przyklękając wieńcem na ziemi,
Cieszą modlitwy słowy świętami
Płną powagi skonu godzinę.

Lica Elżbiety chłodne a sine....
 Piers ledwie słabe wydaje tchnienie....
 Czoło żałobne owiały cienie,
 Kroplami zbiega pot z bladej skroni,
 Gromnica pada z zmartwiałej dłoni....
 I cichy szelest ozwał się w celi:
 Zda się, białemi skrzydły anieli,
 Z duchem Elżbiety mkną przez powietrze.....

Oblicze zmarłej coraz to bledsze.
 Twarda dłoń śmierci, na zrytem czole
 Ciężkie żywota wygładza bole;
 A łuna gromnic świeci grobowo,
 Nad martwej wieszczki sędziwą głową!

K O N I E C .

PRZYPISY.

1.

„Victor Joannes”.

O tém zdarzeniu tak mówi Mikołaj Dyakowski podstoli latyczowski, dworzanin pokojowy króla Jana, będący przy nim pod Wiedniem, w spisany przez Summaryusza okazyi wiedeńskiej:

— „Puścił się deszcz spory. Namiotek dla króla rozbito i poczęto okopywać dokola niego, aby woda nie przechodziła. Wtém wykopują obraz Najświętszej Maryi Panny Niepokalanego Poczęcia, arkuszyowy, na płótnie malowany i w trąbkę zwinięty; który gdy przyniesiono do króla, a król go rozwinął, z wielką weneracyą pocałował; aż wtém któryś ze stojących mówi: „Mości królu! są litery jakieś na drugiej stronie!”—Król mówi:—„czytaj!”—aż tam napis takowy po łacinie: *Erit Victor Joannes*. Król się odzywa: „Co ty bestyo gadasz?”—Czytający odpowiada:—„Ja to czytam, co napisano”.—Król mówi:—„Daj mi go sam!”—Czyta tedy król, aż to samo; znowu tedy pocałował król obraz i mówi te słowa:—„Któż wie, co tu za Joannes będzie Victor!”

(Pamiętnik warszawski wydania Brodzińskiego. Tom IV).

2.

„W skromnym klasztorze ubogiej braci”.

Jan III-ci umarł w Wilanowie, w dniu 10 lipca 1698 roku. Złotki królewskie nabalsamowane i przez trzy miesiące w Wilanowie trzy-

mane; potem przeniesione do kaplicy zamkowej, gdzie rok leżały; na koniec znalazły nadlugo schronienie w klasztorze kapucynów, założonym przez króla Jana, i poświęconym w 1692 roku.

W lat kilkanaście po królewskiej śmierci, bo w r. 1716, jak niesie miejscowe podanie, zadzwoniono wieczorem do klasztornej furty. Wyszedł zakonnik odziewany i postrzegł trumnę złożoną przed wejściem; a gdy napróżno szukał kogokolwiek bądź żyjącego naokoło, poszedł uwiadomić o tak nadzwyczajnym wypadku ojca przełożonego. Gwardyan nie wiedząc także co było znaczyć miało, udał się po radę do izb królewskich w klasztorze, gdzie naówczas biskup poznański, Jan Tarło, odprowadzał rekolekcje. Wszyscy więc razem wrócili do trumny, a gdy z rozkazu biskupa otworzoną została; znaleziono w niej drugą, jedwabną materyą pokrytą, a w tej dopiero zwłoki królowej, z berłem i koroną z żelaza wyrobionemi, ale pozłacanemi. W usta włożony był medal z napisem: *Maria Casimira Regina Poloniae, Magna Dux Lithuaniae, invictissimi Joannis III vidua, obiit Blessis in Gallia die 30 mensis Januarii anno 1716 aetates suae 73 curren- et die tertia*. Zaniesiono więc trumnę do zwłok królewskich; a tak powróciła do męża pokryjomu, jakby się wstydząc, że z nim za życia nigdy razem w zdaniu i zamiarach być nie chciała.

Skróto wiadomość o tym doszła do Augusta II-go, uroczyste wykwie kosztem jego, za duszę Maryi Kazimiry w kościele Kapucynów odprawione zostały.

Jednakże śmiertelne ostatki pogromcy Turków, żony jego i wnuka, nieprędko doczekały się ostatecznego pogrzebu. Przez lat trzydzieści kilka, sławny fundator nie opuszczał po zgonie, miłej sereu jego fundacyi. Dopiero gdy August II-gi w dniu 1 lutego 1733 roku opuścił ten świat na zamku w Warszawie; stany pomyślały o zawiezieniu wszystkich razem zwłok królewskich do grobów kościoła zamkowego w Krakowie, co nastąpiło z wielką uroczystością w dniu 10 sierpnia 1733 roku. I tu jeszcze Kapucyni nie odstąpili ostatecznie swego fundatora; sześciu z nich towarzyszyło ciału Jana III-go aż do samego miejsca, na wieczny pobyt przeznaczanego. Serce królewskie pozostało w Warszawie, złożone w spianiałym grobowcu w kaplicy zwaną dawniej *królewską*, dziś *kaplicą Jana III-go*.

(*Alleluja. Rocznik religijny. 1840 r. w Warszawie*).

3.

„*Ku królobójczej Jakóba dłoni*”.

Henryk III-ci Walecysz w czasie zawicherzeń domowych i religijnych, padł ofiarą pod morderczym sztyletem Jakóba Clement, w roku 1589, a trzydziestym ósmym swego życia. Na nim wygasł ród Waleczych we Francji.

4.

„*Bo gdy wieszono z strony dalekiej*

Stynną cudami Bogarodzie,

Na Czstochowską niegdy stotieg;

Anieli znacząc drogę swęj pani;

Lilie z niebios sieli Jęj w dani”.

Podanie to, wzięte wprost z opowiadania mazowieckiego ludu.

5.

„*I powaśnionych w kole sejmowem,*

Skłonić ku zgodzie królewskiem słowem”.

Pamiętne były w tym czasie na Litwie zatargi domowe Ogińskich i Sapiechów, w których szlachta litewska czynny brała udział.

6.

„*Nie winny króla,*

Że on dał postuch słowom Patkula;

I chciał Inflanty odbić stracone”.

Jan Rajnold Patkul, szlachcic inflandzki, skazany na śmierć za obrazę majestatu, z powodu zbyt śmiałego przemówienia do Karola XI-go króla szwedzkiego; schronił się do Polski i znalazł posłuch u Augusta II-go. Wystawił mu łatwość zdobycia Inflant, utwierdzając króla w dawno powziętym zamiarze przywrócenia Polsce owęj

pięknej prowincyi, oderwanéj od korony pod berłem Zygmunta III-go. Uwidziony król Polski, zwołuje senat i prymasa na radę. Za namową prymasa Radziejowskiego, który pochwała przedsięwzięcie inieniem Rzplitej, wchodzi August w tajne umowy z Patkulem; prymas zaś pisze do dworu berlińskiego o wolne przejście wojsk polskich przez Prussy do Inflant.

W on czas tylko co wstąpił na tron szwedzki 18-letni Karol XII-ty. Z jednej strony wpłany w wojnę z Duńczykami, z drugiej zagrożony orężem Piotra Wielkiego; młody a niedoświadczony monarcha, w trudnym znajdował się położeniu.

Znane są powszechnie wypadki tej wojny. Po zmiennych kolejach, słynna bitwa pod Klissowem, dała stanowczą przewagę orężowi szwedzkiemu. Radziejowski nieprzychylny z dawną Augustowi II-mu, wchodzi w tajne układy z Karolem, ogłasza bezkrólewie; skutkiem czego, Karol osadza na tronie polskim Stanisława Leszczyńskiego. August zagrożony ze wszystkich stron, za naleganiami Patkula, już podówczas posła Piotra Wielkiego; odbywa podróż do Tykocina i Grodna, celem naradzenia się z cesarzem. W roku 1705, Patkul, jakkolwiek zabezpieczony godnością posła rosyjskiego, uwięzionym zostaje w Dreźnie z rozkazu Augusta. Powód tego uwięzienia, nie jest dostatecznie wyjaśniony. Zdaje się, że dwór saski gorąco pragnął zgody ze Szwecją, aby dopiąć swych celów, gotów był przyjąć wszelkie narzucone mu warunki. Niewinny Patkul oskarżony o przeliewanie krwi; porwany został nocą na rozkaz Augusta II-go i osadzony w twierdzy Königstejn.

W roku następnym, król szwedzki jako zwycięzca wtargnął do Saxonii i stanął obozem pod miastem Altranstadt, niedaleko Lipska. August przyciśnięty w własnym kraju, zawarł pokój z Karolem, uznał Stanisława królem Polskim, a pomiędzy innemi warunkami przymierza byli ten: że Patkul miał być wydanym. Długo się wahał August między chęcią dokonania układów, a obawą obrażenia potężnego sprzymierzeńca. Nakoniec czyniąc zadosyć obudwom stronom, wysłał go Patkula gwardyą, która miała wydać go Szwedom; potajemnie zaś uwiadamia rządzącego Königstejn, aby ułatwił niecieczkę więźniowi. Rządca twierdzy chcąc wyłudzić większą opłatę od Patkula, ociąga się z jego uwolnieniem. Straż szwedzka porwuje

tyczasem nieszczęśliwego i zawodzi do Altranstadt'a. Tam przykuty do słupa łańcuchem, zostawał w okropnym stanie, aż go zaprowadzono do miasta Kazimierza w Wielkopolsce, gdzie Karol XII-ty obok swej komnaty rozkazał go osadzić; a lękając się ucieczki jego z pod oka dozorców, łańcuch którym był okuty za szyję, przeciągnięty przez wykowany w ścianie otwór, sam własną ręką trzymał, odprawiając straż nocną nad więźniem. Rada wojenna skazała wreszcie Patkula na łamanie kołem i ćwierutowanie, co dokonaniem zostało na łańcuch pod Kazimierzem. Miejsce to lud dotąd nazywa *ląką Patkula*; a pamięć przetrwanych przezeń męczarni, dała powód polskiemu przysłowiu: „*Nieszczęśliwy, jak Patkul*”.

(Przysłowia narodowe. T. 2. K. Wł. Wójcickiego).

7.

„*Złote pałace stawia Kozeli*”.

Zobacz: *Dostowny wypis z rękopismu pisanego roku 1734 w rok po śmierci Augusta II-go króla Polskiego*; zamieszczony w III-cim tomie *Zarysów domowych* K. Wł. Wójcickiego. Warszawa. 1842 r.

8.

„*Przemyka gęstwią z strony na stronę,
Tropiąc zawistnie diabły czerwone*”.

Tak Kurpie zwykli byli nazywać szwedzkich żołnierzy. Patrz powieść pod napisem *Kurpie*, K. Wł. Wójcickiego, wydaną we Lwowie 1834 roku.

9.

„*Pojutrze dziecię puścim się w drogę.*”

Pani Krakowska, cna białogłowa,

Z Sieniawy do nas pisze list długi”.

Elżbieta Kowalska młodość swoją przepędziła w domu Sieniawskiej kasztelanowej krakowskiej. Obcowanie na wielkim świecie

i przyjaźń z najpięrszemi w Polsce domami, były dla niej pomocą do nabycia wielu pożytecznych wiadomości i poprawnego smaku, którym celują jej poezye.

(O uczonych polskich, przez Jana Sowińskiego. Warszawa i Krzemieniec. 1821 roku).

10.

„Co umiał zjednać pokory pertą,
Za kij pasterski monarsze berło”.

Niektóre wyrażenia w tym ustępie, brane wprost z poematu Drużbackiej, pod tytułem: *Opisanie życia św. Dawida króla izraelskiego*.

11.

„Lecz od Alwara bacznie ją strzeże;
To też Elżbietę chęć ani bierze
Do starych Rzymian spleśniałej mowy”.

W pięknym wierszu: *Pochwała lasów*, Drużbacka wyznaje sama że nie umie po łacinie:

„Łaciny nie znam, ni terminów prawnych,
O Cyceronach nie słyszałam sławnych,
Więc kto tych czasów w tej nie ćwiczon szkole,
Niech pasie bydło, albo kopie rolę”.

12.

„Jest tam i obraz wojny domowej,
Którą z kozactwem toczył Niżowem.
Zacny Jan Kazimierz, i pełnych chwały
Spraw Władysława poczet niemały”.

Wzmianka o dwóch dziełach Samuela ze Skrzypny Twardowskiego, pod napisem:

I. „*Wojna domowa z Kozaki, Tatory, Szwedami i Węgry, przez lat dwanaście tocząca się, dotąd na cztery księgi podzielona*”. W Krakowie, roku 1660, w drukarni Kupisza, in folio.

II. „*Władystaw IV-ty król polski i szwedzki*”. W Lesznie, u Daniela Wettera. 1649 r. in folio.

13.

„*Skreślił to Maro polski dowcipny,
Szorstkiemi rytmu, Samuel ze Skrzypny*”.

Tak nazywa Twardowskiego współczesny z nim Wespazjan z Kochowa Kochowski:

„Nagrobek

*Samuelowi ze Skrzypny Twardowskiemu,
Wirgiliuszowi słowiańskiemu:*

„Cheesz wiedzieć kto tu leży? i jakiej człek ceny,
Gościu! uważ sarmackiej żalobę Kameny.
Pojrzyj jako Helikon, co rzadka na świecie,
Obchód czyni ostatni wielkiemu pocie.
Errato złotowłosa i Klio pamiętna,
Wszystka zgraja parnaskich panien, kwili smętna.
On cito nasz słowiański Wirgili dowcipny
Maro Polski: Samuel cny Twardowski ze Skrzypny;
Którego heroiczna muza jest tej cery,
Że przeszła Euniusze i chlubne Homery.
Więc że cię zacny mężu, nam zająrzały fata.
Nie zatrze wiek pism twych pamięci u świata;
Równie jak Partenope z Maronem się pieści,
Tak Skrzypna sławna będzie, z pism twych i powieści!”
(*Wespaziana Kochowskiego. Epigramata polskie, po naszymu fraszki. W Krakowie. 1674 roku*).

14.

„*Że tak milcząco leży w Zwoleniu,
Grubym dwóch wieków pyłem odziana,
Na nieśmiertelnym grobowcu Jana*”.

Jan Kochanowski zmarł w roku 1584, w Lublinie. Pochowany w Zwoleniu, w ojczystym Kochanowskich grobie.

15.

„Chwiejąc nad niemi krwawe porpore”.

Lud nasz w powieściach wyobraża mór, w postaci niewia-
sty. Kędy ponad włością srogie widmo powienie skrwawioną
plachtą, tam ludzie padają jak muchy, dotknięci zarazą.

(*Patrz Klechdy K. Wł. Wójcickiego. Warszawa. 1837 r.*)

16.

„Boćto Drużbacy zacie młodziacy:

Chociaż kapturem jeden odziany,

Drugi znów wojak z szaty i z lica”.

Jan Drużbacki, z drugiej żony Weberówniej, miał dwóch synów:
Józefa i Kazimierza. Józef w zakonie młodo umarł, Kazimierz miał
za żonę Elżbietę Kowalską. Został później podstolim żydaczewskim.

(*Herbarz polski Niesieckiego*).

17.

„Jakie zdziałala żelazna głowa,

Cuda odwagi w polach Klissowa”.

Żelazną głowę, zwano powszechnie Karola XII-go.

(*Patrz Kurpie K. Wł. Wójcickiego*).

18.

„Gdy później oba jednakięj wiary,

Pierśmi stonili Piasta sztandary”.

Adam Szmigielski, naprzód gorliwy stronnik Augusta II-go, wraz
z Wiśniowieckim i innymi panami; przeszedł następnie na stronę
Stanisława Leszczyńskiego.

(*Patrz Dzieje panowania Augusta II-go, przez ks. Partenay.*)

19.

„Na wieczną chwałę krętej Śreniawy”.

Śreniawa, herb Lubomirskich. Kasztelanowa krakowska Elżbieta
Sieniawska, małżonka hetmana koronnego, była z domu księżniczką
Lubomirską.

(*Patrz Herbarz polski Niesieckiego*).

20.

„I na tę gwiazdę nie mniejszej sławy,

Co w modrém polu wyżej księżycą,

Zacnym Leliwom wieki przyswieca”.

Leliwa, herb Sieniawskich.—Adam Mikołaj Sieniawski, kasztelan
krakowski, był wielkim hetmanem za Augusta II-go.

(*Patrz Herbarz polski Niesieckiego*).

21.

—„bo w dom hetmana,

Kądziel zesłały wyroki Pana”

Adam Sieniawski nie pozostawił wcale potomka po mieczu. Jedy-
na jego córka Zofia 1 voto, żyła z Stanisławem Denhofem, hetma-
nem polnym litewskim, 2 voto, z Augustem książęciem Czartoryj-
skim, wojewodą ruskim.

(*Patrz Herbarz polski Niesieckiego*).

22.

„A na pociechę, powtarza dzieje

Cnego rodzica”.

Wszystkie szczegóły o Mikołaju Hieronimie Sieniawskim, hetma-
nie polnym, następnie wielkim koronnym, ojcu powyżej wspomnio-

nego hetmana, zmarłym w Lubomli na Spiżu, w powrocie z wyprawy wiedeńskiej; wzięte są z Herbarza K. Kacpra Niesieckiego.

23.

„Choć i w Dubiecku, w Haliickiej ziemi,
Pod pysznęj ksieni spłoty bujnem”.

Ksienia, lipa w Dubiecku, unieśmiertelniona w poemacie W. Pohla „Senatorska Zgoda”.

Elżbieta z Kowalskich Drużbacka starościna żydaczewska, żyła w ścisłej przyjaźni z domem Krasieckich; przebywała często w Dubiecku w młodości swojej; znał ją Ignacy Krasiecki i uczył się jej wierszy napamięć.

(Nota W. Pohla do Senatorskiej zgody).

24.

„Wszak zacny Jerzy brat ich rodzony”.

Drużbaccy herbu *Lew*, zdawna kwitnęli w Rusi Czerwonej. Z tych Jerzy, u króla Kazimierza był rotmistrzem nad rajtaryą, zginął pod Mątami. (Herbarz polski Niesieckiego).

25.

„O! czyliż bogacz lub mocarz który,
Co dnia przywdziewa drogę purpury”.

Cały niemal monolog Drużbackiej, wypowiedziany słowy samej poetki.

26.

„Czasem jak orzeł uderzy z góry
Grudziński z Wołoch”.

Grudziński Jan starosta rawski, był stronnikiem Stanisława Leszczyńskiego, a gdy w roku 1709 po klęsce Karola pod Póltawą,

wrócił August do Polski, a ustąpił z niej Stanisław, Grudziński wraz z Sapiehą, Potockim wojewodą kijowskim i innymi Stanisławskimi, cofnął się do Multan. I tam nie został bezczynny; skoro bowiem 1711 roku zaświtała Leszczyńskiemu nadzieja odzyskania tronu za pomocą Porty Otomańskiej, Grudziński zebrawszy nagle kilka tysięcy zbrojnego ludu, tak Polaków jak Szwedów i Kozaków, wtargnął znowu przez góry Karpackie do Polski, pokierował pochód na Kraków ku Wielkopolsce, walcząc nieraz z korzyścią przeciw wojskom Augusta. W końcu jednak napadnięty pod Krotoszymem od stronnika Augusta, Brzuchowskiego, na głowę pobity, zaledwie uniósł życie. Roku 1714, wraz z innymi stronnikami Stanisława, zdał się na łaskę Augusta i otrzymał amnestyę.

27.

„Lecz choć sejm niemy, rychło w Warszawie
Kres tarnogrodzkiej położył sprawie”.

Dnia 1 lutego przyszedł dzień ów pamiętny, dzień extraordinaryjnego sejmu bez głosu, który długo zdawał się być bez przykładu nowy i niezwykajny; zdało się, że nie było sposobu inaczej trafić do końca, chyba zabraniając mowy tym, którzy na to sarkali, i którzy dla prywaty, mogli byli popsuć co się z taką pracą i usilnością ugłaskało. Zaczęło wszysze z wzajemnego upodobania i zezwolenia, na to się zgodzili i słowem sobie szlacheckim przyrzekli: aby się ten sejm na samém przeczytaniu konstytucyi odprawił; bez rozdawania głosów, ile, że nie było o czém mówić, ponieważ wszystkie materye już dobrze były roztrząsane. O godzinie dziewiętej z rana zasiadł król na tronie wśród senatu, a Ledóchowski marszałek przeszłej konfederacyi, przemówił w imieniu szlachty. Nastąpiła potem ceremonia ucałowania ręki królewskiej.

Chciał Prymas aby senat przynajmniej w osobie jego nie sprzeciwiał się prerogatywie mówienia, ale mu odmówiono, czém urażony, salwując honor swej godności, wyszedł z senatu.

Marszałek w końcu składając funkcję piastowaną, zęgnął króla Jmci, dziękował mu za ojcowskie starania około uspokojenia pu-

blicznego i upraszał aby Jego Królewska Mość, danym deklaracyom swoim, osobliwie respektem ewakuacyi wojsk saskich, zadostę uczynił, obiecując z swęj strony wzajemną obserwacyą. Zakończył rzecz słowy: „Żyj miłościwy panie szczęśliwie, a panuj łaskawie”.

Odpowiedział od tronu, kanclerz wielki korony, pięknie i wymownie. Naostatek po siedmiodzielnym sejmie, poszedł król łmci z senatem i posłami do kościoła św. Jana na *Te Deum*, gdzie przy muzyce i biciu z działa, oddano dzięki Bogu, za szczęśliwie dokonane dzieło. Na tém skończyła się konfederacya tarnogrodzka; a wojsko saskie stanowczo ustąpiło z Polski.

(*Dziennik konfederacyi tarnogrodzkiej, wydany przez Edw. Raczyńskiego*).

28.

„Choć nie powstanie z bram Frydrychshala,
Groźne szwedzkiego olbrzyma ramie”.

Karol XII, mimo srogości zimy, przedsięwziął obleżenie twierdzy duńskiej Frydrychshal, roku 1718, lecz nie zdążył jęj zdobyć. Dnia 11 grudnia, zwiedzając okopy około godziny dziewiętej wieczór, ugodzony został kulą w lewe skronie, która zabiła go od razu, przecinając tém samém wszelkie jego zamiary.

(*Dzieje panowania Augusta IIgo, przez księdza Portenay*).

29.

„Przy Wiśniowieckim szlachta na Pradze,
Sasowi zwierza królewską władzę”.

Podezas elekcyi króla Stanisława, kanclerz Wiśniowiecki z dwoma województwami, a za nim Hozynusz biskup poznański i różni panowie, usunęli się na Pragę i ogłosili królem Augusta IIIgo, elektora saskiego. Lubo Leszczyński pospieszył z Francyi do Warszawy, ale nie zdążył się umocować. Przed następującym nieprzyjacielem usunął się do Gdańska, gdzie obleżony. Naród osła-

biony nie mógł go utrzymać, francuzkie posiłki były niedostateczne; Leszczyński z Gdańska obleżonego, przebrany, uszedł. Jego stronnicy pokonani; wiele domów przy tém zdarzeniu podupadło. August utrzymał się na tronie, Leszczyński został przy tytule królewskim, a w dożywocie otrzymał Lotaryngią, gdzie zostawił dotąd wspomnienie cnót swoich i ojcowskich rządów.

(*Dzieje Polski potocznyim sposobem opowiedane. Warszawa 1830 roku*).

30.

„Świątę się wreszcie owemi czas
Ku chwale Bożej, to Kordelasy,
Co złym natogom na odsiecz bieją”.

Tytuły ówczesnych książek. O nich to pisze jeden z poetów, wspominając oświeconego niedowiarka:

„Nie wierzy w siedmiu braci, co trzy wieki spali,
Ani w diabłów sądzących w opętanej sali,
Ni w kordelas co w odwet złym afektem bieży,
Ni w pułk rekrutowanych i wiernych żołnierzy;
Ni w pistolet, co grzechy śmiertelne zabija,
Ni w kłębek, czynny ludzkie co na kupę zwija”.

Miedzy innemi, była broszura na obronę duchowieństwa, z końca panowania Zygmunta III-go, pod tytułem: *Podpłomyk matki Fary izami jęj rozczyniony, i na polu z popiołem, działkom do skosztowania podany*.

(*Historia literatury polskiej w zarysach. (K. Wł. Wójcickiego. Tom IIIci)*.

31.

„Wszakże płynające na szczęścia toni”.

Słowa Franciszki Radziwiłłowój, któremi rozpoczyna szumne powinszowanie mężowi swemu: *z naturalnego afektu dożywotniej*

przyjaźni temuż J. O. solenizantowi ofiarowane. Oto urywek na próbę:

„Na toni szczęścia mego pływając obficie,
Winnam ci wszelki respekt i dzieci mych życie.

Ty, któryś jest autorem pomyślniej mej doli,

Niech nam twoja przytomność cieszyć się pozwoli.

Dziś to dzień, który razem z twojem narodzeniem,

Szczęścia mego początkiem i boskiem przejrzeniem”.

Daléj wspomina księżna, jak sieci z żelaza spajają na wieki Marsa i Wenere; jak Herkules zrzucając zbroję i szyszak, kądziel z wrzecionem obraca w dłoni, zwyciężony przez Dejanirę; jak Eneasza oparłszy się na brzegach Kartagi, uznaje władzę pięknej Dydony, a Achilles ulega potędze wdzięków Bryzejdy, albowiem:

„Jedną to smyczy para, męztwo wraz z miłością”.

Patrz: „Komedye i tragedye przednio dowcipnym wynalazkiem, wyborym wiersza kształtem, bujnością rzeczy i poważnym przykładem znamienite, przez Jaśnie Oświeconą Księżnę z Książąt Wiśnitowieckich Korybutów Radziwiłłową, wojewodzinę wileńską, hetmanową Wielkiego księstwa Litewskiego złożone; na wspaniałem teatrum książęcym w Nieświeżu, sprawą najszlachetniejszych dam i najszlachetniejszych kawalerów, na widok nieraz pokazane, zawsze jednostajnym, najgodniejszych widzów i słuchaczów zdaniem wychwalone; teraz przez przytomnego świadka i wiernego domu książęcego sługę do druku podane, roku, jak się wcielone słowo słyszeć i widzieć dało, 1754”.

Utwory Radziwiłłowej, sądząc je względnie do czasu, nie są bez pewnej zalety: styl w nich dosyć ogładny, wiersz łatwy, często dopatrzyć można zdrowego zdania i trafnej uwagi, jak na przykład w przestrożce ojca dawanéj córkom, gdy jedną z nich zachęca do krosien i wrzeciona, żeby jęj się życie nie przykryło; drugą znów okazującą popęd do pióra i książki, ostrzega, że to niebezpieczna dla niewiasty pokusa, albowiem: te, uczą częstokroć próżnych słów, albo kochania:

„A gdy czasem pozwolisz poniewolnój chęćce,

Ulgniesz prędko na piórze, jak ryba na wędce”.

Wszakże zupełny brak prostoty, kazi utwory Radziwiłłowej. Rzecz u niéj dzieje się częściej w Olimpie niż na ziemi; osobami jęj tragedyi

są boginie, królowie, astrologi, medcy, Turcy, sielankowi pasterze; ale nigdy zwyczajni ludzie. Znać, że księżna czerpała pomysły wyłączenie tylko w rozmarzonej wyobraźni, nie patrząc bynajmniej w życie.

Rzecz dziwna, że znając niewątpliwie utwory Moliera, nie przejęła się więcej ich duchem; a goniąc obłoki po niebie, nie raczyła spojrzeć w świat rzeczywisty, jakby niegodny książęcego jęj oka. Zbyt nie polaski i dworskie kadzidla, jakich jęj nie szczędzono, musiały skrzywić w zarodzie jęj niezaprzeczony talent, i zwichnąć polot ducha, który blakając się tu i owdzie, nie trafił na drogę rzeczywistego rozwoju.

32.

„Owóz obecnie rymy Elżbiety
Ogłasza drukiem, własnym nakładem”.

Pisma wierszem, Elżbiety Drużbackiej, zebrał razem i wydał Józef Żałuski w Warszawie u Pijarów, roku 1752, pod napisem:

„Zebrania rytmów wierszopisów żyjących”, str. 540, in 4-to; tych zbiór, Drużbacka pierwszym tomem otwiera.

Przedrukowane w Lipsku u Breitkopf et Haertel 1837 roku, we dwóch tomikach z popiersiem poetki, w zbiorze wydanym pod napisem: „Biblioteka kieszonkowa klasyków polskich”. I w pierwszym i drugim wydaniu, opuszczono obszerny poemat oddzielnie wydany: „Historia chrześcijańska księżnej Elfantyny, dowcipnym przemysłem JP. Elżbiety Drużbackiej” w Poznaniu, w drukarni akademickiej, roku 1769, in 4-to, str. 151.

33.

„Albo wymowny ksiądz Epifani”.

Józef Epifani Minasowicz, kanonik kijowski, rymotwórca współczesny Drużbackiej, wysoko cenił poetyczny jęj talent. Oto wiersz napisany przezeń na cześć naszéj poetki.

„Na zbiór lukubracji poetycznych. W JPani Elżbiety z Kowalskich Drużbackiej, skarbnikowej ziemi Żydaczewskiej.

I.

„Komuż się twój wiersz niepodoba? komu
Nie będzie miły z tak przedniej fabryki?
Elizabetho cna z Kowalskich domu!
Chyba takiemu, co ma w głowie szyki
Zmyłone; niech się tu cenzura sroma
Za niedyskretne obawia krytyki,
Któręj Apollo w Parnasie uprząta
Plac, mówiące: siedzie tu muza dziesiąta.

II.

Siedzie w dziewiątym muz Drużbacka chórze,
Z wielką dam polskich imienia ozdoba,
Piszącą w przednim zaćmy wiersz polorze,
Tą przyświadczać mądrość pici swęj próbą,
Na którą targnąć nie waży się cenzorze;
Z Minerwą to rzecz, nie z jaką osobą,
Lecz nie dosięgną tej bogini głowy,
Przy nogach nisko czołgające sowy.

(Tak aplauduje sarmackiej muzie Józef Epifaniusz Minasowicz).

34.

„Równają mistrze zreczenie i śmiato,
Wraz z Kartagińskiej Dydony chwałą”.

Niewiadomy autor skreślił na cześć Drużbackiej wiersz, w którym
z powodu wsi *Rzemienia*, kędy mieszkała, porównywał ją z Dydoną.
„O *Rzemieniu Nadwisłocznym, miejscu rezydencji muzy polskiej*”.

„Dydo gdy Byrse zamek stawiać miała,
Udzielna grodów kartagińskich pani,
Rzemieniem gruntu tak wiele zabrała,
Ile mieć mogli z wygodą poddani.

Większa Drużbackiej niż Dydony chwała
Z *Rzemienia*: rzemień drogi to, nie tani;

Tamten staj tylko kilkoro zasiaga,
Ten zaś, przez Polski świat sławę rozciąga”.

Wiersz ten, jak i poprzedni Minasowicza, zamieszczony jest w poe-
tykach Drużbackiej. Tomik IIgi. Lipsk. 1837 r.

35.

„Ha, rzecze łowczy, inaczej tusz
O rymach Aścki, książę koniuszy”.

Książę Ulryk Radziwiłł koniuszy Wielkiego księstwa Litewskiego,
uniesiony cziłą ku słynnej poetce, napisał do niej wiersz przesadny
i napuszony; prawdziwy typ ówczesnych panegirów, który dla oso-
bliwości przytaczam, jako też i odpowiedź Elżbiety Drużbackiej, gdzie
poetka, jakkolwiek niewyraźnie, żartuje przeciw trafnie i dowcipnie
z nadzbyt pochlebnym i ciemnym pochwał księcia.

Wiersz księcia Ulryka Radziwiłła:

„Nie z prostęj skóry pas ciągnę *Rzemienia*,
Z której tu snuje muza swe osnowy,
Tać z *Helikońskiej* cór idzie plemienia,
W *Drużbackich* kropkach kręte kroci rowy;
Gdzie po kamykach, kręte grają zdroje,
Zkąd poetyckie smak dają napoje.

Któż z *Wisłocznych* wód *Rzemienia* oplucze?
Zkąd łatwiej zwiąć poetyckie węzy?
Niech się w szemrzących *Drużbakach* nauczę,
Jak myśli formować, jak sens czynić związy.
Niech z *Wisłocznymi* *Drużbak* kropkami złączę,
Niech uchodzące wody czerpnę ręce.
Wszak gdy w *Jordanie* strumień *Jana* głaszcze,
Z duchem mądrości, z głębi się wynurza,
Wraz *Jan*, *rzemień* na się wdziewa piaszcze,
By nie zalała skazitelną burza;
Czysty jak kryształ, czyste pasze biodra,
Lepiej wyrazi muzy ręka szciodra.
Własność *Wisłoki* opatrzać w potrzeby,

Spuszczając z nurtem, z obfitością tratwy,
Kraj kraje żywi, napelniając w chleby;
Choć kręte buchty, przecież transport łatwy,
Muza łaskawa swe kieruje wiatry,
By nie rozbiły skopuły czy Tatry;
Drużbackie stoki już ożywiela
Tytuł na sobie sprawiedliwie noszą,
A któż w kalektwie znajdzie zbawiciela?
Wszak dziwne skutki, wód Drużbackich głoszą,
Muzy to dzieło, jój cudowne leki,
Że i mych rymów poprawi kaleki”.

RESKRYPT

JO. księciu Jmci koniuszemu, Wielkiego Księstwa Litewskiego, od nierównającej się z doskonałością jego sługi.

„Nie słuszną sowie z orłem w zawód chodzić w locie,
Nie słuszną z nim się wzbijać, pod słońca promienie;
Orla pióra wynoszą, w przyzwoitej enocie,
Sowę, pusta stodoła wśród dnia kryje w cienie.
Dopiero jój noc czarna, da wzrok widzieć świata;
Jednak sowa w prostocie swojej nisko lata.

Ptaka wyniesiony,

Bierze ją w szpony.

Zamilkła muzy mojej już odtąd chimera,

Wybił stylz głowy mojej litewski koniuszy,

Gdy mnie z jego parnasu dochodzi litera;

Upadła chęć do pióra, ręka się nie ruszy

Do żadnej pracy, bo mi trakt zalegi Radziwiłł,

Sens zmotał, z Ariadny kłębka nici wywił,

Mnie w labirencie

Stawił w momencie.

Że nie wiem w którą stronę iść mam z błędnej matnie,

Nie wiem w lewą czy w prawą, krok kierować z myślą,

Przyjdzie na to, że książę sposoby ostatnie

Poda, dowcipy jego gościniec zakreślą,

Sens wróci, chęć zaostrzy, z stylu skrzese sęki,

Pióro zatempornuje, papier da do ręki;

Na tym wyrażę,

Co wiek nie znaże.

Bó przyznam, że koń z jego wypuszczony stajnie

Zdroju Helikońskiego dobył z swoją sławą,

Rumak pod dobrym jeźdzcem enotliwy zwyczajnie,

W szkole ćwiczon, niepłonną wykarminiony trawą,

Oryentalne w biegu wyprzedza rumaki,

Natrze śmieie na śmieie w zbytkach hajdamaki,

Zdepee podkową

Hydrę Siczową.

Mnie pozwól, proszę, z granic nad wymiar wykroczyć,

Żądając, żebyś bystrość ugłaskał pegazą;

Bym pióro orle mogła w jego stoku zmoczyć,

Ty zagładz gdzie w mém piśmie będzie znaczna skaza,

Popraw niedoskonałą w wierszu poetyczkę,

Która za sobą nosić powinna tabliczkę;

Że prawdę rzekę,

Z mądrością tekę.

Rzemień da się pociągnąć zwlaszcza koniuszemu,

Do jakiej go nakrećci zamyśli postugi;

W kroju nie będzie twardym, ale po staremu,

Pas prosty, choć go płuczą Nadwistoczne strugi,

Na to się tylko przyda, ociągiony nisko,

Żeby go pan do strzemienn zażył na pułsisko.

Zkąd w wielkiej cenie

Będą rzemienie.

Krople z krynic Drużbackich kaleki ubogie

I same niedołęgi, ledwie zleczyć z dołą

Pańskim głowom, w których są nauk skarby drogie

Nie poradzą, raczej im uniży się wola.

Muza w mądrość uboga, ale w piśmie szczera,

Co pisze. to za orłem pióra w polach zbiera;

I tym się chlubi,

Co orzeł zgubi.

Honor mi czynisz panie Jaśnie Oświecony,
Praca mnie głowy twojej z pod umbrы odsłania,
Stan mój wdowi już dawno żałobą przyćmiony
Na widok wystawują łaski pełne zdania,
Ja sobie tyle przyznam: czy krótką czy długą
Liniją życia ciągnąć; zawszem twoją służą.
Ty bądź pamiętny
Na umysł chętny”.

36.

„I wnet w oprawie przyniosł bogatęj,
Wielkie in quarto, księgę wspaniałą”.

Oto krótki spis przedmiotów, zawartych w pismach Elżbiety Drużbackiej, wydanych w wielkim tomie. (1752 r.).

Cztery pory roku, znana powszechnie sielanka. Miłość Boga i przyrody, natchnęła poetkę, ten prawdziwie piękny i rzewny utwór. Umié ona patrzeć okiem badacza w cuda stworzenia, bogatą obdarszona wyobraźnią, wdzięcznie maluje wszystko, co budzi jéj uwagę, a myśl każdą odnosi do Boga.

Opisanie czterech elementów. Tu poetka roztrząsa dwóistą stronę każdego żywiołu, poczynając zawsze od strony ujemnej, szkodliwej, a kończy na szarmonizowaniu, wszystkiego, poddając żywioł każdy pod wolę Boga, który walką utrzymuje życie. Boleje nad ziemią, że wydawszy bryłę gliny na zlepienie pierwszego człowieka, wraz z nim nosi na sobie wyryte piętno przekleństwa:

„Żeś na człowieka udzieliła gliny,
Słowem cię na wskroś jak grotem przebito;
Kiedyż rzeczono —przekleś! —po prostu,
Matką się staniesz, ciernia, głogu, ostu!”

Potém wielbi Boga, który mimo słusznego gniewu na ludzkie plemie:

„Przecież dał tyle, nad czém świat się dziwi;
Co Ewa zrodzi, to ziemia wyżywi”.

Znać, że wszystko cokolwiek otaczało naszą poetkę na własnej ziemi, drogiem było jéj sercu, mówi bowiem w końcu:

„Po transmaryny do Indyi nie wystę,
Ryby nie dostanę łowiąc poza sieć,

To, co wydaje ziemia w mój ojczyźnie,
Na tém się pióro moje nie pośliźnie”.

Rozbierając element wody, stawia naprzód piękny a wspaniały obraz potopu:

„Wody żalośną scenę wyprawiły,
Niewidzialnemi bawiąc się igrzyski,
Tyle narodów na dno pogrążyły,
Niewinne dzieci pobrały z kołyski,
Rzucali falni w górę pod obłoki,
Olimp z parnasem zalały wysoki.

„Nie usiadł się żaden ptak w swej łoży,
Najwyższe drzewa potopy dosięgły;
Któż je zalane, na nowo rozmnoży,
Gdy gniazda płyną gdzie się orły legły,
Z któremi dęby woda szybko niosła.
Nie potrzebując pojazdu ni wiosła (1).

Obok tego, w przeciwieństwie, poetka stawia nam dobroczynne skutki żywiołu, który uświęca człowieka, zmywając zeń skazę pierworodną:

„Kogo twe, wodo, nie oprysną krople,
Nikt w Trójcy Boga nie ogląda tronu,
Nikt uczestnikiem nie będzie Syonu”.

Wystawiając straszne spustoszenia, jakie na ziemi zrzucił płomień, poetka zaczyna pełnemi życia i prawdy słowy:

„Wszędzie wołają: egi! ostrożnie z ogniem,
Niech mnie i iskra wyskoczona spiecze,
Nikt nie nie pozna, czego niedociecz!”

Obrazuje potém znane w dziejach pożary Sodomy, Gomory, Troi; srogie wybuchy Wezuwiusza, chłonnącego wsie i grody, ale w końcu pogodzona z niszczącym żywiołem, opiewa święty płomień miłości, który zbawił świat cały. Kończy obrazem ciepłego ognia na domo-

(1) *Pojazd* rodzaj żerdzi do pływania; wyrażenie flisowskie.

wym kominie, przy którym tak błogo ogrzać kości skrzepie od światowego chłodu.

Wystawiwszy groźne następstwa powietrza, więjącego niekiedy morem, oraz wichru, który częstokroć niszczy bogate plony; pyta co by było na ziemi, gdyby skrzydła wiatru nie pechały łodzi po powierzchni morza? gdyby orły, sępy i drobne ptaszęta, nie znalazły oparcia w powietrzu, gdy wzbijają skrzydła w niebo, pragnąc porankiem głosić chwałę Stwórcy. Cały poemat zakończy pięknym zwrotem do Boga:

„Pójdź ziemi, wodo, pójdź ogniu z powietrzem,
Pójdźmy do Stwórcy waszego i ludzi,
Poznamy Boga skoro oczy przetrzem;
Ten w was i we mnie żywą wiarę zbudzi,
Kiedy przed Jego padniemy obliczem,
Uznany jawnie, żeśmy wszyscy nieczem!

Wiersze Światowe. Z tych najrzewniejszym jest obraz czyli *pochwała lasów*. Tu poetka wyznaje serdeczną miłość ka przyrodzie, wśród której ubiegł w prostocie jęj żywot:

„Lasy kochane, zielone chodniki,
Drzewa, przyjemny chłód dające z siebie,
Trawy, pagórki, biegące strumyki;
Przy was niech mieszkam choć o suchym chlebie.
Milszy mi napój z waszych źródeł żywych,
Niż drogie trunki, gdy z rąk nieżyczliwych”.

Z kilkunastu dalszych urywków, po większej części treści satyrycznej, w których Drużbacka śmiało chłoszcze śmieszności swego czasu, nie przypominając dwóch kompanii świeżo przybyłych z Paryża do Polski, (kompanii Franc-Massonów, którzy zabałamucili głowy kawalerów; i kompanii mopsów, w których tak zasmakowały modne damy, że żadna się nie ruszy bez pieska na obróży) z tych mówię urywków, zasługują na szczególną uwagę: *Skargi kilku dam wspólniej kompanii będących; dla jakich przyczyn z mężami żyć nie chcą i awersya pewnej damy, bawiącej u wielkich dworów, przy których gdy tylko próżność, nieszczerość, zazdrość i wiele wad uzna-*

ła; waletę życia takiemu wypowiada, a na spokojniejsze się wybiera. W ostatnim z tych utworów, wyborny mamy obraz światowego życia:

„Teatrum-ci to, na rozliczne sceny,
Tu śmiech, tu żarty, jużci smutne treny;
Ten się uskarża, że został w afroncie,
Ta urażona słowem, płacze w kącie.
Zacznie się taniec na przestronnej sali,
Świeć w lustrach pełno, każdy chojność chwali;
A dwóch albo trzech sprzyśniętych kompanów,
Zdaleka stojąc od siedzących panów;
Taką zabawę biorą z tój natury,
Żeby nikt wolny nie był z ich cenzury.
Jeden drugiego w bok trącając rzecze:
Patrz jak się za tą ogon długi wlecze,
Na tój opięto, kuso, graty stare,
Znać w wodzie stała gdy jęj brano miarę;
Tak jak zółw głową, albo bażant, chwieje,
Tak jak pod żagle m leci, gdy wiatr wieje,
Szum, szelest za nią; czy bies kogo niesie,
Czyli to zwierza uganiają w lesie.
Ta jak sikorka, lub czeczotka drobna,
Ta z nóg wysokich do czapli podobna;
Za tą garb stoi, okryty płaszczykiem,
Ta kształtna, jakby wielbłąd pod dywydkiem.
Ten w ogród cudzy musiał albo w żyto
Często zaglądać, że mu biodro zbito”.

Na widok światowego fałszu, taki poetka wyprowadza wniosek:

„Otóż tych skutków specjały dworskie,
Lepiej gryźć suchar i pić wody morskie,
Niż przy biskoktach i trunkach smakownych,
Na targowisko iść ludzi obmownych.

Niech kto chce w życiu dworskiem smaki czuje,
Niech w odebranych respektach górnje,

Niech się szaszczycą wielkimi fawory,
Niechaj mu wszyscy oddają honory;
Mnie zazdrość siedząc w kątku, nie bierze,
Życie osobne, że szczęśliwe, wierzę!
Życie kochane bez gminu, bez zgraje,
Nikt mię nie zdradzi, nikt mię nie polaje;
Cichość spokojna, książka i robota,
Z temi rozrywka gdy przyjdzie ochota;
Tych się nie strzegę, choć z niemi rozmawiam,
One nikogo i ja nie obmawiam.
Więc póki wola Bozka żyć mi każe,
Póki śmierć mego imienia nie zmaże,
Póki grób z ciałem mém się nie powita;
Osobność kochać będę, z dworem kwita!"

Skargi kilku dam są wyborym obrazem szerzących się podówczas wyobrażeń. Widzimy tam z boleścią, jak skażenie chwyta się serc niewieścich, jak fałszywy polor świata ścięra swojską a tradycyjną barwę z obyczajów, którym przez tyle czasów wierni byli Polki.

Poetka opowiada na pół żartobliwie, na pół ze złą gorzkiego oburzenia, jak osłonięta liśniami grabiny, słyszy poufną rozmowę pań wielkich, widzi lzy ich *krokodyli*, którymi oplakują urojone cierpienia. Jedna prawi żal do męża, iż jak smok na łańcuchu siedzi do ma, niedbały o jej zabawę:

„Jakże tu mieszkać z takim domatorem,
Co tylko wołom karmuym krzyżów maca;
Zboże na targi wyprawuje worem,
Prostycho osób z taką zrzęda praca;
Kawy w mym domu, nie znajdzie trzech ziarnek,
Piwa mi z serem, każe zagrzać garnek”.

Druga narzeka na skąpstwo małżonka, który żałuje pieniędzy na muszki, szpilki i wstęgi. Trzecia mniema, iż najsluszniejsze ma do łez powody, albowiem nie zna co *robą*:

„Sejmów nie widzę, nie wiem gdzie Warszawa,
Choćby mi boków naszturgano w ciżbie,
Byłem raz była w senatorskiej izbie”.

Porzuci więc bez skrupułu gapia, który nie chce wiedzieć o blondynowych garniturach, nie wozi jej na assamble i reduty; i pozwala aby paż w łatanych butach, niósł za jejnością powłoczysty ogon jej szaty!

Czwarta niemniej ważną ma przyczynę do zerwania małżeńskiego węzła: albowiem:

„Mój Borys nie chce sprawić mi bekieszę,
Takić jak teraz świat modny używa:
Aksamit ponso, podszyty marmurkiem,
Po szwach z masyfu bramowany sznurkiem”.

Na widok takiego zgorszenia, zacna poetka wyznaje wstyd, że ją Bóg także stworzył białogłową, i ubolewa nad obłąkaniami, które mimo że ubezpieczone stulą od ponęt świata i zadzierzgnięte potężnym węzłem małżeńskiego stanu; nie czują przecież ważności świętego powołania swego. Przemawia nakoniec gorzko:

„Jestto żart z Bogiem, z świętymi igraszka,
Ołtarz podobno u nich gdańskiem biorem;
Przysięgając jawnie, bagatela, fraszka,
Ufając że się pięknych pereł sznurem
W zastaw złożonym, wypłatają z węzła;
Ciała-ć swobodne, lecz dusza uwięzła!”

Elegie. *Wiersze moralne i różne okolicznościowe*, zamieszczone w I-ym tomie, pełne są myśli zdrowej i trafnego sądu; trudno dla szcuplego zakresu tego pisma, mówić o wszystkich w szczególności, wspomnę więc tylko wiersz, pod napisem: *Forteca od Boga wystawiona, pięć bram zamknięta, to jest: dusza ludzka z pięćmi zmysłami*. Poetka opisuje jak Lucyfer wstępny bojem, oraz podstępem usiłuje zagarnąć i obrócić w poddaństwo, ową dziedzinę daną człowiekowi przez Boga. Uderza nas trafnością obraz duszy, w której rozgościły się szatańskie rządy:

„Jakoż poznali nowych rządów skutki,
Przefrymarczywszy wiarę na niewiarę,
Od twarzy Bożkiej obmierzłe odrzutki;
W szpetną się wszyscy przybrali maskarę:
Rozum w szaleństwo, sumienie w rozpustę,
Obywatelów w szkapy twarde-nuste;

Brykają śmiało, stojąc na obroku
Nieszczęsnej paszy, która je rozboda;
Nieprawość pija jak muł wodę w stoku,
Ani czuć nie chcą czartowskiego siodła,
Passiom wszelkim wypuścili wodze,
Smakują wolność na przestronnej drodze.
Prawie zostali lotrostwa jaskinią,
Bóg z serca wypadł, z sumienia, rozumu,
Nazwać się mogli wszech występków skrzynią;
Można ich równać do morskigo szumu,
Co żeglarzowi zdrowy słuch zagłuszy,
Że nie postrzeże gdy hak okręt skruszy”.

Nareszcie stawia przed oczy zbłąkanym, srogą karę, jakiej nie ujdą:
„Wojsk niezliczonych przyjdą regimenty,
W dym was rozwłoka, w lekkie pajęczyny;
Nic nie pomogą w czas gniewu lamenty,
Przyschną do kości grzesznych własne winy,
Potém choćbyście w zdroj się rozplynęli;
Lzy nie pomogą tym, co chcąę zginęli!”

Z wierszy do różnych pisanych osób, wspomniałam już we wstępie o tych, które zacna poetka poświęciła królowi Augustowi III-mu, i biskupowi krakowskiemu, skutkiem założenia biblioteki. Zasługuje jeszcze na uwagę *wiersz napisany do księcia biskupa Żalskiego*, z podziękowaniem za wygnanie z kraju szkodliwych a utrzymujących ciemnotę przesądów. „Z twojej to łaski, nie zna już diabłów Czestochowa”—mówi Drużbacka; niemniej:

„Oswobodziłeś i szlachackie domy,
Chaty wieśniaków prostych, bojaźliwych;
Bo kiedy do nas przyszedł czartłakomy,
Wymusił co chciał, jeszcze słów złośliwych
Nagadał; teraz każdy go wypędza
Bez exorcysty, kropidla i księdza”.

Gniewa poetkę upowszechniona wiara w upiory, oburza ją zniewaga ciał zmarłych, które ciemny gmin ćwiertuje na cześci, aby im odebrać władzę szkodenia ludziom:

„Czemuż krzywdzicie zmarłych swoim zdaniem,
Że są czartowskie ciała ich mieszkaniem!”

Zdrowy jej umysł, nie pojmuje jakim sposobem czart wygnany na chrzcie świętym z niemowlęcia; może znachodząc przystęp do Bożkiego stworzenia. Zakończa swą odezwę najpewniejszym wnioskiem:

„Sakramentami będąc uzbrojeni;
Za cóż być mamy od czarta włóčení!”

Wspomniane utwory zapełniają pierwszy tomik Drużbackiej, wydania Lipskiego. Nad niemi zastanawiałam się dosyć szczegółowo, w tych bowiem ulotnych rymach, najwydatniej odbija charakterystyka pisarki, oraz barwa czasu, w którym żyła i pisała. Jako wpływ duszy, potrącanęj codziennymi a zwyczajnymi wypadkami życia; rymy te są niejako uzupełnieniem niedokładnej biografii Drużbackiej; malują nam jej duszę tkliwą, prostą, pobożną a prawą.

Drugi tomik, zawiera *Życie św. Dawida króla Izraelskiego*.—*Pokutę św. Maryi Egipczyanki*.—*Pokutę św. Maryi Magdaleny*.—*Wiersz na obraz święcia św. Jana Chrzyciela*, i *fabułę o księciu Adolfie, dzie-dzicu Rozolani*. Utwory te zasługują na szczegółowy rozbiór; czego jednak w szczupłym zakresie tego dziełka, dokonać niepodobna.

Poemat o królu Dawidzie, obok nie wiele znaczących szkaz, pełen jest wielkich piękności. W nim poetka przebiega ważniejsze wypadki żywota owego króla proroka, maluje go naprzód jako pięknego młodziana, gdy pasie ojcowską trzodę, a Samuel zwiastuje mu królewskie jego przeznaczenie:

„Śpieszy rąco młodzieniec, poczuł wyrok Boży,
Twarz bardziej podobniejsza do rozkwitłej róży;
Wejrzenie pełne wdzięku, oczy jak jutrenka;
Czy się czego raduje, czyli czego lęka”.

Idzie Dawid na dwór Saula i dźwiękiem pastuszej arfy, odgania szatana od królewskiej duszy. Następuje obraz walki młodziana z Goliatem. Gdy olbrzym uraga Dawidowi, że mały i bezbronny; występuje przeciw niemu; on ufny w potęgę Bożą, patrzy niezmrużonem okiem w twarz srogiego filistyna:

„Ty na mnie idziesz z tarczą, mieczem i oszczepem,
Ja na ciebie z kamieniem i drewnianym cepem;

Wiele ufam w tój zbroi, przy pomocy Bożej,
Ta rychło trupa twego na ziemię położy”.

Po śmierci Saula, gdy Dawid obrany królem, rozpieszczony wielkością i powodzeniem (według słów poetki), ulgnął w rozkoszy jak mucha w słodkim miodzie; trafnie Drużbacka opisuje stan jego upadku:

„Póki Dawid pał owce, póki był arcią,
Póki kosztur miał w rękę i pił wodę czystą,
Póki się krył przed Saulem, póki chleba prosił,
Póki żywność na grzbiecie, braci w obóz nosił;
Póty też kochał Boga, póty dobrze służył,
Póty go słuchał, póty w niczem nie zadłużył,
Póty we dnie i w nocy chwalił Pana z chęci;
Póty go miał w swych ustach, sercu i pamięci”.

Następuje zupełny upadek Dawida, zabójstwo dokonane na Uryszu, a w ślad za zbrodnią idzie sroga kara. Bóg nawiedza powietrzem dziedzinę Dawida, zapowiadając klęskę przez proroka. Ukorzony Dawid woła, tarzając w prochu królewską głowę, i bijąc pierś grzeszną z poddaniem:

„Jużem poczuł moc Twoją, stałem się jak plewa,
Co ją wiatr po nizinach kędy chce rozwiewa,
Albo łódka na morzu zbita mocną falą,
Kiedy na nią pioruny, grzmoty, skały wala;
Jam światło zgubił, ja go poszukam u Ciebie,
Będę oń prosił, poszczęć o wodzie i chlebie;
Wszak nie umarli Twoją opatrnością tyją?
Ale ci, co cię chwala i na ziemi żyją.

„Dalej się Dawid z panem targując nie drożył,
Zrzuciwszy paludament, włosienię włożył,
Popiół na głowę sywał, trzy dni nie jadł, nie pił,
Kłęczał nie wstając, jeno oczy w niebo wlepił;
Toż czynili panowie, toż czynił lud prosty,
Krzyżem leżąc wołali: oddal Panie chłosty!

„Zmiliwał się Bóg dobry, spuścił laski rosę,
Rozkazał śmierci złamać zaostrożną kosę!”

Życie Dawida zakończył poetka obrazem ostatniej chwili króla proroka; gdy na łożu śmierci, daje Salomonowi mądre rady i przestrogi:
„Przystąp tu synu—mówi on—nie ruszaj z miejsca:

Póki słów moich w sercu nie schowasz głęboko
A na wszystko obracaj słuch, rozum i oko”.

Napomina Salomona, aby zbudował Panu kościół, czego on za życia, dla popełnionych zbrodni, nie był godzien dopełnić:

„Masz złoto, srebro, mosiądz, stal, żelazo, miedzie,
Masz cedry, wszystkoś pójdzie gładko jak po ledzie”.

Konający król prorok, kończy mowę ojcowskiem błogosławieństwem:

„Tobie samemu daję błogosławieństw tyle,
Ile bieg słońca codzień wyrachuje mile,
Ile gwiazd na przestrzeni on firmamentu liczy;

Tyleć łask Boskich, Dawid Salomonie życzy.
Ledwie słów tych dokończył, Bogu oddał ducha!”

Na tem kończy się piękny obraz życia króla proroka, do którego poetka przemawia kornie przy rozpoczęciu poematu:

„Ciebie ja o to błagam, królu i proroku,
Gdy się wiersz mój dostanie jawnemu widoku;
Odpuść jeżli to wydam, żeś grzeszył jak człowiek;
Aleś powstał jak anioł, przez łzy twoich powiek”.

Żywota św. Maryi Egipskiej i św. Maryi Magdaleny; pełne są niemięj prostoty, rzetelnego uczucia i religijnego namaszczenia.

Oprócz tych utworów Drużbackiej, znajduje się jeszcze obszerny poemat pod napisem: *Historja chrześcijańska księżniczki Elefantyny*, o którym nie wspominam, nie znając go wcale, oraz rękopism z półdunastu arkuszy złożony, darowany od J. H. Herburta, bibliotece Uniwersytetu Wileńskiego, pod napisem: *Zebrańie wierszów moich w różnych materyach, a przepisane dla zabawy dobrych przyjaciół w Rzemieniu, 1734 r.* Na końcu własnoręczny podpis: *Elżbieta Drużbacka S. Ż.* Większa część poezyi zawartych w tym rękopiśmie, drukowaną jest w tomie XIII-ym, części II-jej *Zabaw przyjemnych pożytecznych*, w Warszawie.

(Patrz: *O uczynach Polkach przez Jana Sowińskiego. Warszawa. 1821 r.*)

37.

„Bo ta odwieczna katedra chowa,
Prochy Wielkiego Jana z Tarnowa”

Jan Magnus, kasztelan krakowski, hetman wielki koronny, mąż słynny za czasów Zygmunta I-go i Zygmunta Augusta, umarł w roku 1561, w 73-cim roku życia.

(*Patrz Herbarz polski Niesieckiego*).

38.

„Legł na zagonie jak ktoś dojrzały”.

Słowa Jana Kochanowskiego, napisane na śmierć Jana Tarnowskiego, kasztelana krakowskiego, do syna Jego Krzysztofa hrabi z Tarnowa, kasztelana Wojnickiego.

(*Dzieła Jana Kochanowskiego, w wyborze pisarzy polskich, wydania Mostowskiego. Warszawa. 1803 roku. Tom I-szy, księga I-sza, pieśń XXX*).

39.

„Już droga czarnym kirem zasłana”.

Szczegóły pogrzebu Jana z Tarnowa, wzięte z opisu miasta Tarnowa.

40.

„Przypłynął tutaj z nurtami rzeki”.

Legenda o przypłynięciu kościółka, wzięta z opisu Tarnowa.

41.

„Czemuż jak z kory dąb obnażony”.

Skargi Drużbackiej starałam się wyrazić prawie własnymi jej słowy. W późnej starości, złamana na duchu straciła sześciorga drobnych wnucząt; poetka nasza, pełnemi goryczy słowy wylewa swe żale:

Oto na próbę przytaczam urywki jej pieśni:

„Wiosno! z której świat raduje się przyjściem,
Nadziejo z pączków rozwitego liścia!
Za liściem kwiaty, a za zwiędłym kwiatem
Owoc wynika, co nas cieszy latem,
Nawet i stare drzewa zielenieją,
Choć się w spruchniałych pniach skrzypiące chwieją;
Konar złamany leżący na ziemi,
Jeszcze się żywi liśćmi świeżemi.

„Ale któż rzecze Bogu, czemu to tak
Roki, miesiące, idą teraz w opak?

Czemu staremu trwać pozwoli garcu,
Czemu się glina nierozsypie w marcu;
Dlaczego trawki młode z ranną rosą,
Ścinać rozkazał wystrzoną kosą?

Za co łodygi w twardą zimę ostre,
Nie im nie szkodzą zawiadki północne.
Śmiałość stworzenia z Tobą o tém gadać,
Sądów dociekać, tajemnice badać,
Niech w rządach Jego, gdzie chce będzie meta,
Grzesznik pod wolę niech nadatwi grzbieta.
Wprawdzie nademną wielowładztwa zażył,
Z dwóch listków konar ku wiosnie obnażył;
Sarknąć się boję i zapłakać rzewno,
Stoję jak z kory obnażone drewno”.

Pobożna jednak matrona, Bogu ofiaruje doznane nieszczęścia, a błogosławiąc rękę Pana, mówi z poddaniem:

„Atoli ten jest z smutków moich połów,
Że Bogu służy sześć czystych aniołów.
„Śpiewajcie Panu, niewinne ptaszęta,
Pomajcie, żeście wy moje wnuczęta;
Tyle wyproście za pielęgnowanie,
Abym szczęśliwe mogła mieć skonanie!”

Niemniej jednak przykrzy sobie osamotnione życie i radaby kres
jego przyspieszyć; mówi bowiem dalej:

„Nie wiem kto sobie lat życzy przeciągu,
Jabym dla siebie czasy chciała skrócić,
Gdyby planety w zodyacznym kręgu,
Raczyły bieg swój w półroczny obrócić;
Gdyby zegary skracaly godziny,
Minuty jeszcze dzieląc w odrobiny,
Tak uprzykrzone w życiu mojem chwile,
Żebym dziś rada weszła do grobowca,
Tam z umarłemi spocząłby mi mile,
Gdzie złożył kości mędrzec, gdzie wymowca.
Milęj zamilczć w cichości z mądrymi,
Niżli na świecie bawić się z płochemi”.

Znać że szerzące się w on czas zepsucie w obyczajach, brak poszanowania w młodzieży, zaprawiły także goryczą ostatnie dni Družbackiej; dowodem jej słowa:

„Nie wymów słowa w starości podeszłej
Choćbyś miał rozum Likurga, Platona,
Takowe zdania w młodych głowy weszły,
Że ich pustota, statecznych pokona.
Ale niechaj się cieszą w swym obławie;
Trwalszy mózg stary nad szum w młodej głowie;
Strój starych ludzi, niemodna maniera,
Od stóp do głowy roztrząsają suknie,
Wzorki do śmiechu, wnuk z prababki zbiera;
Twe doświadczenie, twą miłość ofuknie,
Klejnot rozumu, w cichym siedzi sklepie;
Młyn wietrzny, chociaż nie ma co młóć, klepie”.

Dalej poeta narzekając na długie lata, które odarły jej umysł ze złudzenia; mówi z boleścią:

„Co za nagroda, kto świat długo widzi,
Co w nim ukochał, to potem obrzydzi.
O! jak szczęśliwi, którzy przed powodzią

Burzliwych czasów, uniknęli śloty;
Pod ład spokojny podpłynęli łodzią;
Już ich nie porwie świat w przykre obroty;
O! jak szczęśliwi, co dobrą podróżą,
Bez zabłąkania trafił do mety;
Jak radzi, kiedy ciężar z barków złoży,
Który im z laty ponachylał grzbiety”.

Nakoniec Družbacka odwołuje się do Boga, błagając, aby jej rączył przybliżyć ostatnią godzinę:

„O Boże! jeżeli swę poprawy czekam;
Im starsze drzewo, tém się dłużej psuje,
Często na podług lepiankę narzekam.
O! czemuż lepszym gmachom plac zajmuję!
Wywróć to próchno, przez starość przegniłe;
Ciebie niegodne i ludziom niemiłe!”

(Biblioteka imienia Ossolińskich).



2. 1890

1. The first part of the paper is devoted to a review of the literature on the topic. It starts with a general introduction to the field of research, followed by a detailed discussion of the various methods and techniques used in the study. The second part of the paper presents the results of the experiments, which are then compared with the findings of previous studies. The final part of the paper discusses the implications of the results and suggests directions for future research.

142811

28504

1051/62 22-v. 62.

24—

Duchínsko
Elzbieta

XIX w